



Pro Libris

NIESKOŃCZONOŚĆ

Nr 1 (87) Zielona Góra 2024 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 1(87)/2024

W numerze wykorzystano prace Tomasza Daikslera

Copyright by

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2023

Redakcja

Andrzej Buck (redaktor naczelny), Ewa Mielczarek (sekretarz redakcji), Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Stale współpracują

Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak

Fotografie

Archiwum Mirosława Lachowicza (s. 83, 88), Mirosław Kuleba (82), Aneta Michałowska (s. 92-93, 95, 99),
Marta Milewska (s. 109), Aleksandra Padzikowska (s. 126, 128), Anna Polak (s. 121-124), Mirosława Szott (s. 105)

Wydawca

Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru

Danuta Morawska

Druk i oprawa

GRAF MEDIA

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji

WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)

e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl www.wimbp.zgora.pl www.prolibris.net.pl

Pro Libris

Od redakcji

Czy jest sens pytać o to, czym jest nieskończoność, skoro ma ona tyle znaczeń i odniesień, że każdy może ją rozumieć po swojemu? Nasze autorki i autorzy potwierdzają, że jest to na pewno wartość inspirująca i warto ją po swojemu omówić.

Gościem specjalnym naszego numeru jest Małgorzata Lebda – nagradzana poetka i prozaiczka, autorka m.in. *Mer de Glace* (2021) i *Łakomych* (2023), a ponadto wykładowczyni i ultramaratonka. Prezentujemy trzy jej wiersze. Zachęcamy też do zapoznania się z poezją m.in. Jerzego Hajdugi, Zygmunta Marka Piechockiego, Artura Wodarskiego (minęło dużo czasu od ich ostatnich publikacji w kwartalniku) oraz piszących do nas systematycznie: Jolanty Fainstein, Marii Jolanty Fraszewskiej, Romana Krzywotulskiego. Wśród debiutujących na łamach „Pro Libris” jest Anna Naplocha (wiersze) oraz Sławomir Bączkowski (opowiadanie). Sporo w tym numerze mamy do zaproponowania tekstów prozatorskich. Zaskoczyć może Państwa autofikcyjny tekst Marka Krukowskiego i Marcina Mielcarka. Wśród autorów znaleźli się też: Barbara Wauben-Czekalska, Małgorzata Stachowiak-Schreyner, Edward Derylak, Elżbieta Kuna-Kwiecińska i inni. Dział literacki zamyka kolejny „Obrazek z wystawy” Mirosława Kuleby – tym razem autor skupił się na portrecie kobiety autorstwa Zofii Atteslander.

ZBLIŻENIA otwiera rozmowa z prof. Mirosławem Lachowiczem – matematykiem, który zastanawia się nad nieskończonością i jej znaczeniami z różnych perspektyw. Z kolei Katarzyna Krysińska analizuje twórczość Elżbiety Dybalskiej, przyglądając się dwóm wymiarom nieskończoności w twórczości lubuskiej autorki: duchowej tajemnicy człowieka oraz bezkresowi kosmosu i natury. Wśród relacji mamy tekst Moniki

Śledź, która przybliży nam Noworoczne Wierszowanie 2024; prezentujemy też nagrodzone i wyróżnione teksty z towarzyszącego imprezie konkursu. Spotkanie autorskie z Ewą Lipską zostało emocjonalnie opisane przez Maksymiliana Barskiego i Gabrielę Szejbę. Ważnym esejem jest też tekst Kazimierza Skorupskiego dotyczący *Próż niecodziennych* Czesława Sobkowiaka, sięgający dużo głębiej niż tylko do tej ostatniej książki. Upamiętnienia twórczości i postaci Janusza Koniusza podjęła się Joanna Wawryk. Zamieszczamy też utwory poety, przypominając, jak ważną postacią był w lubuskim środowisku literackim.

Mamy też przyjemność przedstawić nowy dział kwartalnika pt. PRACOWNIA. Publikować będziemy w nim teksty powstałe pod egidą Pracowni Badań nad Kulturą Literacką Ziemi Lubuskiej (o szczegółach założenia Pracowni, spotkaniu założycielskim i pierwszych inicjatywach dowiedzą się Państwo z zamieszczonych tekstów). Tym razem – pod kierunkiem prof. Małgorzaty Mikołajczak – Jakub Krzysztof Poczekaj i Michalina Majkowska napisali o książkach Krzysztofa Koziołka i Marty Ruszczyńskiej.

VARIA otwiera tekst o niespełnionej miłości księżnej Doroty i Adama Czartoryskiego autorstwa Joanny Kapicy-Curzytek i Miłosza Cybowskiego. Z kolei recenzje i omówienia najnowszych książek przygotowali: Mirosława Rudyk, Mirosława Szott, Weronika Nawrocka, Czesław Sobkowiak, Maria Jolanta Fraszewska, Gabriela Matkowska, Zuzanna Bubiń i Roksana Bach. Proszę do nich zajrzeć, być może znajdą Państwo jakieś uniwersalne recepty na dobrą książkę.

Tomasz Dawksler natomiast użyczył swojej twórczości do zilustrowania numeru. Prezentacji artysty podjęła się Eliza Gniewek-Juszczak.

Spis treści

Małgorzata Lebda Wiersze [Na grani, Potas, Ogień]	6
Natalia Haczek , Gong.	9
Jerzy Hajduga , Wiersze [Mam boskiego trenera, Zła iza, Witam moją szczerość, Selfik ze szpitala]	11
Marcin Mielcarek, Marek Krukowski , Ani w lewo, ani w prawo [autofikcja]	15
Agnieszka Ginko , Wiersz [Za'atar زت غز]	22
Barbara Wauben-Czekalska , 2023	23
Bartosz Konopnicki , Wiersze [Powrót wróbli, Bańki mydlane, Groteskowe obrazy, Szklany kąć]	25
Joanna Witek-Lipka , Fart.	29
Patrycja Mierzejewska , Poemat [Osiem]	32
Piotr Gulewski , Ostatni kurs.	35
Jolanta Fainstein , Wiersze [gwiazdy, tradycja, kostka cukru była naszym marzeniem, nie może wziąć ślubu]	37
Małgorzata Stachowiak-Schreyner , Animacja poklatkowa	41
Anna Naplocha , Wiersze [Wiązanie, Miniatura]	43
Sławomir Bączkowski , Ostatni lot	45
Roman Krzywotulski , Wiersze [*** wchodzą ostrożnie...; *** wysupłać kapryśne metafory...]	47
Edward Derylak , Niebieski trabant	49
Artur Wodarski , Wiersze [przedtem zanim cokolwiek, nadchodzą barbarzyńcy, canaletes (nie tylko dla mojej pamięci), łączenie]	52
Elżbieta Kuna-Kwiecińska , Stylistka	56
Maria Jolanta Fraszewska , Wiersze [Przedwiośnie nad Odrą, *** pokój w którym mieszkam...]	59
Rafał Krzyimiński , Paczkomat	61
Grażyna Rozwadowska-Bar , Wiersze [*** prawda to ziemia...; szare pudło]	65
Beata Mączka , Chat noir.	68
Zygmunt Marek Piechocki , Wiersze [Friedhof, Moja astronomia, *** Istniejesz obok nich...]	69
Czesław Sobkowiak , Potrzebne jest wnętrze.	72
Bogumiła Różewicz , Wiersz [*** spacer śladami...]	76
Władysław Edelman , Ziemia jest płaska.	77
Mirostaw Kuleba , Paryżanka (z cyklu „Obrazki z wystawy”)	79

ZBLIŻENIA

Chcę poszukiwać całości w złożoności, bo poszukiwaniem samej złożoności się zmęczyłem.	
Z prof. Mirosławem Lachowiczem , matematykiem stosowanym, rozmawia Mirosława Szott	83
Katarzyna Krysińska , „Wiersz bez kropki”... Nieskończoność w poezji Elżbiety Dybalskiej	89
Monika Śledź , Noworoczne Wierszowanie 2024 [Patrycja Mierzejewska, Marek Krukowski, Alina Kruk, Daria Walusiak, Krzysztof Ziemski, Beata Patrycja Klary-Stachowiak]	92
Maksymilian Barski, Gabriela Szejba , Wieczór z Ewą Lipską	98
Kazimierz Skorupski , Nie tylko o <i>Prozach niecodziennych</i> Czesława Sobkowiaka	100
Joanna Wawryk , Szesnaście wierszy Janusza Koniusza	103

PRACOWNIA

Pracownia Badań nad Kulturą Literacką Ziemi Lubuskiej	109
Małgorzata Mikołajczak , Literatura lubuska pod lupą młodych filologów	110
Jakub Krzysztof Poczekaj , Dystopia oczami zielonogórzanina.	
O powieści Krzysztofa Koziółka <i>A potem już tylko nic</i>	111

Michalina Majkowska , Powieść kryminalna Marty Ruszczyńskiej <i>Diabeł i panna</i>	114
VARIA	
Joanna Kapica-Curzytek, Miłosz Cybowski , Księżna Dorota i Adam Czartoryski – historia niespełnionej miłości	117
KRAJOBRAZY LUBUSKIE	
Joanna Wysocka, Anna Polak, Paweł Karp , Niezwykła historia świątyni, czyli jak przeszłość przypomniła się teraźniejszości. Żarski zakątek tajemnic. Część V.	121
PREZENTACJE	
Tomasz Daiksler	126
Eliza Gniewek-Juszczak , Podwójna nieskończoność z pracowni Tomasza Daikslera	127
RECENZJE I OMÓWIENIA	
Misternie tkane wersy na drodze w międzyświat Konrad Wojtyła, <i>Scherzofrenia</i> (Mirosława Rudyk)	129
Być o krok przed nimi Roksana Bach, <i>Śliwki w czekoladzie</i> (Mirosława Szott)	132
Znów wystawmy twarz... ku poezji <i>Znów wystawimy twarz do słońca. Antologia poezji lubuskiej 2007-2022</i> , red. M. Mikołajczak, M. Szott (Weronika Nawrocka)	134
Kobięcy podmiot Maria Jolanta Fraszewska, <i>Prze konanie</i> (Czesław Sobkowiak)	136
Nad górą wisi szara rzeczywistość Marcin Mielcarek, <i>Nad górą wisi zielone słońce</i> (Maria Jolanta Fraszewska)	138
Ulotność i niepowtarzalność Roman Krzywotulski, <i>Raz dwa trzy znikasz ty</i> (Gabriela Matkowska)	141
Być świadkiem podróży Grażyna Rozwadowska-Bar, <i>Obudziłam wiersze</i> (Zuzanna Bubień)	142
Patrząc trochę szerzej <i>Rytm schowany w teście. Adam „Łona” Zieliński i kultura popularna</i> , red. J. Madejski, P. Dziel, P. Masternak (Roksana Bach)	146
KSIĄŻKI NADEŚLANE	148
AUTORZY NUMERU	149

Na grani

Mgła, w niej obcy mężczyzna szuka słów:
wąsko w tym krajobrazie – mówi i rozgląda się.

Mgła, w niej blisko jest do śpiewu paszkota;
skrzypienia gałęzi grabu; szelestu kreta, który
właśnie przesuwa pysk ku powietrzu.

Potas

Szukam żywokostu na gnojówkę, po to, żeby pomidory
wydały dorodne owoce (potas), schodzę w stronę jarów.

Na polanie tuż nad potokami dostrzegam – w ruchu – ciała
zwierząt: białe kupry sterczą ku niebu. Jeleniowate wyszły
z lasu.

To co płochę, każe mi znaleźć schronienie, to co zachłanne
mówi: patrz, nie zatrzymuj się w tym.

Ogień

Wokoło starej chaty biel. Obudziła mnie noc,
może tylko po to, żebym podłożyła pod blachę,
podtrzymała ogień. Praca ognia jest tu taka jaką
pamiętam z rodzinnego domu: niestrudzona.
Pilnować ognia, w tym się sprawdzam.
Karmię.

Po co zamieszkujemy obce? By przekręcać klucze.
Przede wszystkim po to. I jeszcze: zatrzymywać
– w razie ciszy – zegary.

Gong

Połączenia nerwowe w dolnej szczęce podduszają się wzajemnie. Mimo zapewnień stomatologów, że wszystko dobrze, jest mi zdecydowanie źle. Obawiam się wypadnięcia dolnego uzębienia. Dodatkowo znowu obudziłam się ze skrętem kiszek lub czegoś innego, co mieści się w jamie brzusznej. Nie mogłam się wyprostować, dopóki lek nie zaczął działać. Te dolegliwości to mój standardowy pakiet startowy zarówno w poniedziałek, jak i w niedzielę. Szkoda, bo zawsze lubiłam poranki. Kojarzą mi się z szansą na odwrócenie biegu zdarzeń, zapomnieniem o porażkach dnia wczorajszego i tak dalej. Moja wola dalszego kreowania rzeczywistości kłóci się z buntem organizmu, który domaga się pojęcia nie mam czego. Może na to trzeba zażyć coś mocniejszego, czego po przeczytaniu ulotki i tak nie będę miała odwagi wziąć.

Uchylam okno, czuję poranny prąd powietrza, nabieram ochoty na wyjazd na Woodstock jak za dawnych czasów, sorry, teraz Pol'and'Rock. Ziemia trzęsie się tam niemiłosiernie przez całą noc. Ten stan rzeczy nijak pasuje do mojego wrażliwego organizmu i zasypiania przed 22.00. Jednak w pogo kondycję mam doskonałą. Wtedy wstępuje we mnie ponadnaturalna energia, osiągam szczyt wigoru. Nic się nie zmieniłam od czasu swojego pierwszego Woodstocku, a było to 10 lat temu. No może mam trochę więcej dolegliwości niewiadomego pochodzenia i absurdalnych zdarzeń na koncie. Niektóre z nich były całkiem niezłe. Najbardziej w życiu przepadam za momentami nie do uwierzenia. Wtedy właśnie wierzę, że jest jeszcze czym się zadziwiać i warto wydobywać swoje ciało z pieleszy na światło dzienne.

Do mojego mieszkania dociera niewiele dźwięków, dzięki czemu jestem w stanie tu funkcjonować bez ciągłych skoków adrenaliny. Tak, bywam strachliwa. Niespodziewane hałasy sprawiają, że dynamicznie podskakuję, zanim zdążę zdemaskować ich tożsamość. Niestety domofon nie jest przystosowany do mojego organizmu i to, co wyczyniam na jego dźwięk, to już cała choreografia. Widząc mnie w akcji, goście pomyśleliby pewnie, że jest to rytuał oczyszczający przestrzeń ze złych mocy na ich przyjście. Co ciekawe przepadam za koncertami, które do cichych nie należą. To chyba kwestia przewidywalności, harmonii dźwiękowej, nie wiem. Zbyt wiele jest we mnie sprzeczności, bym mogła siebie samą rozszyfrować, a co dopiero resztę świata.

Na szczęście ci, którzy najczęściej mnie odwiedzają, nie korzystają z domofonu, chociaż byliby w stanie nacisnąć przycisk dziobami. Wolą jednak lądować prosto na parapecie lub balkonie, który został przez nich okrzyknięty najlepszą toaletą na dzielnicy. Ile litrów detergentów ja przez was wylałam, moje ukochane gołąbeczki. Na szczęście poza tym, że nie znacie umiaru w defekacji, obdarowujecie mnie pieśniami, które działają raczej relaksacyjnie. Nie muszę chodzić na żadne eventy z gongami i takimi tam, bo wasze śpiewy są mi chlebem powszednim. Zresztą jak tylko widzę zapowiedzi takowych wydarzeń, wyobrażam sobie, jak na drodze eksperymentu uderzam czołem w gong, a potem wyprowadzają mnie na noszach. Żadnego pożytku by ze mnie tam nie było.

Tego poranka musiałam dokupić artykuły podstawowe, toteż ruszyłam na zakupu do pobliskiego marketu. Poza produktami spożywczymi i środkami czystości rzadko kiedy można było nabyć tam cokolwiek innego, jednak tym razem klientów atakował wielki czerwony billboard z napisem „Gongo Relaksongo już za 2 złote uśmiechy”. Czymże były dwa złote uśmiechy? Chodziło o dwie stowy? Pewnie taka metafora czy

coś. Myliłam się jednak. Obok pozłaczanych gongów, udających te legendarne, znajdowała się fotobudka, w której to należało wykonać dwa ujęcia z twarzą opatrzoną uśmiechem. Akurat kilka dni temu dostałam przypomnienie o konieczności wyrobienia nowego dowodu osobistego, ale ze względu na problemy skórne prokrastynowałam wykonanie fotografii. Świąteczna dieta bogata w tłuszcz kakaowy nie służyła mojej cerze, a kiedy trochę ją podleczyłam i już stałam w przedpokoju gotowa na eskapadę do punktu foto, zaskoczył mnie wygląd szyi. Na skutek stresu spowodowanego zdjęciowym przedsięwzięciem wyskoczyła mi na niej plama przypominająca morze czerwone. Świadomość, że zdjęcie będzie widniało w moim dowodzie przez kolejne dziesięć lat, zmusiła mnie do wycofania się w ostatniej chwili. Teraz natomiast fotobudka kuśiła aż nadto. Weszłam więc i zasiadłam na chybottliwym stołeczku. Było to nieco mniej stresujące niż wizyta u fotografa, bo go tam nie było. Na szczęście kotara zakrywała mnie całkowicie, a nie połowicznie jak w moim ulubionym sklepie odzieżowym, co znacznie utrudniało mi robienie zakupów. Razy wiele wchodziłam do przebieralni z całym naręczem odzieży, a potem nie byłam w stanie niczego przymierzyć z powodu niepokornej zastony. Czułam wówczas, że moja strefa prywatna jest znacząco naruszana. Tym razem nie musiałam się jednak o to martwić. Po pierwsze byłam ubrana, po drugie miejsce to było szczelne. Wyszczrzyłam się więc do obiektywu z przekąsem, wiedząc, że nikt nie zdoła zobaczyć, jak ja się tutaj wydurniam. Liczyłam wówczas na otrzymanie tajemniczego obiektu w kolorze sztucznego złota. Gong mógł okazać się alternatywą dla gołębic pieśni oraz masażu relaksacyjnego, który zamiast zrelaksować prawdopodobnie zestresowałby mnie na wskroś. Po pierwsze dlatego, że musiałabym się rozebrać przed obcym człowiekiem, po drugie byłabym jeszcze intensywnie dotykana. Pod wpływem napięcia potrzaskałyby mi chyba wszystkie mięśnie. Na masażowym łożu zostałyaby górka mięsa. W akcie zgonu pisaliby: „zmarła na skutek rozprężenia”. Dziś natomiast dostałam szansę na relaks niepozbowiający mnie życia. Pstryk, pstryk i zdjęcia wypłynęły z maszyny, wpadając wprost w moją dłoń. Grzywka wyszła całkiem niezłe. Jednak spod czupryny zamiast twarzy wyłaniał się złoty gong.



Mam boskiego trenera

a co tam że ze mnie
ostatni wlokę się
na pierwszego

zapłakać

zdarza się najgorzej
nocą ani śladu
po łzie

Zła łza

by wróciła do oczu
w moich już
nie sama

milczymy

i niech tej ciszy
nikt nie
usłysz

zła na siebie
ściąga moje
powieki

Witam moją szerokość

aż zaczęła się zwężać
do uliczki sam
na sam

uliczka bez pasów

i ja na twój widok
przechodzę
biegnę

Selfik ze szpitala

boję się źle wypaść
z lustra wiszącego
nad łóżkiem

ten strach

w twoich oczach
i moje po
wieki

do rana

aż noce
do rana
budzą

Ani w lewo ani w prawo [autofikcja]

Siedziałem przy barze, piłem whisky na lodzie, jakiegoś tańszego sikacza znaczny, i pisałem na telefonie nowe, świeże, pachnące opowiadanie. Czasami mnie coś takiego brało, oczywiście niezbyt często. Zdarzało się w historii świata, że z takiego doskoku właśnie powstawały dobre teksty kultury – na przykład *Paranoid Black Sabbath*, które stworzyli w pół godziny, bo brakowało im piosenki do gotowego albumu. Opowiadanie było o kobiecie jak bluszczy, o ludziach jak bluszczy. O tym, że czasami za bardzo i za mocno przywiązujemy się do kogoś albo czegoś, przywiązujemy się na amen i zwykle jest to swego rodzaju klatka, więzienie, z którego wyjść wcale nie chcemy.

Maruś klepnął mnie w ramię i usiadł obok na stołku barowym. Już dawno temu zauważyłem, że często mnie dotykał, lubił to chyba, cholera, robić. Uznałem, że to w końcu zrozumiałe, był przecież stuprocentowym gogusiem i piszę to z sympatią, a nie zawiścią. W każdym razie gdyby nie to, że się w miarę lubiliśmy, to wybiłbym mu kilka zębów za takie akcje.

- Śliczny masz sweterek – powiedziałem.
- Coś z nim nie tak? – zapytał niemal przejęty.
- Nic. Gdybym był pedziem, też bym takie nosił.
- Przynajmniej nie widać mi brzucha. Zobacz, jak się roztyłem.

Uniósł kawałek swetra i złapał za małą fałdkę na skórze. Nic tam wcale takiego nie miał. Był raczej szczupłym gościem. Niewysokim. Delikatnym w pewnym fizycznym sensie. Był właściwie taki jak jego proza albo to jego proza była taka jak on.

- Pewnie wiele kobiet chciałoby mieć podobny problem – stwierdziłem.
- A faceci?
- Faceci się takimi rzeczami nie przejmują.

Chciał ze mną pogadać. Odezwał się tydzień temu i chodziło o jego nową książkę. Chyba byłem jednym z niewielu ludzi w tym mieście, cholera, jednym z niewielu na świecie, którzy czytali wszystkie jego książki. Miałem dzień wolny w robocie, bo upuścili mi rano pół litra krwi. Ktoś by powiedział, że to nawet szlachetne, takie przynajmniej jest społeczne przeświadczenie. Sę w tym, że ja nienawidzę igieł, ale czasami robimy przecież coś, na co nie mamy ochoty – jak wojna, prohibicja, ubezpieczenia, jogging, szczepienia, wakacje, seks, imprezy firmowe, zdrowe żarcie i papierowe słomki. Ale mnie głównie chodziło o to, że mogłem przez resztę dnia leżeć do góry brzuchem. Czas spędzany w samotności miałem za najwyższą świętość.

Zanim przyszedłem do Szwejka, wypłem cztery piwa. Zanim przyszedł Maruś, wypłem dwie whisky.

Posiedzieliśmy chwilę przy kontuarze, ale potem poszliśmy do małego stolika. Obsługiwała nas miła blondynka. Pewnie trochę młodsza ode mnie. Nie była piękną, ale miała niezłe ciało, więc trochę się na nią pogapiłem przez ten wieczór, bo gdzieś przecież musiałem podziąć gały – nie mogłem patrzeć cały wieczór na Marusia, mógłby sobie coś jeszcze pomyśleć. Oczywiście problem z dzisiejszymi ludźmi jest taki, że posiadamy ciała, brzydkie twarze i jeszcze brzydsze dusze.

On chyba nie spojrział na nią ani razu. W ogóle za bardzo się nie rozglądał.

– Zobacz, jaki piękny tomik wydali Roksanie – powiedział. – Debiut.

Wziąłem go do ręki i przeczytałem kilka wierszy. Nie były złe, znaczy były całkiem dobre, w każdym razie sam nie napisałbym lepszych. Nie w tym temacie.

– Dostanie Wawrzyn za poezję albo przynajmniej nagrodę dla debiutanta – oznajmiłem.

– Skąd wiesz?

– To oczywiste.

Nie wiedział chyba, co jest takie oczywiste, więc mu wyjaśniłem. A potem jasna sprawa, że chciał gadać o literaturze, a ja po prostu nie miałem za wiele do powiedzenia na temat literatury, tej lokalnej i polskiej, i europejskiej, i światowej. Stało na tym, że *Ulysses* Jamesa Joyce'a jakoś nam się nie spodobał. Nie do końca.

– Spotykamy się w trójkę i pracujemy wspólnie nad swoimi wierszami – powiedział. – Wiele nam to daje.

– Hemingway twierdził, że pisarz powinien pracować w samotności.

– Pisarze to nie poeci.

– Tym bardziej to pasuje.

– Chodzi o to, że „dopracowujemy” je wspólnie. Wtedy mamy pewność, że są najlepszą możliwą wersją. Że tekst jest dopieszczony.

– Ja wolę napisać kolejnych pięć niż męczyć bułą.

– Tak jak w przypadku picia, ochlapusie?

– Dokładnie tak.

Potem wyznał, że ostatnio na takim spotkaniu czytali na głos opowiadania z mojego najnowszego zbioru i że się z nich, że mnie znaczy, nabijali. Odpowiedziałem mu, że skoro sprawia im to przyjemność, to mogą się śmiać. Nie ruszało mnie to. Zresztą ja też ciągle drwiłem ze wszystkich i wszystkiego. Ludzie potrafią być okrutni dla drugiego człowieka tylko dlatego, że mogą.

– Nie obraż się – przeprosił.

– Spływa to po mnie jak krople deszczu z niewidzialnej wycieraczki na szybie auta – odparłem.

– Uważaj, Mielcarek, bo sam zaraz zostaniesz poetą.

– Chyba mi to nie grozi.

– Do tego trzeba mieć talent, racja.

– O tym mówię.

Maruś miał swoją nową powieść, którą chciał wysłać różnym dużym wydawcom. Czytałem ją jakiś czas temu i powiedziałem, co o niej myślę. Wziął sobie chyba te uwagi do serca i zmienił tam kilka kwestii. To było gdzieś pół roku temu. Opowiedział mi to i owo, a ja poradziłem mu na tyle, na ile potrafiłem, podzieliłem się moją tajemną wiedzą. W międzyczasie dopijał pierwsze piwo. Ja obaliłem kolejne cztery. Miałem na sobie prawie pedalski golf i było mi w nim gorąco, ale nie chciałem go zdjąć, nie mogłem zdjąć tego pierdolonego golfu, bo pod spodem miałem wyciągnięty jak psu z gardła T-shirt z nadrukowaną uśmiechniętą żółtą buźką – podobną to tej, którą Duchowny nosił w jednym z odcinków *Z Archiwum X*. Poza tym zrobił mi się wielki siniak na prawej ręce od grubej igły i nie chciałem się z tym afiszować. Wyjść na mięczaka.

– Myślę, żeby wysłać to pod pseudonimem – powiedział. – Żeby myśleli, że napisała to kobieta. Bo przecież przeze mnie przemawia taka wewnętrzna kobieta. Sam tak powiedziałeś w końcu. Że moja proza...

Przerwałem mu, mówiąc, że jest tutaj jak w ulu. Ludzkie głosy zebrane do kupy w lokalu wydawały się jednym ogromnym owadnim szumem. Zaczęło mi to wadzić.

– Faktycznie – przyznał. – A wracając do tematu, to zrobię tak, jak mi poradziłeś. Napiszę, o czym to jest, takie krótkie streszczenie i będziemy to wysyłać. Pod pseudonimem. Te kilka wydawnictw, które interesują się dobrą prozą, te, które wymieniłeś. Chyba się uda, co?

Nie odpowiedziałem mu. Gapiłem się na tę kelnerkę, znaczy – przyznaję się – na jej ładny tyłek w czarnych, ciasnych legginsach. Potem natchniony osobliwą energią rzuciłem bardzo głośno:

– Dobra, chuj z tym wszystkim. Chodźmy stąd w pizdu.

Tak naprawdę musicie wiedzieć, że jestem miłym gościem. Ostatnio nawet pozwoliłem przywalić jednemu facetowi w moją mordę bez większych konsekwencji. W każdym razie Maruś pił to jedno pierdolone piwo przez cały wieczór – skwitował, że było za gorzkie. Ja wypłem osiem plus dwie whisky. Oboje jesteśmy rzecz jasna mężczyznami, ale cholera wie, czym mierzyć męskość. To jest jakiś problem, jeden z wielu. Przynajmniej obaj odwiedziliśmy na koniec kibel z ludzikiem bez sukienki na drzwiach.

Wszedłem do środka i zacząłem odlewać się do blaszanego koryta i nie wiem dlaczego, ale pomyślałem o tych wszystkich komunach. Marek schował się w zamykanej kabinie – cholerny wstydnis. Po chwili do środka weszło dwóch facetów. Jeden stanął z lewej, drugi z prawej. Nic nie powiedzieli. Był tylko dźwięk oddawanego moczu.

– *Sausage party* – zażartowałem.

Czasami odpałał się we mnie klaun.

Ten z lewej się uśmiechnął. Drugi odwrócił się jakby zawstydzony. Poszli sobie, zanim wylazł Maruś. Umyliśmy ręczki, poszedłem zapłacić za piwo, które wyżyłopałem i zostawiłem jakiś tam napiwek tej kelnerce. W sumie to na mnie nie spojrzała, ale nie dziwiłem się jej. Też niechętnie patrzyłem na siebie w lustrze.

Więc wyszliśmy na ulicę i poszliśmy – formuła, cholera, jak w powieściach Hema – przed siebie, w tak zwaną siną dal. Powietrze miało w sobie coś brudnego i metalicznego, a noc wcale nie była taka czarna.

Powiedziałem mu, że mogę go odprowadzić i się zmywam, bo czeka na mnie ciepłe łóżko i kobieta, która mnie kocha. Zaczął mi coś gadać o tym, że chciałby spróbować życia w trójkącie i chodziło raczej o miłość niż seks. Szukali ze swoim partnerem, a właściwie to Maruś szukał, kogoś godnego. Poza tym głądził coś o potrzebie doświadczeń na użytek literacki.

– Tylko problem jest taki, że większość to typowe ruchadła na jedną noc – oznajmił.

– No widzisz, jak wam ten internet służy, pedały.

No i znowu muszę podkreślić, że tak naprawdę dobry ze mnie facet, żaden tam -ista czy -fob. Niedawno przygarnąłem kotkę z ulicy, co miesiąc kupujemy z Emilią karmę do schroniska, otwieram obcym kobietom drzwi, daję bezdomnym na piwo, segreguję śmieci i zamykam po niesfornych klientach pootwierane szufladki na pieczywo w Biedronce. Po prostu Maruś nie obrażał się, kiedy tak do niego mówiłem i to było cenne. Oczywiście on też oddawał celne strzały w moim kierunku i wcale nie miałem mu tego za złe. Były to w końcu tylko słowa. Dziś coś się ze światem popieprzyło i słowa zaczęły znaczyć więcej niż czyny. Myślę, że powinniśmy wyjąć kija z dupy – tak będzie nam wszystkim łatwiej – i wziąć się za prawdziwe problemy, trapiące nasze społeczeństwo. Na przykład kwestie przemocy domowej, wyzysk pracowników, korupcję władz, wszechobecną pornografię czy pauperyzację edukacji.

– Agnieszka pisze ostatnio naprawdę ciekawe wiersze – powiedział w którymś momencie.

– Też tak sądzę.

Agnieszka mnie nie lubiła, bo powiedziałem coś kiedyś o zbiorowej masturbacji odnośnie literackich kółek. Ja do niej nic nie miałem. Nie myślałem o niej, tak samo jak ona o mnie.

– Maria przypomina w wyglądu moją matkę – stwierdziłem i była to czysta prawda. – Darzę ją z tego względu szczególną sympatią. A może z tego powodu mam zamglony ogląd. Nie wiem. W każdym razie uważam, że jej nie doceniają.

– Bo bywa męcząca, o tych swoich murkach potrafi gadać na jednym oddechu przez bite dwie godziny. Ale swoją drogą mogłaby coś podobnego do murków zorganizować u nas, to byłaby naprawdę fajna sprawa – rozmarzył się Maruś.

Kiedy byłem w Krakowie, widziałem nocą jeden z jej wierszy wyświetlany na murze przy którejś tam ulicy. Piłem w jednym z barów, co ciekawe te wszystkie anegdoty o Angolach chlejących w Krakowie są prawdą. Była ich tam cała banda i kiedy wszedłem i usiadłem przy kontuarze, to barman zajechał do mnie na dzień dobry po angielsku. Jeden z Anglosasów – morda czerwona jak rak – odwał tam numer z dynamiem krzesła. Było to całkiem zabawne, ale wyszedłem po jakiejś godzinie, bo jeden z nich uwiesił się na mnie i wypytywał mnie o to, komu kibicuję – cholerna piłka nożna. Gdybym mu wtedy powiedział zgodnie z prawdą, że Paris Saint-Germain, mógłbym wywołać w tym barze kolejną wojnę stuletnią – a jako Polakowi nie widziało mi się ponowne umieranie za Napoleona; uczmy się, cholera, na błędach, a nie po szkodzie.

Niedaleko Palmiarni Maruś zapytał mnie, co teraz czytam, odpowiedziałem, że *Cząstki elementarne* Houellebecqa, a niedawno przeczytałem na nowo *Zniewolony umysł* Miłosza.

– To ty czytasz taką literaturę? – spytał zdziwiony.

Słowo *literatura* i *literackie* wymawiał zawsze z ogromnym namaszczeniem, jakby zawierało albo stanowiło sacrum. Dla mnie to słowo było równie mdłe jak każde inne.

– Tak, kurwa – odparłem. – Czytam.

Oczywiście, że zdawałem sobie sprawę, że uważa mnie za robota i półkretyna. Najlepsze było to, że wcale się w swojej ocenie nie mylił. Już dawno sam stwierdziłem, że gdyby wciąż trwała komuna, to taki Hłasko mógłby mi czyścić buty. Autentycznie – mój pradziad był kowalem, a jeden dziadek murarzem. Drugi pijakiem. Dziękuję im obydwu.

Zahaczyliśmy jeszcze o Maka – jest przecież zima, więc normalne, że pić zaczęliśmy wcześniej. Wyznałem Marusiowi, że galerie handlowe przyprawiają mnie o mdłości. Że uważam je za świątynie hedonizmu. On nie miał takich obiekcji. Wychodząc, zerknęliśmy na witrynę w Empiku. Żaden z nas rzecz jasna nie miał wstępu na takie światowe salony.

Potem wyszliśmy i Maruś pierdolił coś o tym, że jest najlepszym pisarzem w tym mieście. Ja powiedziałem mu, że nie znam wszystkich pisarzy w tym mieście.

– To może chociaż najlepszym na ulicy Wrocławskiej...

– Słuchaj – zacząłem – takich wioch jak Zielona Góra jest w Polsce mnóstwo. Poza tym masz większe wiochy jak Warszawę, Kraków, Wrocław, Poznań czy Łódź. Takich Marusiów i Mielcarków są dziesiątki, jak nie setki. Powinniśmy przyjąć do wiadomości fakt, że nic nie znaczymy. Nic nie znaczymy, więc weźmy się w końcu może do uczciwej pracy. Nikt z nas nie zostanie kolejnym wieszczem.

– Ja jestem inny.

– Zobacz, ilu jest pisarzy, ilu jest poetów w tym mieście. Znanych i mniej znanych. Pewnie pół miasta pisze do szuflady, a ćwierć uważa się za literatów.

– Ale ja wiem, że jestem inny.

– Jasne, że jesteś inny, Maruś.

Nie potrafił się ze mną zgodzić w tej kwestii. Być może miał rację. Może ja miałem rację. Może obaj jej nie mieliśmy.

– Powinniśmy o tym napisać – zaproponował albo może ja to zaproponowałem, cholera wie.

– O czym?

– O tym wszystkim. Takie literackie zapiski z naszych spotkań. Wiesz, o co mi chodzi.

Rzucił, że mogłoby się to nazywać *Przechadzki po Zielonej*, ale uznałem, że brzmi to zbyt pedalsko. Śmiało się z tego. Z nazwy i samego pomysłu. Odprowadziłem go do domu i rozstaliśmy się. Zaczęłem wracać do siebie. Potem skrzyłem w krzaki, bo postanowiłem się odlać. Kiedy kończyłem, jakiś facet zapytał mnie tonem gestapowca, co ja wyprawiam. Okazało się chwilę później, że to gliniarz.

Ale to już historia na zupełnie inny, odmienny tekst.

Uwięziona w obolałej klatce ciała przedzierałam się przez ciemne i nawilgłe warstwy miasta, na które jestem dożywotnio skazana: oblepioną jego swojską brzydota, żółtym światłem ulicznych latarni i mgielnym oparem zimowego popołudnia. Niech moim wyjściem ewakuacyjnym, moim *Exitem*, będzie to, że opiszę ów wieczór z perspektywy kobiety, że w ogóle wydobędę z siebie jakiegokolwiek słowa, bo coraz mniej we mnie sił, chęci, czegokolwiek, jedynie zimny wicher tam hula. Jedynie dławię się do środka.

Nie tyle szłam, co bezwładnie ześlizgiwałam się poczerzniętą rynną ulicy aż do punktu czeskiej gospody, gdzie czekał na mnie przy kontuarze, popijając najtańszą whisky, nasz zielonogórski Bukowski (lepszy taki niż żaden). Na przywitanie dotknęłam delikatnie jego ramienia i zamówiłam dla nas po piwie. Będę je niechętnie sączyła, aż porzucę niedopite, kiedy on w tym samym czasie wyżłopie trzy kolejne.

Zacinam się.

Harmider rozmów wzbiera w kaskadę hałasu. Każde słowo, ale i każda sekunda milczenia, każdy oddech przybliżają mnie ku śmierci, przybliżają jego i ciebie. A jednak zachowujemy względny spokój. Siedzimy naprzeciwko siebie. Podajemy sobie słowa z ust do ust. Wstajemy od stolika. Opuszczamy nabrzmiały ul knajpy. Wychodzimy przejść się po deptaku, po tym naszym spacerniaku, kółeczko za kółeczkiem wokół ratuszowej wieży. Iskamy się za pomocą słów, my dwie wyłysiałe i zziębnięte małpy. Ocieramy się o siebie za pomocą słów i próbujemy się ogrzać w ich skromnym świetle. Słowa są jak iskry wypadające z naszych ust wprost w czeluść grudniowego mroku, gdzie wnet gasną.

Najchętniej położyłabym się do łóżka i przemilczała całą resztę, ale Marcel nalega:

– Opiszmy to! Wywołajmy jakiś skandal.

– To byłoby na rękę Mirce, naszej małej skandalistce – odpowiadam przekornie.

On śmieje się rubasznie. A ja śpiesznie spijam ten jego wibrujący śmiech aż po ostatnią srebrzystą nutkę. Najchętniej położyłabym się na jego brzuchu i słuchała, jak tam szumi i pieni się tych osiem piw, które wypił w ciągu tego wieczoru. Na inny skandal brak mi sił. Poza tym prawdziwy skandal to nasza letnia egzystencja na relanium, na tramadolu, na bupropionie. Wszyscy jedziemy na jednym wózku tej prowincjonalnej mieściny. Dzień po dniu przeżuujemy szarą papę codzienności w towarzystwie alkoholików, mężów przytroczonych do wózków, żon pogrążonych w klinicznej depresji, przyjaciół umierających pokątnie na raka, niańcząc niewydarzoną progeniturę lub przestarych rodziców, którzy jak na złość nie chcą wykitować. Oto my, nieczytani (nawet przez siebie nawzajem) frustraci lokalnej literatury, w większości grafomani, złaknieni choćby listka figowego czyjejs atencji, choć gałązeczki z lubuskiego wawrzynu.

Marcel jeszcze się łudzi, jeszcze fika, chojraczy, ale i jego to miasto w końcu usadzi w jakimś M-4 z trzygodzinnym dostępem do słońca, na tym lub innym piętrze, w jakiejś samotności i ciszy, poprzecinanej hałasami dobiegającymi z mieszkań powyżej i poniżej, z zewnątrz, jak i z wewnątrz: szum samochodów, jęk roztapiających się kotów, wyjący alarm, bezdech, trzask kłapy kubła przed północą i czyjs głuchy śmiech.

Zataczamy ślepe okrążenia po deptaku, a Marcel marudzi, że nawet po opróżnieniu ośmiu kufli piwa i dwóch szklaneczek whisky, prawie w ogóle nie jest pijany, prawie, że wcale.

– Bo ja, kochana, potrzebowałbym osuszyć całą Odrę alkoholu, żeby się wstawić.

– Biedactwo, napisz o tym opowiadanie.

– Ale kto by w to uwierzył? Albo w to, że w przeciągu jednej nocy potrafię doprowadzić moją kobietę do siedmiu orgazmów?

Ja bym uwierzyła, jednak nic już nie mówię, milczę... Chciałabym zasnąć i obudzić się w innym kraju, czasie, ciele.

- Tylko nie pisz o tym – przestrzegł mnie nagle Marcel.
- Dlaczego?
- Bo to nie przejdzie. To zbyt niesmaczne. Nie puszczą tego.
- Słucham? A co jest niby niesmacznego w kobiecym orgazmie?
- Niektórzy wciąż nie wiedzą, gdzie znajduje się fechtaczka, więc...

Wpatrywałam się w Marcela, mrużąc oczy i nie pojmując, o co mu właściwie chodzi? Dlaczego tak nagle się spłoszył?

- Dobra, rób, co chcesz – oświadczył pojednawczo. – Ale jeśli już będziesz chciała to wykorzystać, to załagodź to jakoś, żeby nie zabrzmiało jak tania przechwałka!

- Ależ oczywiście, naturalnie. A ty ze swojej strony mógłbyś porozysłać moją najnowszą powieść po wydawnictwach.

- Tylko najpierw ją skończ.

Skończę, właściwie już skończyłam, niech tylko wyklączy się ze mnie ostatni fragment o mojej przedawionej i zakazanej relacji z przyrodnim bratem, podówczas jeszcze małoletnim (to dopiero skandal!). I niech przyjdzie mi do głowy jakiś sensowny tytuł, może coś mi podpowie Roksanka albo Adrian, moi dobrzy druhowie. Spotykamy się u mnie w miarę regularnie i wspólnie szlifujemy nasze teksty. Zaczęło się od tego, że Adrian podesał mi swój niewydany, debiutancki tomik, a ja wraz z Roksaną dosłownie go przemiełiliśmy. Oby chłopakowi wyszło to na zdrowie, oby ktoś zechciał go teraz wydać.

Osobiście służą mi te nasze robocze spotkania. Po każdym z nich doznaję krzepiącego poczucia, że oto na ostatniej stroniczce przerabianego tekstu przystawiliśmy wspólnie stempelek z dużą literą „Q”.

Położyłam dłoń na ramieniu Marcela. Zewsząd napierały na nas warstwy ciemności. Oblepiał nas chłód. Wewnętrznie się zachwiałam, jak stara kobieta w płaszczu, która pochyla się nad przepaścią kostki brukowej. Od moich stóp rozpełzały się w każdym kierunku przerażające szczeliny, kamienne wąwozy nie do przebycia. Dobrze, że Marcel stał tuż obok — jego solidna kolumna ciała, z której wydobywał się tubalny głos, przywróciła mi strzępki równowagi. Rozejrzałam się po opustoszałym deptaku. Wyminął nas drobny Azjata, drobił kroczki jak zmokła kurka, gnał gdzieś przed siebie. Zapatrzyłam się za nim. Co tutaj porabiasz, biedny wędrowcze? Jak się zaplątałeś w te odległe, poniemieckie rejony? Pomyślałam, że jest w moim typie i że nigdy nie robiłam tego z Azjata. Rozeźmiałam się do środka. Skoro jestem już skazana na istnienie, na to miasto, na siebie samą, to co mi szkodzi? Rozeźmiałam się jeszcze bardziej i niemal oparłam się o silne ramię Marcela.

- Odprowadzę cię do domu – zaproponował.
Skinęłam głową.

Rozochoceni i zgłodniaли zahaczyliśmy po drodze o Maka. Marcel postawił mi małe frytki, które żarłam zachłannie, kiedy on zapychał się cheeseburgerem, nie przestając przy tym perorować:

- Opiszmy ten wieczór! I niech nam za to zapłacą. Załatw to. Co to dla ciebie! Moglibyśmy mieć nawet stałą rubrykę. Choć to wymagałoby jakiejś systematyczności, a ja mam tyle nowych opowiadań do napisania. Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić jak wiele! Ty moja ponętna literatko! – To ostatnie wycedził z jakimś rubasznym przekąsem.

Wewnętrznie chichotałam. Frytki były przesmaczne. Boże, kiedy ja ostatnio jadłam frytki? Nie potrafiłam sobie przypomnieć, a mimo to nigdy nie będę tak szczuplutka w talii, jak nasza kochana Mira. Nigdy nie będę tak wiotka i kokieteryjna, za co wszystkie w skrytości ducha pragniemy ją ukrzyżować. Ale nic to, nie będę sobie przecież psuła radości z rozkoszowania się słoną tłustością cieniutkich fryteczek z Maka.

Muszę się nimi solidnie pożywić do ostatniej kosteczki, do ostatniego okruszka, bo tegoroczna zima ściga się w mojej duszy jest naprawdę sroga.

W nocy przyśniła mi się Maria. Byłyśmy na jakimś wieczorku poetyckim, przed zgromadzonym audytorium próbowałam przeczytać jeden z jej króciutkich wierszy, ale litery na kartce rozmazywały się w jakieś przedziwne zawijasy, których mój język nie potrafił rozsupłać. Zaczęłam się jąkać i dukać. Przerazona pochwytiłam karcące spojrzenie Marii, unoszące się nad głowami zgromadzonych. Z widowni wstała postawna blondynka, która podeszła do mnie sprężystym krokiem i wyjęła kartkę z moich rozedrganych dłoni. W jej malinowych ustach wiersz nagle rozkwitł i nabrał sensu, pięknie popłynął na falach jej srebrzystego głosu. Opuściłam głowę, usiadłam zawstydzona, nie pojmując, co się ze mną stało. Przecież jestem wymyślną recytatorką!

Gdyby Marii faktycznie udało się zorganizować coś na kształt zielonogórskich murków, to mam gotowy jeden wierszyk:

*Kupmy duży stary dom w lesie
duży stary dom rośnie we mnie
jak rozpacz*

Autorzy przypominają, że fikcja to nie życie. I na odwrót.



Za'atar رتَعَزْ

Tęsknię do leniwego czasu nad kunafą ze słodkim syropem i pistacjami,
tęsknię do kawiarni Meow Cat, prowadzonej w Gazie przez Nehmę,
popijając kawę, można bawić się z gromadką kociąt.
Dzisiaj znowu ostrzał, spadło siedem pocisków.
W ziemi siedem dziur pełnych zabitych ludzi.
300 izraelskich lekarzy podpisało apel,
żeby bombardować szpitale,
jeżeli chronią się tam terroryści.
Ramallah,
Nazmija
Alwan,
Mariam
wyszły z domów tylko na chwilę.
Powtarzam dzieciom:
Umrzemy razem, to będzie jedno uderzenie, nic nie poczujemy.
Może to głupie, ale tęsknię za zapachem morza
i za kafejkami z ciepłą msabbahą z całych ziaren ciecioriki.
Dzisiaj znowu ostrzał, spadło siedem pocisków.
W ziemi siedem dziur.
A ja myślę o mamie, jak posypywała wszystko za'atar,
mieszkanką przypraw z majerankiem, tymiankiem,
I prażonym sezamem.

2023

Pępowina jeszcze tętniła, łącząc nowo narodzone dziecko i matkę, zapach wód owodniowych zmieszanych z potem penetrował nozdrza, a niemowlę już ssało matczyną pierś, wydobywało z niej pierwsze krople słodkiego colostrum. Połączone z matką, niby już urodzone, lecz wciąż jeszcze stanowiące jedność z rodzicielką, podniosło głowę do góry i w rozszerzonych źrenicach dziecka dojrzała matka nieśmiertelność. Obie, umorusane meconium i krwią, wycieńczone czterdziestodwutygodniową ciążą, znajdowały się przez chwilę w stanie przejściowym między razem i oddzielnie, kolektywnie i jednostkowo, będąc klockiem w budowlu wszechświata, komórką karbowanego liścia na rozłożystym dębie, rzadkim nadgranicznym językiem w chaosie powstałym po zbudowaniu wieży Babel. Czarne oczy dziecka (niebieski, niebiański kolor tęczówki, miał się dopiero ukazać po dostosowaniu akomodacji do nowo poznanego świata) jak lustro odbijały egzystencjalne lęki matki, fakt narodzin tak nierozzerwalnie związany z imperatywem śmierci, śmiechu, cierpienia i zapomnienia. Będziesz miała na imię Dara, dąb – powiedziała matka, zdecydowanym ruchem odebrała nożyczki z rąk położnej i przecięła pępowinę.

Parę miesięcy później w innej rodzinie również została przecięta nić. Nić życia. Mojry, przędzarki losu, cichaczem zrobiły dziurę w aorcie, gdy André schylał się, by przenieść pustaka na niską ściankę. To był kluczowy tydzień w rozbudowie domu. Potem miało być już tylko lepiej, przestrzennie, spokojniej. Trumnę z rysunkami dzieci nieśli przyjaciele. Ostatnia przysługa; już nie będą proszeni o pomoc w skręcaniu mebli, wypalaniu chwastów, układaniu podłogi. Nie będzie zaproszenia na czterdzieste trzecie urodziny, świętowane w dużym gronie. Trójka dzieci grzecznie kroczyła za skupioną matką, spoglądając na wymalowane bukowe deski, które przykryły ojca: odciski rąk półtorarocznej Valerie, różowe kwiaty i kolorową tęczę wymalowane przez czteroletniego Renze. Najstarsza córka, Liselot, dopiero uczy się pisać. Wysportowana, gra w koszykówkę, nie zna lęku; przypomina ojca. Ten październikowy dzień, gdy chowała rodziciela, był ciepły; słońce przyjemnie łaskotało skórę; jesienny gratis, kompensacja po deszczowym lecie. André zawsze miał szczęście, co nie konkurs, to wygrywał. I nawet teraz, tym ostatnim razem, miał farta. Pogoda sprzyjała potomnym towarzyszącym mu w jego ostatniej drodze. Koniec pieśni, która zdawała się wieczna. Smętny akompaniament wyjących dud odprowadził trumnę na miejsce wiecznego spoczynku. Ciało André spoczęło w lesie, wśród przyrody, by znów stał się z nią jednym. Dara przespała cały pogrzeb w nosidełku, z przerwą na karmienie; poznałszy smak matczynego mleka tuż przed odcięciem pępowiny, butelki ani smoczka nie tykała.

Matka patrzy w lustro. Powieki niemowlęcia powoli opadają, głowa przytulona do piersi wystaje z chusty. Jak zdecydowana większość matek w mniej rozwiniętej części globu, matka Dary wciska kończyny dziecka do materiałowej chusty, przydusza dziecko blisko do siebie, pisząc te słowa. Delikatne, pulchne ciało pachnące mlekiem, wduszone w pomarańczowo-różowe fałdy nosidełka. Nos czubkiem przytulony do krawędzi lazurowej sukienki, umorusanej wcześniej kwaśną cieczą ulaną z ust noworodka, produkt wydzielin własnego ciała. Rozwój więzi między matką i dzieckiem, podstawa, baza, jak dopiero co umyta podłoga, bez tumanów kurzu zalegających po kątach. Plecy bolą, paski nosidełka wpinają się w mięsień podłopatkowy. Kwaśna woń ulanego mleka dociera do nozdrzy, mieszając się z nieświeżym oddechem nieumytych zębów. Dola matki.

Śmierć i narodziny – bliskie przyjaciółki, jak przemijalność i nieśmiertelność, miłość i obrzydzenie. Wyczesywanie wszy to też rodzaj afektu, małe łapy niezgrabnym ruchem wyłapują sobie wzajemnie pasyżyty z futra – pomyśli matka, łamiąc kolejny ząb chybliwego grzebienia na gnidy. Mała Dara zaprotestuje cicho w chuście. Nieśmiertelność rośnie i domaga się własnego już chleba i igrzysk, zamiast pasywnie przypatrywać się, jak matka wyczesuje wszy z włosów siostry. Pępowina została przecięta. Kości rzucone. Mleko nadal płynie krainą szczęśliwości beztróskiego dzieciństwa. Björk Annette Apolonia siedzi dostojnie na starym stołowym krześle z Ikei, z nosem w „Kaczorze Donaldzie”. Od czasu do czasu wydaje cichy pisk, odgłos niezadowolenia, podczas gdy matka po raz kolejny natrafia na skołtunione jak ostatnie tygodnie włosy. Czy są pytania o ojca Liselot? – zapyta matka, ciągnąc za kosmyk. Czarna wesz spada na białą umywalkę. Włosy Björk są grube, jak Apolonii, prababki. Z trudem wyczesując przyklejone do włosów gnidy, matka wspomina, jak niegdyś czesała siwe włosy babki. Nieśmiertelność w grubych kosmykach w kolorze ciemny blond. Wszy wiedziały, gdzie znajduje się luksusowy hotel. Kiedy będę mogła się znów z Liselot zobaczyć? – odpowie sześciolatka. Śmierć, zapomnienie, zabawa.

Za każde dziecko jeden ząb, głosi niderlandzkie przysłowie. Piątki wyrzynają się jako pierwsze trzonowce, mówił chirurg szczękowy, ciągnąc za obcęgi. Karmienie piersią ma swoją cenę. Kropla deszczu na liściu za oknem błyszczała jak sroczą błyskotka, nadając sygnał alfabetem Morse'a, lekko kołysząc się na wietrze. Kropka, kreska, kropka. Matka na sterylnym fotelu w pokoju zabiegowym myślała: „ratuj mnie, Boże”. Krucha korona trzonowca pękła pod naciskiem mocarnej ręki, okruchy szklivi rozbiegły się po jamie ustnej. Odgłos piły dentystycznej. Zapach palonej kości. Deszcz za oknem komunikował to, co nienamacalne, pozazmysłowe, transcendentne. A potem był koniec, finisz, zapłacona w naturze cena za spoglądanie w wiekiście oczy dziecka. Na wieki wieków amen. Trzonowiec został wyrwany. Przyjaciółka w poczekalni przytuli, pocieszy, odwiezie do domu.

W lodówce tłuste mleko w butelce rozdziela się na wodę i żółty tłuszcz; mleko matki, wydzielina ciała, płynne złoto, ambrozja. Karmienie piersią to też woda, podstawa życia. Obok odciągniętego z piersi mleka leżą mizernie zapakowane kanapki do szkoły dla Björk, by zaoszczędzić czas w trakcie stresującego poranku kolejnego dnia. Niedojedzony ryżowy makaron, posiłek przerwany płacem Dary, wysycha na półce w lodówce. Wszyscy się śpieszą. Codziennosc i nieśmiertelność. Nieistotność i Schopenhauer. Makaron, mimo iż wyschnięty, zostanie przeżuty przez szczękę z brakującym zębem. Recykling zasobów; kotka, która zjada poroniony miot; w naturze nic nie ginie. Tylko drzewa wydają się wieczne. Majestatyczne buki na cmentarzu, gdzie spoczął ojciec Liselot. Ciało człowieka staje się pokarmem dla przyrody. Drzewa cokołem otaczające ogród: dęby – Dary i brzozy – Biorcie otulają dom, niczym matka tuląca w ramionach niemowlę. Immortalitas, biblijne drzewo życia, dziecko, człowiek.

Powrót wróble

Cisza
chwila
szum informacyjny

nic tutaj się
nie zgadza
liczysz

że wróble wrócą
jak wspomnienia
z dzieciństwa

trzymasz kubek napoju
sygnowany rysą
twojego pulsu

udajesz
że nie ulegasz
sztucznej inteligencji

gdy wejdiesz w cyfrową breję
wróble
powrócą

Bańki mydlane

Po latach
te bańki mydlane
lądujące na dłoni

jak wspomnienie
wiatru
we włosach

regularne obiady
o nieregularnych porach
pozostają bez smaku

dzieci północy
zamknięte w kloszach
cyfrowej ropy

powidok
pękającej bańki
mydlanej

Groteskowe obrazy

Za oknem tramwaju w którym jedziesz
kobieta z maskotką gęsi w rękach
stoi w kolejce do biletu komunikacji
miesiąc z głowy

ty masz z głowy te lata
gdy gryzło cię od środka
ale usilnie topiłaś myśli
w jutrzejszym dniu

gdy było wieczne jutro
i jedyne ja
to nie było twoje
ja

teraz już nie musisz
nic nie musisz

powidok
niedokończonej
bajki

jutrzejszy poranek przyniesie
zaropiałe oczy
płytki oddech
i wspomnienie maskotki

Szklany ką

Siedzisz w tramwaju
w ostatnim rzędzie
dla niepoznaki

uśmiechasz się do tego szklanego
mizianego i dotykane
go

w ręce trzymasz bukiet
konwalii
który kupiłaś

każde zdanie które
napisał
bierzesz za pewnik

konferencja na peryferiach świata
nieobecność ciał
brak słów

dalej miziasz cierpliwie
szklany
ką

Fart

Kostki są miejscowością małą i nieszczególną. Miejscem, jakich w Polsce wiele. Nie pamiętam nawet, gdzie dokładnie leżą, ani kiedy właściwie tam byłam. Przejeżdżałam tamtędy w drodze z zachodu na wschód, czy też z południa na północ i nie planowałam się tam zatrzymać.

Jechałam i miałam jechać dalej. Paliwa nie brakowało, kanapki cierpliwie czekały w sreberkach na pierwsze oznaki głodu, herbata w termosie trzymała idealną temperaturę. Wszystko wskazywało na nieprzerwaną podróż do celu.

Aż tu nagle, zupełnie niespodziewanie, zachciało mi się sikać. Ale nie tak po prostu. To było uczucie palące i gwałtowne. Pierwsze oznaki zapalenia pęcherza, pomyślałam. Nie był to jednak czas na diagnozy. Należało jak najszybciej zatrzymać auto, znaleźć ustronne miejsce i oddać mocz.

Sprawa była pilna i w tej podbramkowej sytuacji nie liczyłam na żadne dedykowane dla tego typu spraw miejsce, nie liczyłam nawet na las. Potrzebne mi było chociażby jedno drzewo oddalone z każdej strony o 50 metrów od najbliższego zabudowania.

Cóż jednak za pech, że akurat jechałam przez ciąg miejscowości. Jedna za drugą. To się kończy Marynin, za chwilę tabliczka Pokłosy, obok tablicy z przekreślonymi Pokłosami, tablica Górki, za Górkami Dołki i tak bez końca. Żadnej przerwy w zabudowaniach. Ciąg miejscowości. W samym centrum dupy świata, nagle aglomeracja.

Nie wytrzymam, pomyślałam. Muszę wysikać się w jakimś punkcie usługowym. Gdziekolwiek! Byle szybko! I w tym właśnie momencie minęłam tablicę z napisem Kostki.

Jadę przez tę miejscowość, jadę i nie widzę żadnego miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać. Żadnego baru czy kawiarni. O stacji benzynowej tym bardziej nie mogło być tu mowy. Nie było tam nawet żadnego sklepu.

W końcu zza zakrętu wyłonił się sztyl „Lotto”. Pod budynkiem kubatury pustaka gigantycznych rozmiarów stoi trzech mężczyzn. Pierwsi ludzie, jakich widzę w tej okolicy. Świetnie, myślę sobie. Nie zważając na nikłe szanse, iż w środku znajdę toaletę, zatrzymuję się gwałtownie i wybiegam z samochodu. Mijam facetów, nie patrząc na nich i pędzę do środka.

Szybko omiatam wzrokiem wnętrze. Normalna kolektura. Lada obudowana jakimś bądziwnym pleksi, stojak ze zdrapkami, komputerek, tablica korkowa z przyklejonymi wygrywającymi losami. Po środku tego królestwa siedzi kasjerka. Klasyczna Grażyna z trwałą ondulacją i fioletową płukanką na głowie. Siedzi i patrzy na mnie zdumiona.

– Czy jest tu może jakimś cudem toaleta? – rzuciłam w stronę kasjerki.

Grażyna nawet nie odpowiada. Zupełnie nie zdziwionym palcem wskazuje mi na framugę przewieszoną kolorowym materiałem na sznurku, która znajduje się centralnie obok mnie. Biegnę za tę kotarę i znajduję się w kiblu. No jaja chyba, że zamiast drzwi mają kotarę – myślę. Przecież to jest upokarzające, żeby jakaś obca baba słuchała, jak sikam. Nie mam jednak czasu na takie dylematy. Zsikam się do toalety lub do swoich własnych gaci.

Zaspokajam więc swoją potrzebę fizjologiczną w kolekturze w Kostkach. Od ekspedientki oddzieła mnie tylko kotara. Sikam, sikam i przestać nie mogę. Staram się zrobić to jak najszybciej, by zadać kres memu upokorzeniu, ale sikam dalej, a plusk sików w toalecie dźwięcznym echem odbija się po całym kiblu i jak mniemam, również po reszcie budynku. Nagle słyszę, że drzwi kolektury otwierają się i wchodzi tych trzech facetów spod wejścia. Słyszę ich głosy. Oni słyszą, jak sikam.

Czuję, jak policzki mi pąsowieją i robi mi się gorąco ze wstydu. I sikam dalej. Zaczynam zaciskać mięśnie brzucha, żeby jak najszybciej dosikać te siki do końca. Strumień się wzmacnia, mocz odpryskuje od muszli

klozetowej, zraszając obrzydliwą bryzą moje nogi zgięte w przykucu na Małysza. Rozglądam się w międzyczasie, czy jest papier i oczywiście nie ma.

W końcu udaje mi się opróżnić pęcherz. Ogarniam się i spuszcza wodę. Dźwięk ten wydaje mi się głośny niczym karetka mijająca na sygnale.

Zastanawiam się, jak zachować się po wyłonieniu zza kotary. Myję ręce w lodowatej wodzie i przychodzi mi na myśl, że zostawię ekspedientce pięć złotych napiwku. To powinno przywrócić mi utraconą w tej kolekturze godność.

Przed wyjściem poprawiam jeszcze włosy, biorę głęboki oddech i odchylam ręką kotarę.

Wszyscy się na mnie patrzą. Trzech typów i kasjerka. Osiem par oczu w moim kierunku. Staram się z największą dystynkcją podejść do lady. Staję między mężczyznami i otwieram portfel. Wyjmuję pięć złotych i kładę na ladę.

– To za uprzejmość – mówię i ręką przesuwam monetę w kierunku kasjerki.

– Na co komu pięć złotych. Pięć milionów by się przydało! – odpowiada Grażyna.

Wlepiam w nią zbity z tropu wzrok.

– Bo u nas w ubiegłym miesiącu padła wygrana – mówi Grażyna.

– Pięć milionów Krzysiek od Mareckich wygrał – mówi jeden z facetów stojących koło mnie i palcem wskazuje przypięty do korkowej tablicy wydruk z totalizatora.

Łypię okiem, a tam faktycznie napisane „WYGRANA 5 000 000 zł”. O proszę, myślę sobie, to się komuś przyfarić. Patrząc na Grażynę, a ona tylko na to czekała.

– Po zapłaceniu podatku, pewnie z cztery i pół zostało, ale i tak do końca życia ustawiony – mówi natchmianem. Słychać, że sprawę ma przemyślaną i opowiada o tym nie pierwszy raz.

A ona tłumaczy mi dalej.

– Nic byśmy nawet nie wiedzieli, ale z centrali dzwoniли, że wygrana padła. Szok to był i niedowierzanie, że u nas w Kostkach takie szczęście zawitało! Tylko telefon odłożyłam i od razu do sklepu poleciałam i krzyczę: „ludzie, kupony sprawdzajcie! Szóstka u nas padła”.

Grażyna cała się trzęsie i tak mi to mówi, jakby znowu w tym sklepie była.

– To ludzie zaczęli sprawdzać. Ja im zwycięskie numery podyktowałam. Po kolei wszyscy sprawdzali, a zaraz potem do swoich domów biegli. Każdy miał nadzieję, że jak nie on, to może kto chociaż z bliskich, pani rozumie, bo u nas wszyscy kupony regularnie kupują. No takie się zamieszanie zrobiło. Ludzie tylko wpadali i wypadali ze sklepu. I tylko co chwila ktoś krzyczał: „to nie u nas”, „kto wygrał, kto wygrał?!”.

Grażyna nagle pochyla się w moją stronę i zupełnie już podekscytowanym szeptem mówi:

– Aż nagle wbiega, rozumie pani, do sklepu ten młody gówniarz od Mareckich, ten rudy Jareczek i krzyczy: „kurwa, ojciec szóstkę trafił!”. No to szok normalnie! Wszyscy patrzą po sobie, tylko jedna Bożenka, kasjerka ze sklepu, rozum zachowała i mu mówi: „a co ty, gówniarzu, przeklinasz, jeszcześ od ziemi nie odrósł, a mi tu będziesz w sklepie przy klientach przeklinał”. Na co ten Jareczek się na nią patrzy i mówi: „a co mi zrobisz?”. No normalnie myślałam, że sama mu po głębie trzasnę, ale nim się zdążyłam zamachnąć, to już szczył wyleciał ze sklepu i pobiegł do domu.

Grażyna nagle zawiesza głos i przyobleka nostalgiczną minę, a po chwili mówi dalej:

– No a potem to już, wie pani, się sprawy szybko potoczyły. Jak Marecki odebrał wygraną, to normalnie mu odbiło. A to nowy samochód, a to to, a to tamto. Ludzie to normalnie od pieniędzy rozum tracą.

I Grażyna jeszcze bardziej się pochyla i zaczyna do mnie mówić jeszcze cichszym szeptem, tak że się już się musiałam na tej ladzie zupełnie położyć, żeby ją dobrze usłyszeć.

– A pani rozumie, że ten Marecki to teraz już nawet do pracy nie chodzi? Żona jego zresztą tak samo. Wielka mi teraz prezesa. A szczył ten ich głupi, Jareczek, to w szkole tak się normalnie popisywać zaczął, że się sam o kłopoty prosi.

I dalej by mi z pewnością Grażyna to wszystko opowiadała, ale nagle otworzyły się drzwi do kolektury i stanął w nich jakiś mężczyzna. Na to trzech facetów, którzy wciąż koło mnie stali, odwraca się i jeden z nich mówi:

– O, cześć Marecki.

Patrzę, a koleś ubrany jest w klapki, jakiś dres, a na głowie czapka z daszkiem z wielkim krokodylem Lacoste. Wchodzi do środka i zbliża się w naszą stronę. W całej kolekturze zapadła cisza i atmosfera zrobiła się w sumie jakaś niezwykła, bo przecież dopiero co słyszałam o nim historię, a stoi przede mną we własnej osobie.

Podchodzi do kasy, a my z Grażyną obie nieco speszone, że go tak obgadywałyśmy, stoimy jak słupy soli, podobnie zresztą jak faceci, którzy nadal tam z nami są. I ten Marecki pyta:

– Dzień dobry! Jak tam leci?

Grażyna coś tam mu odburkuje, że dobrze, dobrze i też go pyta, co u niego słyhać. A on na to:

– Stara bida.

A wtedy on na mnie spogląda i pyta:

– A pani to ja nie znam, pani pewnie przejeżdżna?

– Tak, tak, przejazdem tylko, musiałam się na chwilkę zatrzymać w trasie.

– A no to może w takim razie pozwolę sobie pani zdrapkę sprezentować?

I nie czekając nawet na moją reakcję, zwraca się do Grażyny:

– To poproszę dwie zdrapeczki, takie jakieś fajniejsze może, po dziesięć złotych, co?

Grażyna lekko wybałusza oczy, ale nabija coś na kasę i podaje mi te dwie zdrapki. Marecki bierze je do ręki i wyciąga w moją stronę. Drugą dłonią wskazuje na nie gestem zapraszającym do wybrania sobie jednej z nich.

Sięgam po lewą, ponieważ mam zasadę, żeby zawsze wybierać lewą, chociaż czuję, że ta prawa ma jakąś lepszą energię. Ale nic, mam zasadę i zawsze wybieram lewą.

W tej samej niemal sekundzie Marecki podaje mi tę moją pięćzłotówkę dla Grażyny, która cały czas leżała na ladzie i mówi:

– To piękna pani może pierwsza sobie zdrapie.

Więc zdrapuję. Zdrapka ma jakieś sto pól, trwa to i trwa, ale im bardziej zdrapuję, tym bardziej widzę, że z wygranej nici.

W końcu odślaniam ostatnie pole i tak, jak przeczuwałam, kupon nadaje się do kosza.

– A to za pozwoleniem, ja teraz może szczęścia spróbuję – mówi Marecki i bierze monetę, którą mi wcześniej wręczył i zaczyna zdrapywać.

Zdrapuje, zdrapuje, patrzę, a tam odślania mu się wygrana 100 złotych.

Marecki zaczyna się śmiać i mówi:

– No jak się ma farta, to się ma farta! To się chyba trzeba pod jakąś szczęśliwą gwiazdą urodzić.

Faceci, którzy cały czas stoją w sklepie i Grażyna patrzą na tę zdrapkę razem ze mną, szczerze otaczamy Mareckiego i żadne z nas nie wierzy własnym oczom.

Marecki przesuwa po ladzie zdrapkę w kierunku Grażyny i mówi:

– No to będzie od razu wypłata! Dziś marna stóweczka. – I zaczyna chichotać.

Grażyna widzę, że kipi od środka i szczerze powiem, że kobietę rozumiem, bo facet ewidentnie przesadza. Niemniej jednak Grażka robi swoją robotę, wypłaca facetowi stówę zgodnie z procedurą. Kładzie mi ją na ladzie, a Marecki ją bierze i na mnie jakoś znowu spogląda.

Patrzę na niego, a on patrzy na mnie, aż w końcu mówi:

– Pani się nie martwi, pieniądze szczęścia nie dają.

– A weź pan spieprzaj – odpowiadam i zalewa mnie fala wściekłości. Jednocześnie czuję, że znowu pilnie muszę do toalety, ale omiotam tylko wzrokiem kolekturę, Grażynę i tych facetów, którzy tam wciąż stoją, wychodzę, nie mówiąc nawet „do widzenia” z budynku w kształcie pustaka, wsiadam do samochodu i odjeżdżam.

I jeszcze mi pajac piąta ukradł – myślę, mijając tablicę wyjazdową z Kostek.

Osiem

miasto w sierpniowym żarze
pierwsze spotkanie
leżaki z widokiem na zieleń
rozmowa jak mecz o wszystko
dystans skracany przypadkiem
projekt kontra drinki
puste szklanki
krój bielizny pod sukienką
próbne zdjęcie na koniec
twoja nienaganna poza
spust migawki
w obiektywie kolor języka

zaczepny gest
nieudana prowokacja
czas na plany, ustalenia
twoja obrażona mina
moja kapitulacja
teatralny całus nad stołem
najpierw posiłek
chwila dla chwili
telefon w twojej dłoni
mozaika na talerzach
kawa na koszuli
moja wpadka

sesja po czasie
letni zmierzch
makijaż kontra upał
na posterunku stylistka
twoje zamknięte oczy
moje ciche spojrzenie
twój nagły wzrok
moja konsternacja
ostatnie ujęcia
puste studio
chłodny wermut
kostki lodu za koszulą

nadgarstki w moich dłoniach
niecierpliwość w ustach

tutaj, jeszcze przed chwilą
gorączkowe poszukiwania
to ta sztuka, pierwszy rząd
próby wyciszenia sytuacji
twoja wściekłość
moja niezawiniona wina
wskazówki za rubikonem
odwrócony wektor emocji
twarda podłoga
otarte plecy
twarda podłoga
miękki letarg

jesienny Bałtyk
błękit pod powiekami
piasek w uszach
cierpki cydr w twoim pępku
odwrócony wzrok przechodniów
kadry do prywatnej kolekcji
brak snu
niedosyt
brak snu
rewia przyjemności

pierwszy chłodny wieczór
twoja ulubiona restauracja
próba rozmów o kiedyś
twoje milczenie
moja desperacja
nieustępliwy dystans
rachunek za przystawki
puste miejsce przy stole
dyskretny kelner
pięć drinków zamiast towarzystwa

ostatni dzień w studio
oziębły profesjonalizm
jeszcze jeden film
innym aparatem
kolejne ujęcia
zmiany obiektywu
próba schwytania czasu
cisza po ostatnim zdjęciu
stylistka w odwodzie
trzaśnięcie drzwiami

twój wzrok nad moją głową
oschłe: tylko bez dramatów
bilet na samolot we wtorek
kontrakt, ważne sprawy
szorstka ściana za plecami
następny papieros w ustach
spust migawki
puste studio
ostateczny dowód braku
osiem kadrów, osiem dni
osiem
wertykalna nieskończoność

Ostatni kurs

Tap, tap... Krople deszczu raz po razie uderzały w mój parasol. Wystukiwały regularny rytm, który działał na mnie hipnotyzująco. Poza tym niewiele było słycać – jedynie odległe hałasy sporadycznie przejeżdżających główną drogą samochodów, czy inne takie, ale nie było w tym nic dziwnego. Nastąpiła już noc, a to był kraniec przedmieść.

Czekałem na ostatni autobus do domu. Byłem zbyt zmęczony by nawet myśleć, co by się stało, gdyby nie przyjechał, więc po prostu nie zakładałem takiej ewentualności. Tak, wszystko będzie w porządku. Tylko ten deszcz... Na całe szczęście wziąłem ze sobą ten parasol, bo przystanek znajdował się po środku niczego. Nie miał żadnego daszku czy choćby drzewa, pod którym dałoby się radę ukryć. Tap, tap... Tak, zdecydowanie dobrze wyszło, że go zabrałem. Inaczej przesiąkłbym do granic możliwości.

Przystanek był opustoszały, ale nie czekałem na nim jako jedyny. Była tu jeszcze jakaś dziewczyna. Dyskretnie obejrzałem się w jej stronę. Młoda – na oko dałbym jej może z dwadzieścia lat, a do tego całkiem ładna. Jej ciemne włosy, zapewne zazwyczaj lśniące, obecnie opadały do ramion niczym mokry mop. Mimo to nic sobie z tego nie robiła. Podobnie jak ze stanu swoich ubrań. Jak nic będzie potem chora. No, ale to już nie mój problem.

Tap, tap.

Może jednak powinienem zaprosić ją pod swój parasol? Było pod nim wystarczająco dużo miejsca dla dwójki. Niby to niezbyt komfortowe stać tak z obcym facetem, w szczególności o tej porze dnia, ale chyba wciąż lepsze niż dalsze moknięcie w narastającej ulewie, prawda? Już otworzyłem usta, lecz w porę ugryzłem się w język. Za późno na takie akty wspaniatomysłności. Ile tak razem stoimy? Z dobry kwadrans? Łaskawy pan nareszcie wysilił się na gest! W tym momencie raczej żadna jej różnica czy ma osłonę, czy nie. Pogodziła się ze swoim losem i nic mi do tego – przypomniałem sobie.

Tap, tap.

Sennie przechyliłem głowę. Czas zdawał się wydłużać w nieskończoność. Kiedy przyjedzie ten cholerny bus, bo od tego stukania zaraz zwariuję?

Tap, tap.

Ostatnio często trafiałem na ostatni autobus. Równie często też lało. Zawsze na tym samym przystanku. Zawsze tylko ja i ona i zawsze tylko ja miałem parasol. Nie nauczyła się, że lepiej w końcu zabrać swój? A może właśnie czekała na mój pierwszy krok. Łudziła się, że pewnego dnia ten pajac, który zawsze stoi obok, nareszcie podzieli się z nią. Bzdura. Takie rzeczy działy się co najwyżej w filmach. Jednak jeśli jakimś cudem o tym marzyła, działało to na mnie jak płachta na byka. Chcesz zagrać w grę, malutka? To zagramy. Udowodnię ci, że nigdy tego nie zrobię, cokolwiek by się nie działo, ile razy więcej byśmy się nie mieli spotkać w takich okolicznościach. Stało się to dla mnie kwestią dumy.

Tap, tap.

Kolejna noc, kolejny deszcz, kolejny pojedynek woli. Dzielnie tkwiłem w swoim postanowieniu i ignorowałem towarzyszkę oczekiwania. Oboje właściwie nie ruszyliśmy się choćby o milimetr. Co więcej, miałem wrażenie, że za każdym spotkaniem było identycznie. Oboje mieliśmy swoje stałe pozycje, precyzyjnie odmierzone, tak samo jak dystans między nami. W ogóle wszystko sprawiało wrażenie niezmiennego do tego

stopnia, że zacząłem podejrzewać się o utratę zmysłów. Uszczypnąłem się w policzek, jednak ona nie zniknęła. Dobrze, chociaż wiedziałem, że to nie halucynacja. Spisek mogłem z góry przekreślić, bo kto i po co miałby targać się na zdrowie psychiczne tak przeciętnej osoby jak ja? Zostawała jeszcze jedna alternatywa.

Wstrzymałem oddech. Spróbowałem przypomnieć sobie, czy kiedyś słyszałem o śmierci na przystanku w okolicy. Chwila, chyba coś takiego wyda... Stop! Nie miałem pewności. Właściwie mogłem to sobie teraz uroić, więc nie powinienem dalej pobudzać wyobraźni. Najpewniejszym sposobem sprawdzenia byłoby zbliżyć się i ją dotknąć, lecz tak czy siak to nie miało być szczęśliwego zakończenia. Nie miałem pojęcia, który potencjalny rezultat był gorszy – ona okazuje się duchem, czy ja trafiam za kratki za molestowanie?

Tap, tap.

Na swój sposób zacząłem doceniać nasze nieme randki. Pomimo tego, że nie znałem jej imienia, polubiłem ją. Stała się poniekąd stałą częścią mojego życia, pewną tak samo jak to, że znowu nie będzie śniegu na Boże Narodzenie, ale za to w połowie stycznia nadejdą mrozy. Nie miałem pojęcia, co bym zrobił, gdyby któregoś razu, podczas deszczowego wieczoru nie zjawiłaby się na przystanku. To byłoby jak kres epoki. Nie odnalazłbym się potem w życiu. Więc na co czekasz? Zagadaj do niej wreszcie! Przynaj przed sobą, że ci się podoba i zaprosz ją w ciekawsze miejsce niż zatopiony przystanek na odludziu.

Niech będzie.

Zebrałem całą swoją odwagę i skoczyłem do boju.

– Przepraszam...?

Tap, tap.

Zdziwiłem się, bo ten głos nie należał do mnie. Był niższy i należał do kogoś wyraźnie ode mnie starszego.

– Wchodzi pan, czy nie?

Znikąd pojawił się autobus i przez otwarte drzwi przemawiał do mnie kierowca.

– Tak, tak... – potwierdziłem posłusznie i wspiąłem się po schodkach.

Płacąc za bilet, zauważyłem, że oprócz mnie jedynym pasażerem była przemoczona dziewczyna. Siedziała daleko – straciłem moją szansę. Zrezygnowany, osunąłem się więc na pierwszy lepszy fotel i wyciągnąłem telefon. To, co zobaczyłem na jego wyświetlaczu, wstrząsnęło mną.

Nadal był ten sam dzień, a do tego minęło zaledwie pięć minut, odkąd po raz ostatni sprawdzałem godzinę. Te wszystkie dni wydarzyły się wyłącznie w mojej głowie. Zamknąwszy oczy, ze wstydu zapadłem się w siedzisku. Dochodziły mnie jedynie dźwięk silnika i symfonia uderzającego o szybę deszczu. Tap, tap, tap. Jakby nawet on wyśmiewał ilość mentalnej gimnastyki, którą wybrałem zamiast po prostu się odezwać.



gwiazdy

tysiące złotych gwiazd które nie znikają w dzień
nie mogą zgasnąć w tej samej chwili
zniknąć tak po prostu

jednak są wchłaniane
unoszą się szarą chmurą popielatym dymem

pierwsze zdjęcie czarnej dziury
wiecznego paleniska
nie tylko hawking nie dożył tego momentu

tradycja

wszystkim mieszkańcom anatewek

najpierw tradycją obyczajem normą
były role małżonków rodziców dzieci
śluby pogrzeby narodziny
jak jeść jak pić jak się modlić
zapytasz – jak to się stało
tradycją obyczajem normą
odpowiem – nie wiem
ale to była tradycja

później tradycją obyczajem normą
stały się ucieczka strach kryjówka
denuncjacja szantaż łapówka
jak milczeć jak nie jeść jak przeżyć
zapytasz – jak to stało się
tradycją obyczajem normą
odpowiem – nie wiem
ale to była tradycja

kostka cukru była naszym marzeniem

zapachem róży w latrynie
ugotowaną kością w zupie z pokrzywy
pięcioma pajdami chleba
chowanymi pod siennik

za kostkę cukru
każdy by nie wiem co
baliśmy się pomyśleć

kostka cukru kryształek
majak miraż cel dnia

smak pozaobozowy

nie może wziąć ślubu

nawet najcieńszy tiul
jest dla niej dawną poduszką
która zakryła jej twarz
gdy czarny żołnierz
w czarnych butach
przeszukiwał dom
szukając dzieci o czarnych oczach

Animacja poklatkowa

Metalowe kartoteki z łoskotem wysuwają się zza brudnej szyby szybko i regularnie. Nieustający hałas, w pozbawionym snu mózgu budzi zwierzę. Rosną kły. Czerwienieją białka oczu zapatrzonych w pędzące nic. Podkreścone nocnym czuwaniem zmysły wytapują każdy szmer i zapach. Wyginają się szpony, mięśnie gotowe do skoku szarpną boleśnie pod powłoką skóry i dusznej ciemności. Mrok pali skórę, wypala źrenice. A jednak zasady współistnienia w społeczeństwie wbijane latami systemem edukacji unieruchamiają w miejscu jak żywą mumię. Piekące powieki dryfują góra – dół, góra – dół. Ciemno, ciemniej, zarys, rozblask. Grafit, grafit, popiel, popiel, brudna biel. Drzewa, domy, drzewa, wypatroszone z okien nieczynne stacje. Drzewa, piach, piach, budowa, pole. Zarys światła na krawędzi aluminiowej ramy świata. Drzewa, drzewa, drzewa. Dziesiąta godzina podróży tłucze konarami po neuronach. Tandeta wydobyta światłem. W budowie osiedle szeregowych domów, dla bogatych w budowie. Wszystko, wszyscy w budowie – wiadukt obwodnicy, moloch na betonowych zbrojonych nogach mamuta. Martwy mamut bez głowy. Na betonowym karku zamiast głowy drapieżna łapa koparki. Mały, blaszany drapieżnik wyżarł głowę mamutowi. Pomiedzy – tandeta wypacykowana w PRL-u na sprzedaż za dewizy – kawałek pola, na kawałku bażant, plama żywych kolorów, zagubiona jak pacjent psychiatryka. Beznadziejna, jaskrawa kreskówka. Nie na miejscu – na miejscu. Nienaturalna natura. Dalej.

Brudna klatka się rozwidnia, czerwona gęba, otwarte usta, zamknięte oczy, sopol śliny kap, kap... Przez dziesięć godzin czerwona gęba opowiada odgrzewane dowcipy. Dowcipne dowcipy słuchane z poczuciem bomby zegarowej pod czaszką. Dowcipne do w cipy. Dowcipne pochwalne do w cipy. Nie każdy ma poczucie humoru. Nie każdy musi. Nie każdy ma poczucie.

Zaschnięta kobiecość, zasupłana pod nijakim płaszczem. Nijaka spłaszczona kobiecość. Oddech bzycający jak uwięziona pszczoła. Pergaminowa dłoń zaciśnięta stalowo na ręczce podróźnej torby. Starość przesuwająca bezgłośnie słowa w poruszających się nieustannie wargach. W poruszających się nieustannie ziarnach wytartego różańca. Perpetuum mobile. Siedzenia jak żywe organizmy, pocą się potem tysiąca przypadkowych podróźnych. Zmęczone, niedomyte siedzenia. Wypluwają miazgę, katapultują na peron. Pospieszne szukanie rąk, nóg, walizek, mózgow, dzieci, kibla.

Budowa, przebudowa, rozcięty brzuch wypuszcza wnętrzności. Kable, szyny, maszyny, beton, zwały piachu zagrzebujące, zapadające. Dechy, bebechy, ładka dla tych, co dostąpili królestwa. Królestwo przesiadki czeka. Na głowie pył, wapno, jazgot wiertel udarowych, brak kasku. Na głowie krzaki przeżute koparko-spycharką. Żółta plama. Chusteczka, ruch mimowolny, wyuczony. Okulary rozwidnione żółto kwitnącą gałęzią forsycji. Wybebeszone korzenie, zielonożółte zdychanie, puls nitkowaty, takie życie. Kolejny ciemny wagon połyka łapczywie. Powolny przemarsz pasażerów w metalowych jelitach. Trawienie. Rozpad. Dalej.

Sen szuka szczelin. Dzieciak wrzeszczy. Ładny, znużony dzieciak. Nikt nie karmiłby, nie znosił nieładnych. Podstęp natury omamił udręczoną matkę. Ładny dzieciak z gębą zatkaną czekoladowym batonem. Czekolada na pulchnych policzkach. Czekolada powoli rozlewa się po synapsach, czarna dziura. Sen.

Kontrola biletów. Szok pierwszego oddechu. Narodziny ze snu przesywają płuca bólem. Oczy uciekają od światła w ciemność po czaszką. Dźwięk głosu wali w skronie stalowym młotem, młotkiem, młoteczkiem. Jeszcze piętnaście minut. Jeszcze dziesięć, pięć. Już.

Prowincjonalne kocie łby prowadzą wyuczoną drogą. Kocie łby wytarte z futra. Zaryte szczękami w ziemi, wkopane po czubki czerepów idiotyzmem nazwy. Zaraczony, przedwojenny park. Drzewne hospicjum wilgotne i ciemne. Pisklę nagie i sine z olbrzymimi guzami niewidzących ślepi pełza pod drzewem na kikutach niewyklutych skrzydeł. Wielki łeb, nauczony tylko otwierać się na pokarm, nie chce oderwać się od ziemi. Podobieństwo do ludzkiego płodu wzbiera w gardle falą młodości. Zmęczenie podsuwa obrazy ewolucji jednego bytu zatrzymanego wielokrotnie w czasie. Pisklęciu rosną ludzkie stopy i dłonie. Połyskliwa czernią kawka zlatuje z innego kadru wygłodniała. Celnym ciosem w siną czaszkę kończy egzystencjalny bełkot myśli. Ptasie trupek zwisa bezwładny z pazurów smakoszki. Nie krwawi. Nawet nie krwawi. Dalej.

Żółtoczerwona świątynia konsumpcji. Promocja. Wyprzedaż. Za pół ceny. Za pół ceny lepsze życie i pomidory, i kiełbasa. Dwa w cenie jednego, pięćdziesiąt procent gratis. Kup masło, kup mydło, kup sandały, trzeci gratis. Kup, kup, kup! Przeżuta kupa wyznawców wlewa się i wylewa z wiarą i nadzieją. Metalowe wózki pełne kupy z nadzieją. Przy wózkach Romeo i Julia. Julia z włosami wyżartymi kwasem. Czerwonogęba, brudna, łysa Julia. Zarośnięty, śmierzący Romeo w srebrnym skafandrze z ortalionu. Całe szczęście w nalewce Miód-Lipa. Całe szczęście codziennie od ósmej do dwudziestej drugiej. Miód-Lipa takie szczęście. Lipa. Miód?

Dalej.

Stęchlizna stuletniej kamienicy. Grzyb pełza po ścianach grafitowym, wilgotnym welurem. Prowadzi w górę. Czarnym szronem osiada na płucach starych mężczyzn, kobiet i dzieci. Starych dzieci starościami murów rozsadzanych powoli od środka nadmiarem życia i śmierci. Życia i śmierci przesiąkają z szeptem przez papierowe tapety, boazerie, regipsy. Pył, rozpad, kaszel. Kaszel, nieustanny kaszel rozeschniętych ram okiennych, skrzypiących drzwi, wilgotnych piwnic. Schizofrenia podważa antywłamaniowe szczęki. Macha rękami i całym rachitycznym ciałkiem dawno martwej starej kobiety, jak marionetką. Różowe rękawy szlafroka frotte pełne naftalinowych pretensji o zmarnowane życie i piłę tarczową chodzącą całą noc w pustym mieszkaniu. Piła chodzi w metalowych glanach codziennie po pustym od miesięcy mieszkaniu. Przeżyna w drobne plastry przesiąknięty zwidami mózg. Przetrawia zwoje na trociny. Naftalinowy oddech zaczepta się o kołnierz płaszczka. Naftalinowy oddech łapie za kark, puszcza, odpada, leci, trzask. Trzask i zgrzyt stalowych zębów. Zamknięte, zaryglowane. Twierdza wariatki nie do zdobycia. Nie do pokonania. Dalej.

Martwe mieszkanie pod mysim futrem kurzu. Kurz. Strzępy. Kawałki. Oczy schizofreniczki zalewa wrzątek kawy. Gorący wir mściwie wciąga, ucisza, zatapia. Głód porządkuje funkcje i czynności. Lodówka, szafka, szuflada. Lodówka, szafka, szuflada. Fotel. Rozmrożony w mikrofalówce chleb smakuje kąpielową gąbką. Po szklanym wazonie spływa zgnilizna dwumiesięcznych tulipanów. Trupi jad pasmami seledynu i żółci krąży pod oszłitym kozuchem pleśni. Larwy komarów tańczą pod nim obojętne. Wiotkie, delikatne pływające przecinki zamienią się mimowolnie w drobny, dokuczliwy ból. Drapiesz. Ból pęcznieje pod skórą i żąda więcej. Drapiesz. Skóra pod paznokciami podsiąka różową miązgą. Podsiąka ciemniej i ciemniej. Głowa zatrzymuje rękę. Strup zaczyna się w głowie. Rośnie. Jest. Strup na każdy dzień i każdą sekundę. Strupy i strupki. Instynkt przetrwania skręca je w kształty potrzebne właśnie teraz i tutaj. Właśnie tutaj. Właśnie teraz.

październik, 2018

Wiązanie

Wiązanie słów i rzeczy
ma w sobie coś z nicowania
sensów
ponownego nawlekania
igły na nitkę
odgłosu dławienia w gardle
gdy więzną słowa
trzeba je mocno odkrztusić
zanim
wypowie się a
trzeba zacząć od z
jedynie ta cisza między słowami
jest nieskończona
i mocno niewygodna
jak drzazga w palcu
jak kalectwo rzeczy

Miniatura

Ta gałąź ma chropowatą korę
wrósł się w nią czas
spróchniały marzenia
tylko ogniki liści
tłą się nadzieją
oto las teutoński w miniaturze
co polegnie, a co przeżyje
odwieczne pytania
od odwiecznych czasów
Las teutoński zamykają dęby, jarzębiny
i źrenica patrzącego oka

Ostatni lot

Odprowadziliśmy wzrokiem karetkę, która już po chwili zniknęła za zakrętem na wysokości przedszkola. Wszyscy stali jeszcze przez chwilę przed bramką, jakby nie byli w stanie pojąć faktu, że nieprzytomny starzec musi zostać zabrany do szpitala. Pierwszy ruszył w kierunku domu Zbyszek, za nim poczłapali pozostali. Matka poszła z babcią Binią do jej pokoju, ojciec usiadł z Andrzejem pod śliwką i w ponurym milczeniu wpatrywali się w krzaki dziadkowych pomidorów. Już jakiś czas temu z parapetów pozniakały fłance w plastikowych pojemnikach. Zdążył jeszcze wsadzić wątłe roślinki do ziemi.

Zaledwie przed kilkoma dniami w swoje imieniny siedział z nami w piżamie przy stole. Matka mówiła mu o odwiedzinach u Andrzeja dyżurującego w szpitalu miejskim. Nie za dobrze słyszał, dopytywał się, czy i Zbyszek był z nami. Potem rozmowa potoczyła się normalnym, biesiadnym torem – ktoś, nie wiadomo dlaczego, wspominał o zakończeniu produkcji fiata 125, Lodzia zachęcała do oglądania Opola, mówiono o zbliżającej się fali upałów. Ojciec co jakiś czas polewał, unosił kieliszek w jednoznaczny geście zachęty i za każdym razem mówił: „Zdrowie solenizanta!”. Solenizant siedział skulony i nieco oszołomiony. W pewnej chwili zachrypiął:

– Słuchajcie, ja już nie mogę tak pić.

Wybuchliśmy nienaturalnie głośnym śmiechem. Przecież nie wypił ani kropli. Zdawało się nam, że trzeba podtrzymać iluzję dobrej zabawy, chociaż zdawaliśmy sobie sprawę, że to prawdopodobnie jego ostatnie imieniny. Nagrywałem wszystko na magnetofonie kasetowym i podtykanie mikrofonu pod nos schorowanego starca nie wydawało mi się wtedy niczym niestosownym.

– No, jeszcze coś... – zachęcałem bezlitośnie.

Śmiechy ucichły. Nawet ciotka Lodzia zamilkła, co było nie lada wyrzeczeniem z jej strony.

– Śmieszne to wszystko – powiedział powoli dziadek Piotr.

Jeszcze chwila ciszy, jakby te słowa musiały dotrzeć głębiej i zostać zrozumiane nie jako doraźny komentarz do pustych rechatów, ale refleksja na temat ludzkiego losu.

Staruszek posiedział jeszcze przez chwilę i poprosił, żeby go odprowadzić do jego pokoju. Położył się i stracił przytomność, choć przez dłuższy czas sądziliśmy, że śpi. Jakże przezornie sprowadzono tydzień wcześniej księdza! Ojciec powiózł wartburgiem matkę i babcię Binię na plebanię, bo miały przecucie, że tak trzeba. Tego typu przecuć się nie lekceważy.

– Czy ksiądz może wypowiadać chorego? – zapytała onieśmielona matka.

– Oczywiście! Nie można zwlekać, bo jeszcze mu się odwidzi.

Pojechali. Po drodze młody kapłan próbował nieco rozproszyć ciężką atmosferę, ale jego żart o teściowej nikomu nie przypadł do gustu. Spowiedź odbyła się za zamkniętymi drzwiami, ale potem ksiądz pozwolił wszystkim wejść do pokoju. W irracjonalny sposób bardziej od dziadka ciekawiła mnie jego tajemnicza szafka. Bluźnierczo zastanawiałem się, czy w obecnej sytuacji pozwolą mi poszperać w jego rzeczach. Przecież nic z tego nie będzie mi już potrzebne. Wiedziałem, że była tam wielka busola, lotnicza odznaka-relikwia, dziennik lotów i zdjęcia muskularnego młodzieńca, który potem za sprawą meandrycznych kolei losu stał się moim dziadkiem. Pokazując te skarby, zawsze był tak samo podekscytowany, szperał w szufladach, jakby miał nadzieję, że wyciągnie stamtąd cały samolot RWD 8.

Odwrociłem wzrok od szafki, bo wszyscy z napięciem śledzili ruchy księdza. Delikatnie wziął komunikant w dwa palce i zbliżył do ust starca, który z przejęcia cały się trząsał.

– Ciało Chrystusa.

– Amen.

Wszyscy odetchnęli. Dziadek uśmiechnął się i powiedział:

– No to jestem już święty!

Teraz leżał bez przytomności, ale zdawał się śnić. W owym ostatnim, jak się okazało, śnie nieustannie manipulował rękami w powietrzu, jakby obsługiwał skomplikowany zestaw przełączników w kokpicie samolotu. Może wrócił do Bydgoszczy na praktyczny kurs pilotażu w 1931 roku? A może akurat brawurowo zniżał lot nad Turobinem, chcąc wystraszyć ludzi na targu i tym samym wzbudzić podziw w miłej jego sercu Albinie? Każdy z nas wchodził co jakiś czas do pokoju dziadka i z napięciem obserwował te ruchy rąk. Była w nich jakaś tajemnica, zdawało się, że są już z innego świata, że ustawia współrzędne do ostatniego lotu. Umarł w szpitalu kilka dni później.



wchodzą ostrożnie
wdychają cztery strony
aromatów pracowni
pożądliwy język
usta szeroko otwarte
gapią się na moje
walczne piersi
ramiona i miecz
gotowy do ciosu
ognisty smok okala
moje włosy
wnikam w ich nieśmiałe oczy
zawstydzoną głowę
mój mężczyzna
filuternie uśmiecha się
opowiada stare dowcipy
tańczy pędzlem
po parkiecie obrazów
mуска moje policzki
zasłonięty ramą brzuch
i muskularne uda
turyści umykają w pośpiechu
do swoich domów
w nocy otwierają marzenia
na kolorowe łąki
nasycone tańczącymi aniołami
na kobiety kochane i niekochane

Ewie

wysupłać kapryśne metafory
przecedzić rześisty deszcz i błyskawicę
lupą sprawdzić strumień myśli
ile przecinków i pytań
mnożę i odejmuję
rozkapryśzone słowa skaczą
po kartkach monitora kłócą się
tulą w namiętnych pocałunkach
lub gryząc moje ciepłe oczy
ulatują w chmurę
inne niepostrzeżenie zeskakują
na blat biurka
napinam bicepsy wyobraźni
i jednym oddechem
porządkuję lingwistyczny bałagan
ekran monitora
pokornie promieniuje wierszem
jeszcze tylko maszyny drukarskie

wieczorem pod parasolem
uśmiechniętego księżycy
przekraczam na rowerze
metę domu
za którą czeka z utęsknieniem
wrozumiały fotel
otoczony drzemiącymi wieżowcami
powieści i tomów poezji
kuszącymi podróżami w nieznane

Niebieski trabant

Byłem zielony jak wiosna, on niebieski. Błękitny jak aniołek, że przytulić się chciało. I powinien jeździć, jeździć, z przerwami na tankowanie, oczywiście. Podnosiło się maskę, pistolet w gardziel prostokątnego baniaka i do pełna, dwadzieścia cztery litra – tyle się mieściło – i dwie trzecie butelki Mixolu. W nagrodę siwa smuzka z tyłu. Przed zbiornikiem był silnik – cud techniki: dwie harmonijki cylindrów i sterujące z głowicy świece, jakby z dwóch komarek wzięte. Nagrzane maleństwa, że ułamek nieuwagi z pistoletem i gotów zapłonąć. Miałem takie cacko z twardej tektury, z wajchą biegów przy kierownicy. Przyprawione za ostatnie pieniądze z giełdy na Niskich Łąkach we Wrocławiu. Moje auto!

A że byłem zielony, to myślałem, że choć kontrolka ładowania czerwienią kłuje w oczy, jechać można. Przecież iskra potrzebuje prądu tyle, co nic. Tylko – zachnąłem się zaraz – jak długo można tak jechać? Aaa, tego już nie wiedziałem. Czy sto pięćdziesiąt da radę? – zastanowiłem się i po krótkim namyśle przyjąłem, że da. Zaryzykowałem. Uda się – nie uda. Przecież żadnego wyboru nie miałem – musiałem jechać. Czerwona lampka na chudym kokpicie świeciła już drugi dzień. Jak długo jeszcze? A jak braknie prądu? Chwilami wątpiłem, ale zaraz się dyscyplinowałem. Na pewno wystarczy. Musi wystarczyć! Chcę, żeby wystarczyło.

Lato było. Popołudnie. W niebieskiej popelinie z podwiniętymi rękawami usiadłem za kierownicą, drzwi uchylone. Nigdy nie było wiadomo, czy jeszcze nie przyjdzie zajrzeć pod maskę. Odpaliłem. Zawarczał od razu, jakby tylko czekał na obrót kluczyka w stacyjce. Trzasnąłem drzwiami (tak się zamykały) i w drogę.

Za sobą ciągnę siwą smuzkę. Lampka na czerwono śmieje się, ja też – do niej. Po piętnastu kilometrach skręcam na drogę krajową, kierunkowskaz, ten prawy ani drgnął, nawet nie błysnął. Ta żarłoczna żółta lampka ma apetyt na dwadzieścia i jeden watów, to sporo, prądu ubywa w zastraszającym tempie. Mogłem jeszcze zawrócić. Ale, jak już wcześniej wspominałem, musiałem jechać. Nawet bez kierunkowskazów. Bez mała setka kilometrów prostej drogi, po co mi kierunkowskazy. Przecież nikogo wyprzedzać nie zamierzałem. Ciepło. Błękit mojej popeliny ładnie komponował się z karoserią. Motor pyркаł miarowo, jak trzeba. Do trzydziestki brakowało mi ze trzy wiosny i świat jawił się kolorowo (teraz często słyszę, że szary był).

Błękitna mydelniczka pruje powietrze, na liczniku osiem dyszek, szyby opuszczone; w uszach gwizdze wiatr, w środku szum, raz po raz trzeszczy radio, jakiś śpiew, nie wiem kto. Pomykam tą osiemdziesiątką, a w porywach, z górki, wskazówka nieśmiało wspina się na dziewięćdziesiąt, dobrze się przyjrzeć, to i ciut więcej. Wąskie twarde opony pogardliwie, ale zasłużenie, zwane rowerówkami, rytmicznie stukają na spójnia betonowych płyt. Górka – wcześniej było z, teraz będzie pod – motor daje z siebie wszystko, łapie za dyszkę, ale wdrapuje się sześćdziesiątką. Z lewej migają auta na białych blachach. Jest fajnie. Nie zapominam o kontrolce, zerkam od czasu do czasu, a ona nieustannie patrzy na mnie czerwonym, zmęczonym okiem.

Skręciłem z dwupasmówki. Wystarczy, upewniłem się w myślach. Jeszcze tylko niecałe pięćdziesiąt. Dwie wioski już za plecami. Minąłem tę drugą, na polu dwie zielone blachy żyta i, pamiętam, za jakieś dwieście metrów polna droga odchodziła w bok, jak to w polu. Tuż przed nią nagle zrobiło się... cicho. Cicho jak nożem uciął. Nigdy dotąd nie wystraszyłem się żadnej ciszy. A tej – tak. Chłód mnie przeniknął od brzucha do pleców, od pięt po czubek głowy. Poczulem mrowienie pod cebulkami włosów. Wrzuciłem na luz i toczyłem się coraz wolniej; oby do zakola przy polnej drodze, myślałem.

W oddali, niepokojąco nisko nad postrzępionym wierzchołkami drzew horyzontem, wisiała czerwona tarcza słońca. I co teraz?! Holować? Kto i czym? Może jakąś okazją. Zostawić? Przecież opony są ubiegłoroczne, zaraz jaki amator się znajdzie. Czuję się jak w pułapce. Tylko spokojnie – usłyszałem czyjś głos; a może mój? Sam już nie wiem, tych głosów było więcej. Będzie dobrze – kolejna odpowiedź. Dlaczego ma być dobrze, jak jest źle? – słyszę siebie. Zajrzyj do prądnicy! – ten obcy głos. Spojrzałem na moje dopiero co wyprane wytarte dzinsy i niebieską popelinę. Podwijaj rękawy i bierz się do roboty – znowu ten sam. Ale ja... zielony – odpowiedziałem nieśmiało, niemal szeptem. Bierz się do roboty...! – słyszę natarczywe ponaglenie.

Jeszcze nigdy tego nie robiłem, jedynie raz widziałem, na parkingu przed blokiem...

Potrafiłem znaleźć prądnicę pod uniesioną maską i ślepiłem jak obcy w nieznanym terenie. Obmacuję przewody jeden po drugim, odwracam, może przetarty, pociągam delikatnie, czy się trzyma, rozglądam, czy który urwany nie dynda. Niby wszystko jest jak należy, tak mi się wydaje, tylko że ładowania nie ma. Niespodziewanie pojawił się sąsiad. Znałem go z widzenia, nigdy nie rozmawialiśmy.

– Co się stało? – spytał z wyższością w głosie.

Nie lubiłem tych tak zwanych domorośłych fachowców znajdujących się na wszystkim, co w samochodzie mogło się zepsuć. Taki typ – tak określałem ten gatunek ludzki – każdym słowem traktuje cię z góry, zwłaszcza wtedy, gdy poczuje od ciebie zieloność. Czytasz z jego twarzy i przemądrzałych oczu, że twój los w jego rękach. Dusisz swoje ja, gryziesz ambicję, zdarza się, że i język, a po chwili już tylko potakujesz i godzisz na wszystko. Nie zapraszałem go, podszedł sam. Powiedziałem, że prądnica nie ładuje.

– Pewnie szczotki, zjechałe albo zaoliwione – odparł autorytatywnie bez zastanawiania.

Powiedział, żebym dał siedemnastkę. Zdjął marynarkę i położył na murku piaskownicy. Chwyć klucz i wsuń rękę pod silnik, między kable. Lekko popiskiwały odkręcane nakrętki. Potem się podniósł z żelastwem w rękach, które zwało się „prądnica” i zażyczył sobie – tak, tak to zabrzmiało w moich uszach – zażyczył sobie szmaty, śrubokręta i jeszcze dwa klucze. Kucnął, rozpostarł tę łachę na betonce, poobracał prądnicą przed oczami, pokręcił kółkiem pasowym i mruknął, że dobrze. Odkręcił kilka nakrętek i ostrożnie wyjął wirnik. Znowu mruknął, że dobrze. Spojrzał na szczotki.

– Widzi pan – powiedział i podsunął mi pod oczy. – Szczotki są zaoilejone. – Podałem mu czystą szmatkę. Wytarł błyszczące węglowe skrawki do sucha i złożył wszystko. Obserwowałem z zainteresowaniem. Sprawnie mu to poszło. Pochylił się pod maską.

– Gotowe – powiedział po chwili, jakby chodziło o zamiecenie kawałka chodnika. – Zakręć pan.

Silnik przyjemnie zagdakał. Lampa zajarzyła się na chwilę i zgasła.

I tamto zdarzenie teraz pojawiło się mi przed oczami. Podwinąłem wyżej rękawy, siedemnastkę w dłoń i pochyliłem pod maską. Czyste dłonie w okamgnieniu zaprzyjaźniały się ze smarem. Po kilku minutach wyprostowałem się z prądnicą w rękach. Najłatwiejsze miałem za sobą, teraz trzeba było zobaczyć co w środku, co ją boli. Marzyłem o kropli oleju na szczotkach. Była. Ciemna, oleista i błyszcząca. Nawet się nie zastanawiałem, skąd się ona znowu tam znalazła? Patrzyłem jak urzeczony. Jak na niezwykle okaz owada znalezionej na polu. Wziąłem gałgan, zbliżyłem ostrożnie dłoń, jakbym się bał, że go spłoszę. I wytarłem z pietyzmem.

Złożyłem i umocowałem we właściwym miejscu.

Gdy wychylnąłem spod maski, wtedy go zobaczyłem. Stał przy samochodzie. Doznałem wrażenia, że był cały czas, czekał w milczeniu, aż naprawię. Poczuję się nieswojo.

– Mogę się z panem zabrać? – spytał.

Człowieku, z nieba mi spadłeś – pomyślałem uradowany. Obsadzę cię w roli rozrusznika. Głośno zaś powiedziałem:

– Najpierw trzeba popchnąć. Gdy prądnica będzie ładować, pojedziemy obaj.

Uśmiechnąłem się zachęcająco.

Usmarowany po łokcie i z upstrzoną smarem twarzą (komary zaczynały już żerować), usiadłem za kierownicą. Przekręciłem kluczyk, wycisnąłem sprzęgło i wrzuciłem dwójkę.

– Można! – krzyknąłem, by mnie usłyszał.

Samochód wytoczył się na asfalt, koła nabierały prędkości. Czekałem na właściwy moment, jeszcze trochę, niech naciśnie mocniej. Gdy uznałem, że chyba więcej nie da rady, że wykrzesał z siebie wszystko, co mógł – puściłem sprzęgło. Auto przystopowało i zaraz, po jednym obrocie wału zaparkował. Kontrolka błysnęła czerwono i zgasła.

Jechaliśmy. Słońce kończyło swój pracowity dzień.



przedtem zanim cokolwiek

jeszcze wcześniej zanim zacząłem pisać wiersz zagwizdał czajnik. ten dźwięk brzmiał znajomo a jednak poczułem dreszcz przebiegający przez skórę. później gdy w kubku tonęła już kawa zrozumiałem skąd te odczucia. potem z sufitu zaczął sypać się tynk. spadał wprost do zlewu. coraz mocniej i gęściej by za jakiś czas zniknąć w odmętach powodzi. na razie jednak patrzyłem na połyskującą w słońcu blachę która powoli ginęła pod pudrem sypkiej farby. po chwili warstwa była tak gruba że mogłem palcem napisać „w dupie”. nic innego nie przyszło mi wtedy do głowy. parę minut później gdy już miałem zacząć pisać wiersz zrozumiałem że należało wymyślić coś bardziej subtelnego ale w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. jeszcze raz spojrzałem na zegar. wskazówki leniwie potykały się o siebie ale sekundnik uderzał miarowo i nie pozostawiał złudzeń że w tej rozgrywce czas nie będzie moim sprzymierzeńcem. to było na kilka chwil przedtem zanim na dobre usiadłem. zanim oparłem łokcie na stole i wziąłem do ręki pióro. właściwie te dwie chwile zdarzyły się tak blisko siebie że zlały się w jedną. gdy teraz próbuję przypomnieć sobie dokładnie ten moment wiem że to niemożliwe. wtedy właśnie zagwizdał czajnik i poczułem ten dziwny dreszcz przechodzący przez skórę i nagle zdałem sobie sprawę że już nigdy niczego nie napiszę. z kranu wprost do zlewu przychnęła struga wody i zmyła ostatni ślad który po mnie pozostał

nadchodzą barbarzyńcy

Oto nadchodzą współcześni barbarzyńcy.
Równy ich krok i podniesione dumnie głowy.
Lecz dlaczego milczą o tym gazety i żadnych wzmianek
nie ma w książkach ani wierszach?

Bo barbarzyńców zapowiada *facebook* –
taka jest agora dzisiejszych czasów.

Nieśmiało mówi się w różnych telewizjach,
co wnieść mogą barbarzyńcy i jakie przemiany
dokonają się po ich przybyciu.
Tymczasem wrze na internetowych forach,
bo niektórym nie w smak są barbarzyńców idee
i nie mogą nadążyć za zmianą statusów.

Lecz to nie powstrzyma nadchodzących.

W ich kierunku wysła się listy, w których padają
pytania: co zamierzają, gdy już przyjdą i co stanie się
z dawnym porządkiem?
Lecz barbarzyńcy nie znają tej formy komunikacji.
Tweetują: nadchodzimy
i bez oporów podążają ku bramom miasta.

Może, gdy przyjdą będzie jakoś inaczej i *światlej*,
myślą ci, którzy jeszcze pamiętają pierwsze ich nieprzyjście.

W końcu, jak wynika z przekazów satelitarnych,
barbarzyńcy pojawiają się we wszystkich zakątkach świata.

I cóż poczną ci, którym zdawało się, że będą ratunkiem dla ludzkości,
gdy dowiedzą się, że barbarzyńcy znają tylko jeden język?
Może byłiby jakimś rozwiązaniem, gdyby tylko zechcieli się nim podzielić,
a tak znowu przyjdzie nam czekać na nowe pokolenie

canaletes (nie tylko dla mojej pamięci)

a gdy kończył się dzień
wywoził ją w cieniste alejki
żeby nałapać drobinek powietrza
dreptał za wózkiem skulony
mamrocząc pod nosem zaklęcia
ona pewnie nie rozumiała
a jeszcze pewniej nie usłyszała
pomarszczona siwa
i staruszka

teraz w alejkach pusto
nawet po zachodzie słońca
i nie terkocze stary wózek
ale pewnie w starej barcelonie
trzaskają iskry na *las ramblas*
kiedy porywa ją do tańca
a ona słyszy tylko jego uśmiech
i znowu rozumie każde zaklęcie

już nie staruszka
i on nigdy nie starzec

łączenie

głowa opada do ziemi. zaspokaja głód wiedzy na temat życia.
przekopuję szufelką glebę i odkładam ją na małe kopce.
kręcą się niespokojnie żuki jakbym wydzierał im wielkie tajemnice.
w rozsypkę idzie horda mrówek a tu i ówdzie powstają barykady
przeciw mojej ciekawości

zmiernicza amarantowo ale wbrew pojawiającej się ciemności
życie nadal trwa ponad ziemią i nawet szarża ważki staje się
logicznym dopełnieniem sytuacji. nie bronię już swoich pozycji.
rozrastam się strumieniowo a moje dna przyczepione do pleców ślimaka
swobodnie wędruje przez trawę

Stylistka

Gabriela zajmowała się charakteryzowaniem zmarłych, odmawianiem różańca i śpiewaniem pieśni religijnych w kaplicach cmentarnych przed ceremonią wyprowadzania zwłok do pochówku. Praca przy nieboszczykach była dla niej zarówno ekscytująca, jak i rozwojowa. I choć będąc w otoczeniu niezujących, potrafiła konsumować z apetytem kiełbasę, nie oznaczało to, że popadła w rutynę. Do każdej osoby, która pożegnała świat doczesny, kobieta podchodziła bardzo indywidualnie i z pełnym szacunkiem. Ceniła sobie zasadę, że o zmarłych nie powinno mówić się źle. Mieszkańcy miasta, w którym mieszkała, nazywali ją nieelegancko: „babka od truposzy”. Ona mówiła o sobie z dumą: „stylistka martwych”.

Gabriela umiała umiejętnie zamykać swoim „klientom” otwarte usta i oczy nawet wtedy, kiedy byli już zupełnie zimni. Uwielbiała czesać im włosy w wymyślne fryzury. Bywało też, że farbowała im czupryny na przeróżne kolory. Przede wszystkim jednak potrafiła upiększać im lica makijażem. W tym była mistrzynią. Precyzyjny make-up przynosił olśniewające rezultaty. Nawet najbardziej oszpecona śmiercią twarz wyglądała jak żywa.

Z modlitwami za zmarłych było nieco inaczej. Kiedy w kaplicy cmentarnej odmawiała za nich swoim donośnym głosem różaniec, nie było czuć w nim takiej charyzmy jak jeszcze parę lat temu. Może dlatego, że ludzie nie doceniali, ile wkładała serca w modły, by przeprowadzić duszę zmarłą w spokoju na tamten świat i traktowali ją po macoszemu. Dla nich była ot Gabryśką, która za parę grosików ponoć tak solidnie klepnie różaniec, że nieboszczyk będzie miał niemal zaklepane miejsce w bożych szeregach. Kobieta będąc sam na sam z niezującymi, bardzo lubiła udawać, że prowadzi z nimi dialog. Trochę bawiła się przy tym w aktorkę, lecz tylko po to, by umilić im ostatnie chwile przed pójściem do piachu. Oni nie mogli już nic zrobić ze swoim losem, tylko czekać, aż zostaną ulokowani w grobie, na którym będzie wkopany krzyż z danymi osobowymi i położone przez krewnych, przyjaciół, znajomych wieńce czy wiaźanki ku – niby – wiecznej pamięci. A Gabriela, obserwując dzień w dzień cmentarną rzeczywistość, wiedziała, że te wszystkie wiąchy zielska w większości przypadków są jednorazowym aktem wyrażenia publicznie bólu po stracie bliźkiego bądź mniej bliźkiego człowieka. Że zanim zdążą zgnić kwiaty, prawie nikt o nim nie będzie pamiętał. Przyjdą do niego żywi może na Wszystkich Świętych, Boże Narodzenie, Wielkanoc... Z każdym rokiem coraz rzadziej i rzadziej... Takie to smutne czasy nastały – westchnęła.

Gabriela, choć głęboko wierząca w Boga, miewała chwile zwątpienia. Nie raz myślała, tak na chłopski rozum: czy po śmierci rzeczywiście istnieje życie, skoro żaden ze zmarłych nie zstąpił na ten ziemski grajdoł, by opowiedzieć, jak tam jest? Przecież gdyby tutejsi ludzie zostali poinformowani przez jakiegoś łącznika z zaświatów, że naprawdę istnieje piekło i raj, byliby lepsi. Mając niezbity dowód na istnieniu Szatana i Boga, a co za tym idzie na pewność, iż istnieje kara i sprawiedliwość za postępowania w życiu doczesnym, naprawialiby samych siebie i postępowali według bożych przykazań. Przecież to jasne jak setki słońc, że nikt nie chciałby smażyć się na ogniu, błagając o kroplę wody. Ale tu musiałyby dotrzeć ktoś, kto kiedyś żył na tym globie. I to w postaci cielesnej. Nie inaczej. Mistycy i wizjonerzy, to przecież żadni świadkowie. A jeśli założyć, że życie pozagrobowe na pewno istnieje, to czy jedno dusze zmarłych nie przyniatają się pod ciężarem innych dusz i umierają tak jak ciała? Królestwo Niebieskie, choć zapewne duże, też przecież musi mieć swoje granice. A może jest ono zupełnie małe? Tak maleńkie jak orzech włoski, a mimo to może

się w nim pomieścić cała ludzkość? Dla Boga nie ma przecież rzeczy niemożliwych. Ale jak to jest istnieć wiecznie? Jak upływa w niebie czas? Czy z jego biegiem nie będzie można zanudzić się życiem na śmierć?

Kobieta utonęła w morzu nieposkładanych i targających jej sumienie myśli, a praca na nią czekała. Ocknęła się, poprawiła opadłe na samą końcówkę nosa okulary, wstała z ławki i ruszyła ciężkim krokiem do leżącej na katafalku dwudziestopięcioletniej kobiety, którą w przeciągu czterech miesięcy wykończył glejak wielopostaciowy. Podsunęła sobie krzesło przed trumnę, usiadła na nim tęgim pupskiem i śpiewając: „Piekarz musi zaś pracować, by nie brakło chleba, Anioł Stróż pilnuje duszy, by poszła do nieba”, przypudrowała młodej damie twarzyczkę, żeby nabrała kolorytu i nie wyglądała przeraźliwie kredowo. Potem wzięła paletę z cieniami do makijażu i położyła jej na powieki trochę seledynu, lilii oraz błękitu, które świetnie komponowały z barwną, w deseniu tęczy, żorzetową sukienką. Brwi podkreśliła węglem drzewnym, żeby pasowały do peruki imitującej wiernie jej czarne jak heban, naturalne włosy, a usta podbarwiła delikatnie surowym burakiem.

– No! Teraz wyglądasz idealnie, Jagódko! – krzyknęła z radością dumna z siebie Gabriela. – Masz buzięnkę jak u modelki, panie. A i figura w tej łaciej kiece jest niezła sobie. Bo ci gnaty z chudości nie sterczą. Możesz startować w niebiosach do konkursów piękności. Nikt cię nie prześcignie, ptaszyno. Spójrz jaka jesteś odstrzelona, panie! – Kobieta przystawiła umarłej do twarzy lusterko. – Widzisz? Wyglądasz teraz jak jakaś bogini.

Gabriela zatarła ręce, odsunęła nimi grzywkę u peruki Jagody, pocałowała dziewczynę w czoło, zaczesła starannie treskę swoim czyściutkim grzebieniem bez kilku szczebli i z powrotem przycupnęła na krześle.

– Ach, moja droga! – zwróciła się do nieboszczki. – To ci Jezusiczek kawał wywinął. Ty jesteś zbyt młoda, by stąd odchodzić. Coś ty się tym swoimi życiem nacieszyła? Ni w ząb, panie. Operacja na twojej głowie nie przyniosła pomyślnych rezultatów. Jeno ci mózg doktorzy poharatali. A ileż ty się przy tym chorobsku nacierpiałaś... I za co? Przecież byłaś samo dobro. Oj Boże, Boże, cóż ty uczynił najlepszego... Ażebym te wszystkie pijackie moczymordy odleżli z tego padołu, co to egzystują od balangi do balangi i świadomie rujną własne zdrowie! Albo zbiry, którzy mordują, rabują, oszukują, a po wyjściu z ciupy robią to samo. Tylko po takich kostucha nie chce przychodzić. Pewnie sama ich się boi. A ty kochaniutka? Gdzie się teraz podziewasz? Czy jeszcze ciebie kiedyś zobaczę?

Kobieta posmutniała. Znów pograżyła się w myślach. Nagle zobaczyła, że Jagoda podnosi się w trumnie do pozycji siedzącej i zaczyna do niej przemawiać.

– Nie martw się o mnie, proszę! Jestem już tam, gdzie nic mnie nie boli i nie trapi. Oglądam ziemię z góry i jak patrzę na to parszywe miejsce, to jednego żałuję.

– Czego? – zapytała przestraszona i zdeorientowana Gabriela. Zimny pot oblał jej ciało. Zaczęła się telepać.

– Nie bój się! Przecież znasz mnie od zawsze. Żałuję tego, że nie umarłam wcześniej – powiedziała dziewczyna, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Wcześniej? Przecież ty jesteś bardzo młodziutka, panie!

– Gdybym umarła jako dziecko, byłabym już od kilkunastu lat w niebie, w którym jest cudownie! Takich wspaniałych doznań jak tutaj człowiek na ziemi nie jest w stanie doświadczać. Nawet gdyby miał setki zmysłów.

– Naprawdę? To dlaczego Bóg nie pozwala nikomu zejść na dół i opowiedzieć jak jest u góry?

– To nie tak! Stwórca na to pozwala. Może to nie do wiary, ale my w niebiosach też mamy wolną wolę. Tylko nikt, kto się tutaj dostał, nie chce nawet na moment wrócić na ziemię.

– Jak to?

– Po co? Żeby znów mieć do czynienia z grzechem? Z idylli powrócić na łono zła? Zresztą... Gdyby ludzie ujrzeli nas ponownie, usłyszeli od naocznych świadków, iż niebiosa to nie fikcja literacka, zmieniliby się

na korzyść? Jaką moglibyśmy mieć gwarancję, że nie próbowaliby nas zabić, by przekonać się, czy możemy jeszcze raz umrzeć? Zapewne dalibyśmy im sposobność do popełniania kolejnych zbrodni. Na świecie działałyby się jeszcze gorzej niż do tej pory.

– A czy byliby w stanie zabić przybyszy z nieba? Czy to możliwe, panie? – spytała Gabriela.

– Nie! Tylko to nie zmienia faktu, że człowiek w imię zaspokojenia swoich żądz często staje się zezwierzęcony i posuwa do czynienia okrutnych rzeczy.

– Czy tylko na naszej planecie żyją ludzie?

– Nie! Ziemia jest jedynie plamką w kosmosie. W ogromnej czasoprzestrzeni zaprojektowanej przez Stwórcę żyje mnóstwo istot, które funkcjonują identycznie jak ziemskie.

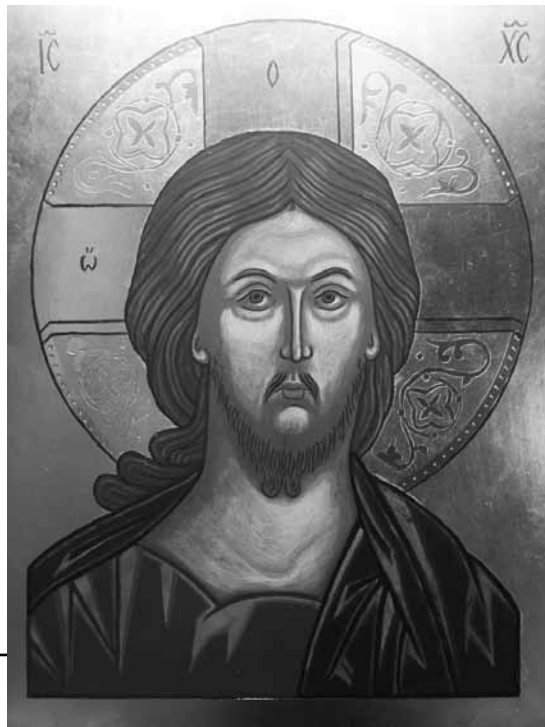
– W takim razie jak duże jest Królestwo Niebieskie? Gdzie się znajduje i jak mieszczą się w nim ci, którym było dane do niego trafić? A może tam prawie nikt nie mieszka?

– Królestwo Boże jest nieskończone. To przestrzeń, której człowiek nigdy nie będzie w stanie zbadać i nigdy za życia tam nie dotrze, gdyż ono leży poza Wszechświatem. Choćby z biegiem lat nastąpił przeogromny postęp w nauce i technice, choćby rzesze naukowców i badaczy głowiły się nad rozwiązaniem zagadnienia jego tajemnicy, nikt tego nie uczyni. Nikomu to się nie uda!

Gabriela przetarła oczy, otworzyła je i zaczęła nerwowo spoglądać na trumnę. Jagoda leżała w niej nieruchomo. Kobieta zorientowała się, że ucięła sobie drzemkę, a to, co przed chwilą usłyszała z ust nieżyjącej, to był tylko sen. A jeśli tam u góry jednak nic nie ma? Gabrielę zakuło mocno serce. Wpadła w panikę na myśl, że mogłaby zostać zakopana w ciemnym dole i powoli skonsumowana przez robale. Te wszystkie glizdy, muchówki, kowale bezskrzydłe czy maskurki cementarne

Jakże straszne byłoby takie zakończenie – pomyślała. Bała się. Po raz pierwszy poczuła potworny lęk przed skończonością życia. W myślach przebrnęła przez nie całe. Przez dzieciństwo, młodość, wiek średni... Aż do dzisiaj, kiedy jest babcinką. I aż do wczoraj, kiedy była babcią jeszcze żyjącej Jagódki. Czy niebo istnieje? Czy spotka się w nim ze swoją ukochaną wnuczką?

Jej rozterki przerwał huk. Z dłoni Jagody wypadła na podłogę książeczka do nabożeństwa, a wraz z nią obrazek z wizerunkiem Boga Ojca zasiadającego na tronie. Gabriela pochyliła głowę i zrobiła znak krzyża. Już nie odczuwała trwogi. Już знаła odpowiedź.



Przedwiośnie nad Odrą

cisza usnęła otulona
gdzie mieszka taka cisza
spokojna na obrzeżach
zaborcza w chwilowej niszy

wsi spokojnej ziemi rozłoga
zielona czarna słomiana mnoga
rozległa z nagłą bezruchem spełniona

czasami przerywana
ruchem skrzydeł nadlatujących ptaków
bezwolnie odnawiana jak wiatr
modlitwy sennej dźwiękiem bezmiaru
jak ciiiiinii jak szaaaaaaaa
szara myszka rozlanej ziemi
przerywana rzędami czasu
upływa płynie przepływa przez palce
schronione przed upałem wypełnienia
ruchoma cisza wśród szperających w sitowiu
kolorowych łódeczek kaczek
i bocianów osiadających obok
na zielonych nabrzmałych polach
u progu przesuwanego się horyzontu
za śladem słońca smakującego obłok
białe nieruchome kulki
jak owoce śnieguliczki przyciągające
drogi i błędzące ścieżki
wśród nadgryzionych wierzb
w dziuplach schowana przyszłość
powiewem pszczelej zachłanności
wzrokiem odprowadzana
aż zniknie z pola widzenia

pokój w którym mieszkam od lat
zestarzał się i nie ma już wspomnień
niewiele też widzi osłonięty ścianami
on jeden zna tajemnice mojej nagości
zwisająca skóra tapet klei się do świtu
obraz piersi drżących od dotyku
nieco się przekrzywił w ramach ramion
w kącikach ust mały haczyk
wciąż do połknięcia
motyle wyfrunęły z brzucha
a w otwartych oknach
zielone twarze kameleonów
z zasłon garściami rozsypały się papierowe ptaki
zagarniając przestrzeń
i wypuszczając korzenie na wolność

Paczkomat

I

Stał przy oknie pół godziny. Obserwował. To nie było łatwe zadanie. Widział jak przez mgłę. W prawym oku miał zaawansowaną kataraktę, w lewym silne zapalenie spojówki. Wiosna w pełni, zachęcała do spacerów, ale spuchły mu nogi. Okładki z rozbitych liści kapusty dawały efekt placebo. Gburowaty lekarz, wypalony zawodowo wiekowy Henio, zresztą kolega ze szkolnej ławy, nie stwierdził zakrzepicy żył ani niewydolności serca. Na szczegółową diagnostykę Wiesław się nie zdecydował, uznając, że w wieku 80 lat to kompletna strata czasu i resztek energii życiowej. W młodości z niemałymi sukcesami biegał na mistrzostwach Polski w maratonach, a teraz lekki truchcik do autobusu linii nr „8” sprawiał, że dochodził do siebie z kwadrans. Wniosek jest trywialny i smutny – oznajmił Wiesław przed archaicznym popękany lustrem na korytarzu, podczas zajmującej konwersacji z samym sobą. – Twoja klepsydra z piachem, którą każdy otrzymuje od Stwórcy przy narodzinach, praktycznie sięga dna. Lejek skrupulatnie i bezlitośnie przepuszcza ostatnie kručze ziarenka. Właściwie ten pradawny mechanizm zaciął się, w przeciwnym wypadku leżałbyś w urnie z prochami w kolumbarium w starej części cmentarza przy ul. Wrocławskiej.

Wiesław od kilkudziesięciu lat konsekwentny agnostyk nie rozpaczął, nie żywił jednak przesadnych nadziei. Bo jak mawiał Bernard Russel, dziewiętnastowieczny brytyjski filozof, logik i matematyk: „Chrześcijaństwo twierdzi, że wiemy, że Bóg jest, ateści – że wiemy, że Boga nie ma, natomiast agnostycy przyjmują, że nie ma dostatecznych podstaw, aby potwierdzić istnienie Boga lub mu zaprzeczyć”.

I tej dewizie Wiesław był wierny. Stojąc jednak 35 minutę przy oknie zlokalizowanym w południowej, nasłonecznionej części bloku z wielkiej płyty, miał pewność, że żaden system filozoficzny czy religia nie ruszą go z domu. Nawet gdyby wziął balkonik, przemieściłby się góra z 600 metrów, a potem wracał zły potem. I wściekły na cały, młody i piękny świat, który właśnie podglądał. Majowy deszczyk nie wystraszył rosnących nastolatków od pojedynku jeden na jeden w ulicznej odmianie koszykówki na zniszczonym betonowym placu. Na głowy narzucili kaptury od markowej bluzy, ostro przepychali się łokciami i przeklinali. Co chwilę któryś z nich pluł na soczyście zielony trawnik, robił groźną minę i rzucał od niechcenia. Statystycznie rzecz biorąc, osiągnęli zapewne trzydzieści procent skuteczność w grze. Kogucikom alfa przyglądały się niezbyt uważnie znużone dziewczyny, bardziej zainteresowane serwisami plotkarskimi. Zerkwały na smartfona, wyraźnie wściekłe, że muszą udawać zapalone kibicki. Wiesław lekko uchylił okno, zafascynowanym tym młodzieżowym teatrum. Przerażony własną lekkomyślnością przytąpywał się na tym, że w myślach krzyczał, oburzał się, protestował, napominał i wychowywał. Tak jak jeszcze kilkanaście lat temu w pewnej szkole podstawowej na wielkim, brzydkim i smutnym osiedlu. Pantomima okienna trwała w najlepsze, jedynym jej widzem był zmierzniały gołąb, który znużony usiadł na parapecie i trzepotał mokrymi piórkami. Wiesław gestykulował namiętnie, przypominał stary zardzewiały zamek, zaatakowany przez korozję. Zamasyście machnął prawą ręką, zamykając plastikowe okno. Tradycyjnie strącił różową pelargonię. Ziemia usypała się na panele podłogowe. Pobiegnął po zmiotkę do kuchni. Potknął się o odkurzacz i uderzył we framugę łazienkowych drzwi. Z nosa kapała mu krew, ale niewidzialny kurek, odpowiedzialny za dostarczanie życiodajnego płynu, wykonywał swoje obowiązki, stosując włoski strajk. Krwi było tyle co kot napłakał. Następnych kilkanaście minut właściciel skromnej kawalerki o powierzchni 32 metrów kwadratowych pró-

bował uporządkować zredukowany do minimum starczy świat. Wycieńczony zasnął na kanapie w sypialni i salonie w jednym. Przyśnił mu się rodzinny dom w Przytoku koło Zielonej Góry. W wakacje mama budziła go później, po 9.00. Na stole czekała jajecznica z kilkunastu jaj od własnych wiejskich kurek. Smakowała wybornie z boczkiem i szczypiorkiem. Do tego mama podawała chrupiące bułeczki i kakao. Po śniadanku z bratem Bartkiem szli na rower. To były dalekie wyprawy, z których wracali brudni, poobijani i... szczęśliwi. Wiesław nie chciał się zbudzić...

II

Czekał pół godziny, czy telefon zadzwoni. Syn obiecał, córka też deklarowała częsty kontakt. Kręcił się po kuchni. Liczył płytki podłogowe jak w podstawówce. Wspominał babciny obiad, pyszny krupnik z toną marchwi i najlepszą kaszą jęczmienną, dyktando i algebrę – liczenie płytek w kuchni. A może to jego wnuk kiedyś tak liczył, nie on? I nie u babci, tylko u jego córy? Ktoś dzwoni nareszcie.

– Słucham? – powiedział radosnym głosem. – Tomaszku, synku, to ty?

– Dzień dobry. Z tej strony Melania Protasińska. Mamy dla pana wyjątkową ofertę. Nasze panele fotowoltaiczne są najlepsze na rynku. W domu o jakiej powierzchni pan mieszka?

– Nie mieszkam w domu jednorodzinnym, a w bloku – wyjąkał zawiedziony Wiesław.

– Czy myślał o pan o panelach słonecznych na dachu? – kontynuowała Melania Protasińska.

– No raczej nie myślałem. Moim blokiem zarządza wspólnota mieszkaniowa, nie pytała nas o to – odpowiedział zrezygnowany Wiesław.

– Na jaki adres mogę przesłać ofertę? – upierała się pani Melania.

– Dziękuję bardzo za zainteresowanie. Nie skorzystam jednak, bo mieszkam w bloku.

– W razie potrzeby proszę zadzwonić pod... – Wyłączył telefon, pewny, że uciął sobie pogawędkę z autorem.

Usiadł na kuchennym taborecie. Oddychał z trudem. Przymknął oczy. Mgiełka na prawym już prawie przysłaniała rzeczywistość, załzawione lewe oko dyskretnie dawało sygnał, że lepiej się oszczędzać. Zerknął na plastikowy, ścienny zegar. Chyba jest 9.00. Zaraz wyjrzy za drzwi, czy firma cateringowa dostarczyła posiłki. Na śniadanie będzie serek wiejski z ogórkiem i kukurydzą, na drugie śniadanie kluski na parze z dodatkami. Obiad? Pierogi z boczniakami i kaszą gryczaną. Jest i podwieczorek! To pudding chia z pieczonym jabłkiem. I wreszcie najprzyjemniejszy, bo najbardziej zakazany przez dietetyków wieczorny posiłek – kolacja. Tym razem będzie sałatka z farfalle i zielonymi warzywami.

Wiesław był dumny jak paw, jego syn Tomasz, światowej sławy anestezjolog, zarabiał tyle, że mógłby bez problemu stać się udziałowcem niejednego wielkiego polskiego banku. To on sponsorował te wszystkie dietetyczne, urozmaicone posiłki. A córka, Dagmara, prezeska wiodącej na rynku przychodni medycznej z amerykańskim kapitałem z siedzibą na warszawskim Nowym Świecie, też dokładała się do wszelkich frykasów. Mało tego, wspaniałomyślnie opłacała tacie czynsz, telefon, prąd i kablówkę. Kupowała lekarstwa. Z matczyną troską prosiła, aby pod żadnym pozorem nie otwierał nikomu drzwi i z nikim się nie kontaktował.

– Wszystko załatwiłam. Posiłki, medykamenty, chemię gospodarczą, środki higieny osobistej i papier toaletowy znajdziesz pod drzwiami. Zajmie się tym Karol, zaprzyjaźniony kurier. Wyślę ci esemesa z informacją, że przesyłka nadeszła. Musisz uważać, oszustów jest teraz na pęczki. I tu nie chodzi o pieniądze, które z Tomaszem po tobie odziedziczymy. Nie będzie nam ich żal, bo to dla nas marne grosze, ale chodzi nam o ciebie. Harowałeś całe życie, najpierw na dwa pokoje, które sprzedałeś za bezcen, potem na kawalerkę. No i ktoś może cię skrzywdzić – perorowała trzy lata temu z niepokojem w głosie córka. Od tej pory Wiesław jej nie widział, słyszał raz na kwartał.

Syn dzwonił częściej, raz na dwa miesiące, a i bywał dwa razy w roku na święta – Wielkanoc i Boże Narodzenie. Ale z Tomaszem zawsze lepiej się rozumieli, to i nie zostawił taty w potrzebie. Wynajął dobre-

go kumpla, fryzjera, aby raz na jakiś czas przystrzygł te resztki siwych ojcowskich włosów. Nastoletni syn fryzjera miał od czasu do czasu przytargać zakupy Wiesławowi. Lubił te spotkania z fryzjerem, opowiadał mu wtedy wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie tygodnie. O kogucikach alfa rzucających niedbale do kosza i ich niezbyt rozumnych młodych partnerkach, o nieśmiałym, chorowitym gołębiu, który drugi miesiąc regeneruje się psychicznie i fizycznie na blokowym parapacie. Nie mógł nie wspomnieć o niejkiej Melanii Protasińskiej, sympatycznym automacie o metalicznym, piskliwym głosie przekonującym do instalacji nowoczesnej, ekologicznej instalacji fotowoltaicznej. Co prawda pani Melania nie prowadziła dialogu a monolog i troszkę zirytowała Wiesława, ale przyjemnie było kogoś posłuchać i odebrać ten obrażony w ostatnich miesiącach telefon, który z jakiegoś powodu nie dawał głosu. Była też mowa o sugestywnym śnie o mamie i o dietach pudełkowych. Znudzony fryzjer nerwowo zerkał na smartwatcha, słuchając o dobrodziejach fundujących te smakołyki.

– Panie Wiesławie, za dziesięć minut mam następnego klienta. Trochę się zasiedziałem. Dziękuję za malinową herbatkę i herbatniki. Naprawdę muszę już iść. – Fryzjer starał się być taktowny.

– Nie zostanie pan jeszcze na kwadransik? Zagramy w warcaby! Tylko dwie partyjki. Mecz i rewanż – nie dawał za wygraną starszy pan.

– To niestety nie wchodzi w rachubę. Proszę uwierzyć, następny klient nie jest sympatycznym starszym panem, który chce namówić mnie na niezobowiązującą grę w warcaby. To stary, złośliwy dziad i donosiciel przebrzydły. A jego tatuś pracuje w skarbowce i jak się dowie, że chodzę po domach i nie odprowadzam podatków, to tak szybko się z tego nie wytłumaczę – wyjaśnił fryzjer. I pożegnał się z Wiesławem, który po chwili znów przysnął. Zobaczył tatę z grubym, skórzanym pasem. Szukał go godzinę, bo dowiedział się, że mały Wiesiu poszedł z kolegami na szaber do sąsiada i nakradł kilka kilogramów jabłek, gruszek i czereśni. A po wszystkim oddali mocz i kał na grządki warzywne. Tata wywijał tym pasem i trafiał do celu. Tyłek dziesięciolatka był czerwony jak burak. Wiele by teraz dał, żeby zobaczyć ten ojcowski pas.

III

Wiesław w sobotę leniuchował bardziej niż zwykle. Nawet z łóżka się nie podniósł, bo nogi też spuchły mu bardziej niż zwykle. Przez chwilę lustrował je podejrzliwie, przypuszczając, że cierpi na słońiowatość kończyn dolnych. Machnął jednak ręką w swoim stylu i przekręcił się na drugi bok, stękając przy tym niemiłosiernie. Zasnął na dziesięć minut, zerwał się jak oparzony, bo nie mógł złapać powietrza. Zastanawiał się, czy to nie bezdech senny i już miał dzwonić do Henia, starego dziwaka, lekarza od siedmiu boleści, który w wieku 79 lat próbuje pozostać wierny przysiędze Hipokratesa. Nagle przyszedł esemes, ale jakiś taki wyjątkowo długi. Widocznie nadawca krzawił sztukę epistolografii poprzez smartfona. – Dziwactwo! – krzyknął Wiesław. Zapalenie spojówki lekko odpuściło, ale i tak niezbędne były okulary, dlatego sięgnął po nie do rozpadającej się nocnej szafki. Atmosfera końca, dekadencja – skwitował w myślach. Wszystko to wołało o zmianę: brudna tapeta, wytarte podłogi etc., etc. Tylko wspomniana klepsydra z piachem przywoływała nieokiełznane myśli do równowagi.

To esemes od córki. „Tato, ostatnio sporo o tobie myślałam i doszłam do wniosku, że nie jesteś jeszcze zgrzybiałym starcem, a bez przerwy siedzisz w czterech ścianach, jak niewyprowadzony na spacer piesek. Podzieliłam się tą złotą myślą z Tomaszem i jesteśmy w tej kwestii wyjątkowo zgodni – musisz wychodzić z domu. To nasza wina, dmuchamy na ciebie i chuchamy jak na cenną porcelanę, trzymamy pod kloszem, a ty musisz być samodzielny, do setki ci jeszcze przecież sporo brakuje. I właśnie dlatego, żeby zapewnić ci pewną dawkę świeżego powietrza i ruchu i jednocześnie kontakt z ludźmi, postanowiłam, że część niezbędnych produktów do utrzymania jednoosobowego gospodarstwa domowego otrzymasz do osiedlowego paczkomatu, oddalonego od twojego domu o zaledwie pięć, siedem minut. Spokojnie dasz sobie radę, to blisko jest. Nie będziesz musiał nawet wpisywać tych małych literek na wyświetlacz. Wystarczy, że smart-

fonem przyłożysz do wyświetlacza kod QR. To dziecinnie proste. Karol ci pokaże, w razie czego będzie do twojej dyspozycji, bo wciąż część przesyłek dostarczy tobie do domu, żebyś nie nabawił się poważnej kontuzji. Nie musisz dziękować. Wiem, że to docenisz. Kocham cię. Dagmara”.

Wiesław złapał się za głowę. Paczkomaty widział wielokrotnie, podobały mu się. Uważał za idealne rozwiązanie dla młodych, leniwych i wygodnych. Najpierw, siedząc w gaciach, wyszukują, co chcą w sieci, a potem po parominutowym spacerku wyciągają coś z tej magicznej konsumpcyjnej skrzyni. Ale kod QR? Co to jest? Zdenerwował się nie na żarty, a fryzjer, główny doradca i niańka, miał wyłączony telefon.

IV

Wiesław polubił paczkomaty romantyczną, nieodwzajemnioną miłością Wertera. Gdyby posiadał zdolności nie tyle pisarskie, co rzemieślniczą umiejętność przelewania myśli na papier, z pewnością pokusiłby się o kontynuację dzieła Goethego. Przesyłki przychodziły regularnie, na ogół dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i piątki, przed południem lub wczesnym wieczorem. Po otrzymaniu esemesa Wiesław celebrował każde wyjście do paczkomatu. Ubierał się odświętnie, na tę okazję wygrzebał ze staroświeckiej szafy z okleiny granatowy garnitur pogrzebowy, który na ostatnie pożegnanie swojej raczej nieskromnej osoby kupił podczas nocy wyprzedazowych w jednym z większych marketów w mieście. Dołożył krawat w groszki i czarno-białe lakierki. Za każdym razem narcystycznie oceniał swój wygląd przed archaicznym, umierającym lustrem na korytarzu. Opuchnięte nogi upychał w przyciasne nogawki spodni z materiału, odstające starcze uszy przykrywał przed osiedlową gawiedzią kaszkietem. Przez ostatnie dziesięć lat skurczył się o cztery centymetry i już nie mierzył 1,82. Słaby wzrok jednak chronił go przed rozgoryczeniem. Po trzech kwadransach korytarzowego pokazu mody w bojowym nastroju wychodził z domu. On – kandydat na matuzalema roku, w żółwym tempie zmierzał do magicznej konsumpcyjnej szafy z darami od córki. Za każdym razem odbywał się ten sam rytuał. Fryzjer, znajomy syna, nie odbierał telefonu, dlatego niespiesznym krokiem zbliżał się do paczkomatu, rozglądał w prawo i w lewo, potem znów w prawo, jak na przejściu dla pieszych. Trzęsącą się z przejęcia dłonią, z najwyższym trudem wygrzebywał taniego, chińskiego smartfona z rozbitą szybką. Po dosyć sprawnym uruchomieniu odpowiedniej aplikacji odnajdywał kod QR. I kolejne dziesięć minut bezskutecznie starał się otworzyć skrytkę. Bezradnie przejeżdżał smartfonem po powierzchni wyświetlacza. W międzyczasie druga osoba z na ogół czteroosobowej kolejki oferowała pomoc starszemu panu, otwierając w jego imieniu magiczną, konsumpcyjną skrzynię. Wiesław pięknie dziękował i przez następne dziesięć minut opowiadał nieznanemu lub nieznanemu o kogucikach alfa rzucających niedbale do kosza i ich niezbyt rozumnych młodych partnerkach, o nieśmiałym, chorowitym gołębiu, który drugi miesiąc regeneruje się psychicznie i fizycznie na blokowym parapecie. O Melanii Protasińskiej, sympatycznym automacie, o diecie pudełkowej i szczodrych dzieciach. Szczęśliwy wracał do domu. Pewnego dnia w esemesie zwierzył się Dagmarze: „Córuś, miałaś rację, moje życie towarzyskie kwitnie”.

* * *

prawda to ziemia
bez dróg i ścieżek

z tajemnicą ukrytą
gdzieś daleko i blisko

w każdym muzeum
dokładnie oglądasz
złote maski
skorupy dzbanów
zardzewiałą broń
zmurszałą biżuterię

kto nosił kolię
z czerwonym rubinem
kto strzelał z tej broni

chcesz zrozumieć
co dzieli ocean lat
obce losy przysypane
milionem dni i nocy

cierpliwie
będziesz szukał
okruchów tajemnicy

zaplątany w gałęziach myśli
w labiryncie
pytań wątpliwości

szare pudło

dzisiaj przyniosłam
z piwnicy szare pudło
pełne zakurzonych fotografii

niczym fakir uwalniam
zapomniany czas

dziadek w roboczych spodniach
zabłoconych butach
czarno białym uśmiechem
przykrywa słowa
schowane za wydartym
rogiem zdjęcia
w niepiśmiennych palcach
papieros bez filtra
widzę jak strużka
cienkiego dymu
porysowała wiklinowy kosz
ustawiony na kredensie

obok na krześle
babcia zaplata ręce
w modlitewny supel
z powagą patrzy
w obiektyw aparatu
jej spódnica
dotyka podłogi

tej samej która
uczyła mnie chodzić
podnosiła gdy upadłam

pożółkłe życie
behradnie mruga
oślepienie światłem
dzisiejszego poranka

nie znika ciągle istnieje
kruchy ułamek sekundy
utrwalony trzaskiem migawki

inny świat inny czas
przysypywany przez lata
zżytymi kartkami kalendarza

nawet zaszuszone ćma
w pudle skruszała

patrzę jak rośnie czerwona
kropla krwi na moim palcu
przeciętym poźółkłą fotografią

topnieje ocean niepamięci

ubrany w twarz
nieskończoności

Beata Mączka

Chat noir

Ulizał włosy, ubrał czarną koszulę w szare cętki i udał się pod adres, który podała mu przed kolacją, ale już po namyśle. We foyer budynku pod numerem nieskończoność minął bez słowa podstarzałego minotaura ubranego w koszulkę ze spraną podobizną zespołu Duran Duran. Choć nic nie wskazywało na to, że wchodzi do sejfów, wstukwał kod wyryty w pamięci kohabitantów. 1939 – jak początek drugiej wojny o zasięgu globalnym. Pierwsza wojna w ich świecie nie miała jeszcze daty. Odpowiednio przyciśnięta blokada szybko przestała się opierać. Dwie windy. Ta prawa jest windą do nieba, a lewa do piekła – pomyślał dla zabawy. Przejęty nie zwrócił uwagi, do której wsiadł. Wspominała, że lubi piątki, ale mieszkać postanowiła na czwartym piętrze. Wtedy jeszcze nie wiedział, że często nosiła pod bluzką niekonsekwencję, tak jak on pod koszulę zwykł zakładać prążkowane podkoszulki. Tamtego dnia miała na sobie sukienkę – czarną, prostą, z koronkowymi wstawkami na ramionach. Chodź w me ramiona, koronko – nie odważył się powiedzieć na powitanie. Potem w wietnamskiej knajpie pożykali na przemian soczyste i suche kęsy i słowa, od czasu do czasu gryząc się w język. Zgodnie nie zamówili deseru, za to z blaszanego pudełka wymówili gościnnie kilku losowo wybranym papierosom. Na przystanku jacyś ludzie mówili o tym, jakie to niesłychane, że znana wszystkim – zazwyczaj skrupulatna do bólu w kościach Pani Brux – nie spakowała jeszcze do pawlacza letnich ubrań, choć był już środek jesieni. Oni opowiadali sobie o sobie, depcząc trawniki i tęczę, aż w końcu postanowili zgasić wieczór na krawężniku przed jej domem. Gdy zniknęła za szklanymi drzwiami, on pomyślał, że ten budynek naprawdę może kryć jakiś skarb. Poczuł wtedy, że jego brązowy trencz podszyty był tęsknotą. Odwrócił się na obydwu piętach – robił tak zawsze, gdy chciał przemienić się w kota. Podkręcił ogon, wyprostował wąsy i sprężystym krokiem pobiegł przed siebie po niewystygłych jeszcze kocich łbach chodnika. Napotkana mysz uświadomiła mu, że chyba jest już stary – przecież kiedyś od razu chwyciłby ją za ogon, żeby wydusić z niej adres najlepszej w mieście frytkarni. Kilka minut później na twardej hotelowej dachówce przyśniło mu się, że dziewczyna drapała go po brodzie i karmiła resztkami masła z rozmiętego papierka. Bonne nuit mon chat noir – wyszepiała ona do otwartego okna, przekrzykując hałas pędzących we wszystkich kierunkach myśli i samochodów.



Friedhof

Szukanie inspiracji. Kartkowanie klasyków.
Walt Whitman, Czesław Miłosz,
Tadeusz Różewicz, Konstandinos Kawafis,
Zbigniew Herbert, Filip Larkin.

Idziesz ziemią ledwie pamiętaną. Więc tak to jest.

Ktoś po drugiej stronie wsi gra na akordeonie.
Śpiewają ptaki. Zielenią modrzewie.
Jaszczurka na kamieniu.
Taki czas. Miejsce.

Tuż obok, pod bukami, w proch obrócone pokolenia.
Zatarte napisy w obcym języku.

Wstępowanie w spokój.

Ścieżka w bluszczach, mieszanym lesie. Fotosynteza.
Olejki eteryczne. Poniżej jezioro. Zapach dzieciństwa,
wspomnienie – budowanie tratw z trzciny i tataraku.

A tymczasem Czesław Miłosz strofuje Filipa Larkina:

*...Ja też pamiętam, żałobny Larkinie,
Że śmierć nikogo z żywych nie ominie,
Nie jest to jednak temat odpowiedni
Ani dla ody, ani dla elegii.*

Wracam. Promienie przeciskają się przez liście.
Pająk tka pułapkę.

13 stycznia 2017

Moja astronomia

Pełnia. Szczekają zajadłe albo wyją.
Ognisko. Leżak. Zapatrzenie się. Płomienie hipnotyzują.
Milczę. A ty mówisz: *wiesz, że jak patrzymy teraz na gwiazdy,
to jeszcze nas nie ma.* Nie rozumiem,
bo widzę Wielki Wóz. Mgławicę Andromedy.

Benatnash – ostatnia gwiazda dyszla Wozu. Światło
od niej biegnie na Ziemię osiemset piętnaście lat.

Rok 1202. Nie ma mnie, ciebie. Tęgo lasu.
13 marca zmarł książę Mieszko Stary.

Dwa ogniki, kiedy się zaciągają. Piotr i Leszek.
Nikt nic nie mówi. Przestałem dokładać do ognia.
Podmuchy nocnego wiatru rozniecają iskry z żaru.
W lesie jakieś szmery. Puchacz ogłasza północ.

Twarz księżycy. Stacja orbitalna.
Droga Mleczna. Warkocz Bereniki.

Lubię, jak włosy upinasz w dobiegany

* * *

jesteś tylko pretekstem dla istnienia rzeczy
Anna Maria Musz, Spokojne rzeczy trwanie

Istniejesz obok nich
z wyobrażeniem że są dla ciebie

Te wszystkie sprzęty
Książki
Narzędzia
Laptop

Dzięki jego klawiaturze ten tekst

Przeświadczenie ważności
straci sens
zatrą się linie papilarne

Drzwi szafy będą milczeć o twoim gościu
jakim je otwierałeś

Lustro na ich wewnętrznej stronie
nie opowie twojej twarzy

Gesty słowa wygląd nie mają znaczenia
ani twój czas

Inne dla nich zegary

Czasomierze spokojnego trwania

Potrzebne jest wewnątrz

Na przełomie roku

Budzimy się, znowu i na nowo. Kolejna próba ocalenia ładu życia. Jest historyczna zima dla przywrócenia piękna, odwagi i uczciwości. Jeszcze raz budziny ducha, bo dalej tak żyć nie można. Gnić w bezprawiu. Ludzie w Polsce to wiedzą. Dzwon czasu uderza – co jest racja, a co krzywda. Jeśli nie teraz, to kiedy? Jutro lub pojutrze będzie za późno. Zabniemy w samotność. W pozorowanie zmian. Chaos. Prawda gaśła, ale nie zagasła. Widzimy, słyszymy, nie możemy zostać sami w środku Europy.

Pierwsze dni

Pierwsze dni kolejnego, narodzonego dopiero co roku podążają. Gdzie by się nie obejrzeć – a mam trochę więcej czasu i czytam, i słucham – tam problemy większe, cięższe w każdej dziedzinie życia. Przekracza świat w szybkim tempie wszelkie magiczne linie graniczne. Rozglądam się i dookoła narastają problemy, które zagrażają istnieniu cywilizacji czy nawet istnieniu świata. Eskalują, mnożą się w każdej dziedzinie. Już gdyby tylko wziąć pod uwagę moralność. Jesteśmy świadkami jej upadku. Zdaje się, że egotyzm, także w poezji to widać, przybiera kosmiczne rozmiary. Wyzwalamy się z tego, co obowiązywało przez setki lat. I cóż, autorytety, zasady, wartości zostały skutecznie podważone, tradycje zarzucono, relatywizm wszedł na salony. Uczciwość wykpiono. Pokorę wykpiono. Pycha ma się naleźć wysoko. Do głosu doszły emocje, subiektywizm, oszustwo, kłamstwo, łatwizna, manipulacja, nieodpowiedzialność. Więc idą wojny, choroby, niesprawiedliwość, głód, katastrofy klimatyczne, ekologiczne, humanitarne. Czego jeszcze się spodziewać?

Zwyczajność

Jestem apologetą zwyczajności, prostoty, umiarkowania, dialogu. Szacunku dla istnienia. Uznaję, że wszystko jest ważne. Tylko taka postawa może nas uratować. I nie pozwolić przekreślić urody życia. Tak sobie wyobrażam. Wierzę, że nie jestem tego zdania sam. Podobnych ludzi jest wielu, ale nasz głos jest już mocno głosem wołających na pustyni.

Kobieta

Kobieta nie tylko daje życie, ale i je ocala swoją opieką. Nic więcej świata teraz nie jest potrzebne.

Świat

Świat przenika jedno pytanie, jedno dążenie, skomplikowane i obmyślane na setki wysoce technicznych sposobów i wojskowych, gospodarczych strategii i kombinacji – kto kogo pokona.

Zbigniew

Odwiedził mnie Zbigniew, który przyjechał z daleka. Zapaliłem zarówno w pokoju, zaświeciłem lampki na choince, postawiłem świeczkę na stole i filizanki z herbatą. Patrzyliśmy na obrazy i rozmawialiśmy o sztuce. O znaczeniu piękna. I o polityce także. Jak to mający się za patriotów zachowywali się zupełnie nie patriotycznie. Teraz wiemy, jak egotyczne były te pseudoelity.

Dzień

Dzień szary, zimowy. Powiniennem pracować, pochylać się, dodawać swoje zdania z myślą o wspólnocie. Czuję, że to zajęcie jest niezwykle potrzebne. Zwłaszcza, że wielki ruch w polityce daje tysiącom głów ekscytującą pożywkę do dyskusowania o bieżących sprawach. Tysiące głów decyduje, czyli my, powszedni zjadacze chleba, po jakiej stronie opowiemy się i pokażemy swój sprzeciw lub poparcie dla odnowy spraw w Polsce. Chcemy dobrego ładu. Czuję, że budzimy się po latach intensywnej propagandy. Poznajemy prawdę, tę ukrywaną. Budzimy się.

Jabłka

Poszedłem do altany i przyniosłem jabłka. Zimne umyłem, obrałem miejscami skórkę. Trochę jadłem, kawałek po kawałku. I miało znaczenie, że nie wyczuwałem smaku chemicznych oprysków. Nie potrafię jeść jabłek, gdy wyczuwam jakiś dodatkowy, sztuczny smak. Taki smak przenika naszą współczesność.

Dystans

Samoobronny dystans to najlepsze wyjście w rozeznawaniu rzeczywistości. Daje czas na przemyślenie, a w przemyśleniu ma szansę odstąpić się czyjeś dążenie. Jeśli ktoś jest prawdziwy, to bez wątpienia będzie chciał, by tę jego prawdę odczytać, nawet sam ją odstąpi.

Światło

Zajmowałem się światłem całe swoje życie, szukałem dla tego fenomenu słów. Zbliżałem się do blasku i oddalałem się. Nigdy nie wyzbywałem się zachwytu. Tego wszystkiego, co było w oczach ludzi, w kałuży, za chodzie słońca i księżycą, w jesiennym poranku, w kropli wody, w ciepłe rąk, w locie wałki i co było w myślach. A teraz? Teraz zbliżam się do ciemności, o której nic nie wiem. Brak słów.

Zapiski

Te i inne zapiski towarzyszą mi już sporo lat. Żyją tak jak ja. Lubię nawet zanurzać się w tę ich prozę. Bo prościej i poniekąd łatwiej zapisać, co przychodzi na myśl, co kojarzy się i co zauważam. Koncept poetycki jest w prozie mniej potrzebny, czasami jednak widoczny, ale większe znaczenie ma obserwacja, notowanie rzeczy i zjawisk. Czy ktoś kiedyś, po latach, będzie jednak do tych zapisów zaglądał i wydadzą się ważne? I ktoś przyzna, że potrzebną rzeczą było ocalenie klimatu chwil, refleksów światła, braku światła, szalestu deszczu, radzenia sobie z zimnem, treści rozmowy, wyglądu twarzy napotkanego człowieka itp.?

Każdego dnia

Zasnąłem późno, wstałem późno, ale czuję się w spojrzeniu na świat dobrze, chyba dlatego, że wczoraj był ciekawy wieczór. Internet działał. Foto z ciepłym światłem jaśniało, uśmiech płynął, wiersz się urodził, szło delikatne pisanie, muzyka i przyszłość docierała. To mi odpowiada, aby coś było razem, co porusza wnętrze, i było treścią wyższego rzędu, jakąś sensowną, a nie jedynie pustką, pozorem, kiepskim udawaniem, nad którym można się zastanawiać, co ono znaczy. O co chodzi. Warto takie sytuacje przemyśleć, bo każde zachowanie coś znaczy. Zazwyczaj kombinacjami są ekspozycje tajemniczości (przekonałem się), które przybierają postać dalece dziwnych, dziwacznych, niby-ekscytujących, poplątanych filozofii, infekujących chaosem, a nawet ciemnością wizji. Tak to określam. Potrafiłem od tego rodzaju mącenia duchowego stronić, dawno temu intuicyjnie, a teraz robię to świadomie. I jestem. Gdy rzecz jest niejasna, to dlaczego utrzymywana jest jako niejasna, zakryta. Gdy komuś na takim kształcie zależy, wtedy nie wiadomo, o co chodzi. W tej chwili to nieważne. Życie to jednak nie jest żart, ale problem. Podąża dzień zimowy, łagodny. Spojrzę jeszcze na wiersz, wczoraj pisany, czy jakaś mikrokorekta jest potrzebna. W poniedziałek nowe

sprawy. Myślę o muzyce, która całe życie była ze mną. Snuła się cicho, nie zostawiała mnie samego. Słuchałem melodii innego świata. Teraz też. Słyszę, jak szumi komputer, poruszają się gałązki, na niebie światło, cieszę się tym światłem każdego dnia.

Mirka

Mirka napisała recenzję, niemal esej, o wydanej we Wrocławiu (w Akwedukcie) mojej książce *Prozy niecodzienne*, może nawet księdze wynikłej z prozaicznego życia. I posłała ją do prestiżowego pisma, które istnieje już dziesiątki lat. W zasadzie jako jedyne w Polsce (obok „Twórczości”). Myślę o „Odrze”. Potrafiła setki tekstów małej prozy, bardzo różnych tematycznie i objętościowo, rzetelnie przeczytać w niedługim czasie, a potem jeszcze zwrócić uwagę na różne opisy i refleksje. Na te, które dla jej wywodu okazały się przydatne. Mnie to podniosło na duchu. I zaciekawia. W Mirce wyczuwam istnienie niebanalnego spojrzenia na sztukę literacką. Jej zapach i smak artystyczny, i pietyzm przyczynił się do zredagowania ważnej dla środowiska literackiego antologii poezji lubuskiej pt. *Znów wystawimy twarz do słońca*. Ileż musiała maili napisać do poetów, ileż setek wierszy przeczytać, by zdecydować o druku zaledwie kilku utworów danego autora w antologicznej książce. A poza tym inspiruje z powodzeniem do tworzenia. Kropka.

Zima

Z dnia na dzień nocą mróz mocno ściął ziemię, polne drogi, leśne ścieżki. Utwardził grząską łąkę, wodę w garnku skuł, wiatru nie ma. Odeszły jeszcze wczoraj nisko zawieszony szary powłoki chmur, ale od rana po całym niebie rozlewa się światło słońca. Poszedłem na ogród, stawiałem buty na twardej zmarzlinie, skropie. Wreszcie jest to, czego miało już według różnych prognoz nie być. Zima.

Zapał

Dzień mija. Zapał twórczy mizerny. Szron na dachu. Osłabły impulsy płynące z nieba. Albo raczej we mnie przygasło uzasadnienie dla poetyckiego wysiłku. Nie piszę tekstów stricte użytkowych, ale raczej zaglądające w głąb duchowego wnętrza. Mogę sobie w tej sytuacji wytłumaczyć rezygnacyjny nastrój, swoje nierobienie w sferze literackiej. Nie powinienem jednak do tego przyznawać się, sam przed sobą. Żle bowiem działają takie negatywne autorefleksje.

Kiedys

Kiedys to była misja, posłannictwo, przekonanie o wpływanie na bieg dziejów, przekonanie, że niesione jest ludziom duchowe światło o znaczeniu epokowym, że wyznacza się sprawiedliwość świata, że „pamiętanie poety” ma wartość osądu moralnego, jest głosem prawdy, jest głosem bycia z ludźmi w ich niedoli, jest świadectwem krzywd, które niesprawiedliwie człowieka spotykają. Jakimś też sacrum. Ile tych wysokich zadań zostało? Wydaje się, że obecnie poeta staje, i powinien stawać, w obronie ostatniej barykady, bardzo potrzebnej dla określenia człowieczeństwa, a mianowicie zagrożonego powszechnie sacrum. Sacrum wnętrza. Całego jego bogactwa. Ta świadomość zdecyduje, co stanie się, jak ukształtuje się sens naszego istnienia. Naszego wspólnego widzenia codzienności. Czy w tym zadaniu, w takiej postawie, mamy jakichś sojuszników?

Poza tym

Poza tym patrzę raz po raz za okno, na świat i układam jego kształt w miarę możliwości harmonijnie i oczywiście tylko częściowo. Poza tym zaraz zaparzę kolejną szklankę herbaty. I będę czekał na odpowiedź natchnienia, któremu daję wiarę. Może więc uda się.

Praca

Czytam kartkę. Przebudziłem się o czwartej w nocy. Wstałem. Pracuję. Czy wszystko jest należycie ułożone? Niektóre zdania skreślałem, a inne wzruszają, jakby były pisane w jakimś wtajemniczeniu, co oczywiście poetom powinno zdarzać się. Widzę, że teksty krytycznoliterackie mogą mieć moc wzruszającą. Jednak musi przejawiać się czułość analitycznego myślenia, rozumienie, nawet bliskość. I coś jeszcze. Ważne, by rzeczy działały się naturalnie, myśli zbliżały się do czyichś myśli. Tworząc wspólnotę. Wyraża się w takiej postawie iście kobieca, wewnętrzna wrażliwość. W końcu nie pisze się, nie uprawia sztuki dla celu wyłącznie intelektualnego, ale i dla rozmowy, dla swojego i czyjegoś odbioru, czyli racji osobistych przekonań i emocji. Także tych intymnych. Zajmuję się kręgiem spraw, pisząc o literaturze, które są doznane. Nie inne. Ale wzięte z wnętrza. Więc i wszystkie przywołania i interpretacje sztuki lub literatury mogą być wyrazem spotkania. Takiego nieobojętnego spotkania rzeczy tego świata.

Otwieram

Napaliłem w piecu, patrzę na dym idący prosto w niebo z komina sąsiedniego domu. Drzwi, ciało, oddech, spojrzenie, kilka linijek, wilgoć warg, otwieram dla mistycznej bliskości wszelkich przejawów codzienności. Otwieram.



* * *

spacer śladami Anny Tokarskiej
w teatrze cukierkowe wspomnienia
wychodzę
za plecami krzyk
pozostawiam na deptaku
w domu na stole
antologia poetów lubuskich

w parku tysiąclecia bluszcz
porośnięty między drzewami
przechadzam się oranżerią kwiatów
leżaki pod latarnią
bywalcy spacerów odeszli
w tym miejscu spokój i cisza
alejki nieskończoności

Ziemia jest płaska

Ziemia jest płaska! – krzyczały na pierwszych stronach gazety, wszystkie telewizje świata (może z wyjątkiem północnokoreańskiej) i niezliczone portale internetowe. Wreszcie udało się nie tylko ujawnić, ale i udowodnić skrywaną przez lata tajemnicę. Zastłona opadła (albo się podniosła), odstaniając z całą jaskrawością to, w co niektórzy nie wierzyli, inni przeczuwali, a wybrani, którzy mieli dostęp do prawdy, wiedzieli na pewno.

Ziemia jest płaska z jednej strony. Ma kształt połowy kuli, wygląda jak pół pomarańczy. Albo jabłka. Gruszki nie, bo gruszka wygląda jak gruszka. To, że mieszkańcom tej drugiej, półokrągłej części globu wydaje się, że to oni mają rację, wynika z tego, że nigdy nie udało im się dotrzeć na tę prawdziwą. Ziemię piękną, płaską, żyzną i bogatą, zasobną w surowce, minerały i owoce, w tym jabłka i pomarańcze.

Odkrycia tego dokonał Arthur Alabama, syn praczki i zubożałego krawca damsko-męskiego, pracujący jako podawacz piłek na polu golfowym miejscowego potentata naftowego Sera X. Pewnego letniego popołudnia, pod koniec czwartej kwarty, piłka uderzona przez Sera z dużą siłą kijem WE/23/52, z metalową końcówką, uleciała się, opadła, potoczyła kilka metrów i zniknęła. Na nic zdały się poszukiwania, mecz został przerwany. Ser X pozostawił Arthura na polu, mówiąc:

– Nie wracaj, zanim jej nie znajdziesz. Czy wiesz, ile ona kosztowała? Bardzo ją lubiłem, to już trzecia piłka w tym roku.

A był dopiero lipiec. Ser wsiadł do Melexa i pojechał do domu na pierogi. Pastor Y, z którym Ser rozgrywał zawody, poszedł pieszo.

Cóż było robić. Trzeba było znaleźć piłkę, nie było wyjścia. Ścisłej rzecz biorąc było, ale zamknięte na klucz. Ser X dodał jeszcze, zanim się oddalił:

– Arthurze, synu, kiedy ją znajdziesz, zadzwoni.

I wręczył mu dzwonek. Chłopiec przyjrzał mu się (dzwonkowi, nie Serowi) i stwierdził, że ma duszę. Arthur nie wiedział, czy X też ma duszę, wiedział natomiast, że nie ma serca, bo inaczej nie pozostawiłby go na pastwę komarów i prażącego słońca.

Młodzieniec przyjrzał się duszy. Była duża i ciężka. Dzwon pochodził z wieży kościelnej, którą X odkupił od pastora Y i przerobił na karmnik dla sikorek. Pastor pozbył się jej, gdy wierni Kościoła Obserwatorów Ptaków Dwuskrzydłych przeszli na wiarę Kościoła Poszukiwaczy Wielbłądów Jednogarbnych.

Arthur z pomocą kombinerek kieszonkowych rozebrał dzwonek i po wyjęciu z niego duszy przystąpił do poszukiwań. Z duszą na ramieniu, gdyż bał się komarów. Chłopak wciąż się od nich opędzał, co sprawiało, że dusza spadała, wgniatając za każdym razem kolejny dołek.

„Dobrze ci tak, krwiopijco, będziesz miał za dużo dołków”, pomyślał Arthur o swoim chlebodawcy. Miał prawo tak myśleć, gdyż zapłatę otrzymywał od Sera w kromkach chleba. Kromka za godzinę.

Arthur obszedł kilkakrotnie teren wzdłuż, wszedł i w skos, niczego nie znajdując. W pewnym momencie poczuł, że na jego czole usiadł komar. Ponieważ nie uznawał przemocy, postanowił, że zdejmie owada, delikatnie chwytając za skrzydełka i uwolni. Wyjął kieszonkowe lustro, spojrzął i nie chciał wierzyć własnym oczom.

– Nie ma go! – zakrzyknął. Ten wniosek dotyczył komara, którego – nie było. A zaraz potem zawołał: – Jest!

Ten okrzyk dotyczył piłeczki, która dziwnym trafem utknęła na jego ramieniu. Nie było tam natomiast duszy! Czyżby odleciała z komarem? Było to możliwe, aczkolwiek nieprawdopodobne, zabrał się więc za jej poszukiwanie.

Nie było to trudne, gdyż chłopak szedł teraz, zbierając okruszyny chleba, które zostawiał uprzednio za sobą. Zużył podczas poszukiwań trzy kromki, z czego jasno wynikało, że szukał piłki przez dwie i pół godziny. Pół kromki zjadł wcześniej.

Duszę znalazł w najbliższym kącie pola. Gdy po nią sięgał – jakież było jego zdziwienie! – spostrzegł leżącą obok jeszcze jedną piłeczkę. Oto jest piłka z duszą! – pomyślał dowcipnie – a to się Ser ucieszy.

Nagle w trawie coś błysnęło. Wyglądało jak ekler, ale nie było to ciastko z kremem. Był to zamek błyskawiczny. Chwycił ciągadelko dwoma palcami, lecz skorodowany ekler stawiał opór. Nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Nie było dziadka ani babci, gdyż umarli, ani oleju WD40, który pomógłby mu z całą pewnością. Były jednak kombinierki. Jak nie chwycił, jak nie pociągnął, tak i rozpiął. Rozdzielił płaską część boiska golfowego od tego, co było pod nim. Czyli od półkulistej części ziemskiego globu, o czym jeszcze przez chwilę nie wiedział.

Kiedy tylko sięgnął w głąb, dotknął czegoś twardego. Zrazu pomyślał, że to jądro Ziemi, ale nie było to ono. Trzymając w drugiej dłoni lusterko, wyrzwał poza krawędź świata (o czym nadal jeszcze nie wiedział) i stwierdził naocznie, że było to coś w kształcie kuli. Widział to wyraźnie w lusterku. Było to jednak tylko pół prawdy, gdyż było to pół kuli – drewniany grzybek do cerowania skarpet, którego nóżkę zjadły korniki.

Znał ten przyrząd z domu babci. Ostrożnie wyjął go, zdjął ślimaka, otrzepał z resztek ziemi i odłożył. Półkula położona na lusterku była kulą! Kulą nieskończenie doskonałą.

– Eureka! – zakrzyknął Arthur.

– ...eka, eka, eka... – odpowiedziało echo.

Arthur poczuł się niczym odkrywca. Jak Krzysztof Kolumb, Maria Skłodowska-Curie i Mikołaj Kopernik w jednym. Jak Neil Armstrong na Srebrnym Globie. Był pewien, że jego nazwisko zostanie wpisane do Wikipedii, a dzieci w szkołach na całym świecie będą się o nim uczyć.

Przyglądał się swojemu znalezisku, zastanawiając się, kto i dlaczego ukrył przed ludzkością prawdę. Jego podejrzania padły natychmiast na pastora. Tak, to z pewnością on, widział przecież, że od pewnego czasu Y nosił dziurawe skarpetki. Jego gospościa odeszła, przechodząc na stronę Kościoła Obserwatorów Wielbłądów, a sam nie potrafił cerować. Arthur widział to jasno – cera pastora od dawna pozostawiała wiele do życzenia.

Kiedy tylko ochłonął z doznanego szoku, zmontował dzwonek i zadzwonił.

– Czy znalazłeś piłkę, chłopcze? – zapytał X.

– Yes, Ser – odpowiedział Arthur po angielsku.

– Czy zjadł Ser pierogi? Czy jest u Sera Y? Czy Ser ma ser i chleb? Albowiem jestem głodny, a chciałbym Serowi opowiedzieć coś, co zmieni historię.

To mówiąc, doszedł do wyjścia. Z pomocą kombinerek otworzył bramę i wkrótce stanął przed Serem. Ser poczęstował chłopaka nie tylko chlebem z serem, ale i pierogami, które zostały z kolacji. Nalał mu też szklankę serwatki.

Arthur opowiedział o duszy, o komarach i skarpetkach pastora. Przy wzmiance o tychże, pastor wyraźnie speszony podkurczył nogi, po czym wstał i wyszedł pospiesznie, mówiąc, że chyba nie wyłączył żelazka.

Gdy zostali już sami, Ser poczęstował Arthura koniakiem własnej produkcji. Młodzieniec nie wzbraniał się. Pił, zagryzając chlebem i serem. Ser pił bez zakąszania. Gdy już nie było sera, chleba, serwatki ani koniak, X rozluźniając krawat, rzekł:

– Podobasz mi się, chłopcze, jesteś bystry, zdolny i przystojny. Mów mi Xawery.

I ucałowali się z dubeltówki, choć obaj nie nosili broni, gdyż byli przeciwnikami przemocy, komarów i – od teraz – serdecznie nie lubili pastora Y. Po tygodniu Arthur przeprowadził się do Xawerego i odtąd codziennie grywali w golfa. Piłki podawał pastor Y.

PS. Wiadomość o odkryciu Arthura przedostała się następnego dnia do prasy, bo takie wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. A w nocy była burza, której Arthur i Xawery nie słyszeli, gdyż spali jak zabici, mocno do siebie przytuleni.

Mirosław Kuleba

Paryżanka

(z cyklu „Obrazki z wystawy”)

Subtelna materia tego wizerunku utkana jest z cieni. Nie istnieje pigment bardziej nieuchwytny. Światło jest energią i mocą, barwa to esencja światła, cień objawia się niespełnionym niebytem na peryferii światła, w cichnym brzmieniu waloru.

Lecz w tym portrecie cienie są innej, niż malarska, natury. Sam obraz też zabłąkał się do mnie ze świata cieni. Już tylko cieniem jest ta piękna kobieta, na oko dwudziestoletnia, która pozowała do portretu w 1908 roku. Od prawie stu lat cieniem jest malarka Zofia Atteslander, ostatni raz widziana w roku 1928. Cieniami są dostawcy kartonu i pasteli, ramiarz, który obraz oprawił w ciężką, owalną ramę z olejną polichromią imitującą czeczotę. I cieniami skłębionymi pod betonowym niebem komory gazowej w Bełżcu stali się żydowscy krewni malarki, cała jej rodzina.

Urodziła się w 1874 roku w Luborzycy, starej wsi biskupiej nieopodal Krakowa, w zamożnej rodzinie żydowskiej. Jej ojciec, Maurycy Kohn, miał wysoki status obywatela ziemskiego. Wedle zapisu z księgi metrykalnej gminy żydowskiej, w 1889 roku piętnastoletnia Zofia Kohn zawarła małżeństwo z Zygmuntem Atteslanderem, lat dwadzieścia pięć, synem Pinkusa, właściciela dóbr ziemskich w Pleszewie, a dwa lata później przyszło na świat ich dziecko.

To jednak tajemnicza historia – jak młodzianka żona i matka, dziedziczka dóbr ziemskich pod Krakowem, porzuciła salon szacownej *mamefe* i została artystką. Garsoniera na Montmartre albo trójkątna nora w La Ruche, modelki w roli kochanek lub odwrotnie, płótna, pędzle, farby zamiast obiadu, sztuka zamiast życia – to nie było łatwe nawet dla młodzieńców z domów żydowskich bankierów, nie mówiąc o synach szewców czy *handetesów*, a tu – młoda dama. Nauka w krakowskiej akademii była wtedy dla pań niedostępna, dopiero w 1917 przyjęto pierwszą studentkę. Istniały tylko prywatne szkoły sztuk pięknych dla kobiet, w których zresztą zabłysnął talent tak wybitnych malarek jak Olga Boznańska czy Bronisława Rychter-Janowska. To, że Atteslander podjęła naukę malarstwa u Jacka Malczewskiego, jeszcze nie zakrawa na skandal, była pod okiem męża – ale Paryż? Czyżby młoda artystka porzuciła rodzinę? Trudno dzisiaj badać koleje jej życia. Pozostały tylko obrazy, a na nich wytwornie milczące arystokratki.

Malczewski, sam po szkole monachijskiej, jako mentor okazał się ważniejszy od niemieckich akademików, jej późniejszych nauczycieli, gdyż pozostała wierna jego palecie barw czystych i jasnych. Nie nasyciła ich jednak walorem tak bardzo jak mistrz. Kładąc kolor, pozostawiała subtelność kobietą, roztaczającą przed widzami bogactwo niuansów, lekkość i zwiewność swej wizji. Była też wolna od portretowej manieri Malczewskiego, którego modelki są często podobne do siebie, co widać zwłaszcza w wyroju ust, sposobie patrzenia i z lekką atletyczną budową ciała. Atteslander potrafiła uchwycić i oddać indywidualne rysy portretowanej twarzy. A ta, której portret wykonany w 1908 roku w Paryżu udało mi się kupić, jest spośród jej modelek niewątpliwie najpiękniejsza. Z czystą siłą spojrzenia jej jasnych oczu, jaskółczymi skrzydłami brwi, wyrojem ust – nie mogą się równać portretowane w takim samym owalu baronowe Gudrun von Uexküll czy Mildred von der Lanken-Wakenitz, pani Cilly Elf z wielkiego płótna w Muzeum Narodowym w Krakowie, ani żadna inna z jej kobiet. Żadnego ze znanych mi obrazów Atteslander nie kupiłbym, nie interesuje mnie *belle epoque*, ale na ten rzuciłem się bez namysłu, bez pytania o certyfikat. Pokonała mnie jednym spojrzeniem.

Zastanawiałem się, co ją mogło łączyć z Malczewskim poza relacją mistrza i uczennicy. Zapewne nie każdą ze swoich studentek Malczewski portretował. Namalował dwa jej portrety, dość szkicowe, raczej studia portretowe niż dojrzałe konterfekty. Oba utrzymane w jego manierze, ze standardowym wykresem ust i ciężkim wzrokiem, podczas gdy na jedynej znanej dzisiaj fotografii, z potrójnym sznurem krakowskich koralii na szyi, Atteslander wygląda na piękną kobietę o cygańskim, ognistym spojrzeniu. Ich znajomość trwała wiele lat, studiowała u niego już w latach dziewięćdziesiątych, pierwszy jej portret, w czarnym stroju, namalował w roku 1900, drugi, z fantomem kwiatu podobnego do irysa, w 1908. Możliwe zresztą, że obrazy powstały na zamówienie, było ją na to stać.

Niezwykła uroda paryżanki z obrazu wzbudza moją melancholię, jak pejzaże krain, których nie zobaczę albo smak owoców, których nie poznam. Nigdy jej nie spotkam, nie usłyszę jej głosu, nie dotknę. Jej spojrzenie pozostanie za zawsze tylko śladem pasteli na papierze. Była zapewne kimś z dobrego towarzystwa. Atteslander po nauce u Malczewskiego, później u kilku innych znanych malarzy europejskich, została wziętą portrecistką salonową. W 1904 roku malowała w Wiesbaden rumuńską rodzinę królewską, a później zrobiła karierę w Paryżu, gdzie jej klientkami były arystokratki. Na salonie Stowarzyszenia Artystów Francuskich w 1908 roku, w Grand Palais na Polach Elizejskich, wystawiła portrety baronowej Holty i hrabiny P..., za które w zabójczej konkurencji 3740 dzieł otrzymała wyróżnienie. Tadeusz Styka, który zgłosił wtedy swojego *Orfeusza*, nie został nagrodzony, chociaż to właśnie jego spośród polskich artystów działających we Francji zauważył w swoim katalogu *Salons de 1908* Charles Saunier, heterogeniczny erudyta, kolekcjoner i krytyk sztuki.

W Paryżu Atteslander zamieszkała w eleganckiej, trzykondygnacyjnej kamienicy przy Rue Bayen 41, róg Rue Torricelli, zbudowanej w secesyjnym stylu zaledwie przed kilkoma laty, której przestronne i jasne apartamenty z gigantycznymi oknami świetnie nadawały się na pracownię. Później zamieszka tu malarz Geofroy Dauvergne, artysta z ostatniego pokolenia École de Paris.

Talent portrecistki podobno odkrył u niej Franz von Lenbach, jeden z najgłośniejszych niemieckich portrecistów, księżę malarzy monachijskich. Słynie jako autor osiemdziesięciu wizerunków Ottona von Bismarcka, wśród których zabrakło chyba tylko aktu pruskiego kanclerza w pikielhaubie. Przez kilka lat kopiował dawne malarstwo w Rzymie, Florencji i Madrycie, co sprawiło, że wpływ wielkich mistrzów można rozpoznać w jego własnej twórczości. Charakterystyczną cechą jego stylu portretowego, zaczerpniętą może od Tycjana, jest koncentracja na świetle padającym na twarz i szczególnie staranne opracowanie oczu. Zwłaszcza oczu mężczyzn, z których można czytać istotę charakteru modela, żelazną wolę Bismarcka czy zapowiedź szaleństwa Ludwika bawarskiego. U Atteslander także widać to skupienie na twarzy modela, precyzyjne studium oka, przy dość swobodnym traktowaniu tła. Tęczówki mojej paryżanki, które jakiś podrzędny portrecista mógłby namalować jednym odcieniem błękitu, tworzy harmonia siedmiu barw, wirujących wokół źrenicy w najgłębszym tonie *noir galaxie*, czarnej galaktyki, z mistrzowskiego zestawu pasteli Henriego Roché. Prócz błękitu serafinów, który akcentuje istotę tych jasnych oczu, widać w nich błysk światła padający z okna w salonie, zatrzymany w biegu pastelem w tonacji białej lilii, *blanc de lys*, żółtą plamkę *jaune jonquille* – może odbicie bukietu żółtych kwiatów, połysk stołowych sreber. Taką samą staranność w dążeniu do uchwycenia prawdy wizerunku widać w sposobie namalowania włosów modelki. To, co na pierwszy rzut oka wydaje się dość głęboką czernią fryzury brunetki, jest w rzeczywistości impresjonistyczną kompozycją ciemnych plam, z których żadna nie wpada w czerń; są tam dwa rodzaje głębokich fioletów, *violet améthyste* i *hélio trope*, oraz gęsty odcień burgundzkiego wina, *lie de vin*.

Atteslander została uczennicą von Lenbacha już u schyłku jego życia, zmarł bowiem w 1904 roku. Nie trudno wskazać podobieństwo jej pasteli do wielu jego ówczesnych dzieł, chociaż uczennica oszczędnie stosowała monachijski sos mistrza. W portretach Lenbach wykształcił własny typ kobiety, magiczną, zwiewną manierę malarską w delikatnych i harmonijnych barwach, tak ujmującą w portretach jego drugiej żony

Lolo, ulubionej modelki Lily von Poschinger, czy hrabiny Lolity von Zeppelin. Uważano, że jego zaproszenie do pozowania stanowiło dla kobiet tych czasów nagrodę za piękność.

Innymi monachijskimi mistrzami, u których malarka pobierała nauki, byli Stanisław Grocholski i Heinrich Knirr, później jej mentorami zostali Adolf Hölzel w Dachau i John Lavery w Londynie. Niewątpliwie, każdy z nich, jako wybitna osobowość w dziedzinie portretu, wniósł coś własnego do jej sztuki. Postakademizm Grocholskiego otwierał się już na wpływy secesji, widocznej też w stylistyce późniejszych prac Atteslander. Knirr, po latach nadworny malarz Hitlera, jedyny artysta, któremu *Führer* pozował do portretu, być może przekazał Atteslander część siły wewnętrznej, którą rzekomo posiadał. Chociaż o jej istnieniu miałyby świadczyć tylko wątpliwej rzetelności publikacja SS, wedle której artysta, który chce przedstawić wizerunek Wodza, musi być kimś więcej niż artystą – by cała niemiecka wieczność stanęła przed jego dziełem w milczeniu, czerpiąc ze świętej sztuki siłę przez wszystkie wieki. Śmiała plama barwna to być może inspiracja malarstwem irlandczyka Lavery’ego, którego wspaniałe portrety Mary Burrell z 1896 czy Evelyn Farquhar z 1906 roku można by przypisać samej Atteslander. Natomiast nie pociągnął uczennicy za sobą Adolf Hölzel, w tym czasie zdeklarowany impresjonista, podążający już zdecydowanie ku abstrakcji „barwnych dźwięków”. Pozostała wierna salonowemu realizmowi, zbudowanemu na nieomyślnej, akademickiej perfekcji.

Bezimienna paryżanka z dużego pastelu Atteslander, który kupiłem, postać prawie naturalnej wielkości, pokazana od kolan w pozycji siedzącej, ma na sobie jedwabną suknię z jasnoniebieskiej tafty – rozpoznaję tu świetlisty błękit serafinów Rochégo, *bleu Séraphin* z liczącej wówczas tysiąc odcieni palety pastelii jego firmy, kolor spokoju i ciszy, zadumy i rezygnacji. W szatach Maryi kolor ten miał jeszcze inne znaczenie, symbolizował uduchowanie i czystość, ale w malarstwie okresu błękitnego Picassa, gdzie można dostrzec jego odcienie, Apollinaire widział wilgotne dno otchłani. Co znaczy kolor tej sukni tutaj? Wiem, że ma niebiańskie pochodzenie, jak ta kobieta i jej anielska uroda.

Podkreśla to jeszcze mgła białego tiulu z połyskujących, jedwabnych włókien, których gąsieniczy splot można niemal rozpoznać w powietrznej fakturze pastelii. Tiulowe obłoki budują architekturę górnej partii sukni, dekolt nad nisko opuszczonym stanikiem, przepasanym w talii szeroką szarfą, zwiewną falbanę żaboty i bufiaste rękawy. Przez luźny splot tkaniny prześwieca skóra ramion i piersi. Ta suknia to miękki kokon smutku, ciszy i powściągliwości.

Na jej smukłych palcach nie widać pierścionków ani obrączki. W uszach lśnią tylko delikatne kolczyki, a na szyi medalion na złotym łańcuszku. To nieistotne szczegóły, gdyż jej najcenniejszym klejnotem są oczy. Niewiele jest kobiet obdarzonych przez artystę takim spojrzeniem. Gdyby kiedyś ten obraz spłonął, a z całej kompozycji pozostał tylko fragment z jej oczami, i tak mówiłyby to wszystko, co przepadło w ogniu. I to by wystarczyło, aby wszystko wiedzieć o niej.

Jej spokój wygląda na melancholię i rezygnację. W rysunku pełnych ust nie widzę gotowości do uśmiechu, raczej coś smutnego. Co powraca na jej oblicze ledwo widocznym rumieńcem.

Przestrzeń przed obrazem przenikają niewidoczne nici, które połączyły niegdyś artystkę z jej modelką. Jeszcze dzisiaj odczuwam tę więź, sferę intuicji i doznań ukrytych przed światem. Widzę, jak siedzą naprzeciw siebie, oddzielone niewidzialną przesłoną zbudowaną z oddechów, spojrzeń i myśli. Pastel w palcach malarki przenosi na karton rudymenty tamtej postaci naprzeciwko, cząstki jej trwania, jej życia, niej samej. Zdiera z niej jedwabie i złoto, odsłaniając oczom nagie ciało. To intymna więź, dobrze znana artystom malującym akty kobiet, kiedy w proces twórczy wsącza się powoli pigment pożądania.

Jak to wyglądało wtedy, gdy powstawał mój obraz? Atteslander pokazała ją w taki sposób, jakby swoją modelką całkowicie owładnęła. Mistrzowsko oddała jej wewnętrzne piękno, którego widomym znakiem jest doskonałość urody. Zbliżyła się do sensu ukrytego pod olśniewającym wizerunkiem tak bardzo, jakby dzieląca te dwie kobiety przestrzeń straciła swój linearny wymiar i stała się już tylko zjawiskiem duchowym. I w takiej przestrzeni potrafiły się do końca rozpoznać. Jakby malarka stała się tą, na którą patrzy. A zarazem w tym

niezwykłym procesie twórczym, który w istocie miał egzystencjalny wymiar, sama przestała istnieć. To kobieta z obrazu pochłonęła istnienie swojej portrecistki. Dzisiaj, kiedy przed nią stoję, czuję siłę, jaką wzbudza jej zdwojone trwanie.

Jest i chłonie światło, a więc i moje spojrzenie, a to jest wszystko, co w naszej wzajemnej relacji świadczy o moim istnieniu. Ona mi to zabiera. Odebrała to Atteslander, wszystkim, którzy na nią kiedykolwiek patrzyli. Teraz pozwala mi wniknąć w siebie, poza cienki całun światła i mgły, w jedwabny ślizg, w karton ze śladem pigmentu i spoiwa, tam – gdzieś poza, w bezprzestrzenny zaświat, gdzie na miękkiej otomanie ciągle spoczywa jej ciało, skąd jej oczami patrzy na mnie czas. W bezmiar cienia, którym umiera światło.

Jestem cieniem ja sam, który na ten obraz patrzę, bo mój związek z nim i z tą piękną kobietą na nim, i Zo Atteslander, trwa tylko przez tę chwilę, która przeminie. Wszyscy jesteśmy cieniami, powołanymi do istnienia odległą jasnością, w której znajdziemy też swój kres. Tylko ona pozostanie, w tej zwiewnej sukni, z cieniem uśmiechu i jasnymi oczami.



Zofia Atteslander, *Portret kobiety*, pastel na kartonie, 113x83, Paryż 1908

Chcę poszukiwać całości w złożoności,
bo poszukiwaniem samej złożoności
się zmęczyłem



Z prof. Mirosławem Lachowiczem, matematykiem stosowanym,
rozmawia Mirosława Szott

Mirosława Szott: Czy zdziwiłeś się, Mirku, zaproszeniem do rozmowy o nieskończoności w piśmie o profilu literacko-kulturalnym? Jesteś w końcu profesorem matematyki.

Mirosław Lachowicz: Nie, Mirko, nie zdziwiłem się, bo znam środowisko czasopisma, którego jestem wiernym kibicem. Na pewno bardzo się ucieszyłem. Wierzę w sens przekraczania granic i martwi mnie, że nasza baza kulturowa bardzo to utrudnia. Już w szkole dowiadujemy się, że są całkowicie rozłączne przedmioty i wszyscy są jakoś przyporządkowani do nich na stałe. Oczywiście to porządkuje, ale jest z gruntu nieprawdziwe. Współczesne problemy ludzkości rodzą się na przecięciach różnych dziedzin i przyszłość widzę w skutecznym przekraczaniu barier. Nauki ścisłe (po angielsku po prostu *science*) i nauki humanistyczne ujmują prawdę o świecie i człowieku w różnych aspektach, ale ta prawda jest jedna, choć nie jest nam bezpośrednio dostępna. Od wielu lat chodzi mi po głowie rodzaj syntezy.

Powiesz o tym coś więcej? Zdajesz sobie sprawę z tego, że to brzmi jak alchemia?

To słowo „alchemia”, raczej całkowicie skompromitowane, może być tutaj ładną metaforą. Gdyby sir Isaac Newton (1642-1727) musiał się samookreślić w jakimś kwestionariuszu, to zapewne nie napisałby, że jest „jednym z najważniejszych matematyków wszechczasów” lub „jednym z najważniejszych fizyków”, lecz właśnie raczej, że jest alchemikiem. Grał w to, co umiał grać. Może

N
b
l
i
z
e
n
i
a

dzisiaj nie mamy twardej podstawy intelektualnej do syntezy nauk ścisłych i sztuki, ale to nie znaczy, że nie powinniśmy szukać. Na pewno nie stracimy. Warto podkreślić, że ta nieprzekraczalna przepaść pomiędzy naukami ścisłymi i sztuką jest bardziej odczuwalna w „naszym kręgu kulturowym”. W krajach anglosaskich istnieją poważne czasopisma naukowe, w których ukazują się wyniki badań nad taką syntezą. Podam dwa przykłady: „Journal of Mathematics and the Arts” i „Journal of Humanistic Mathematics”. Chcę poszukiwać całości w złożoności, bo poszukiwaniem samej złożoności się zmęczyłem. Będziemy rozumieć świat, gdy połączymy różne spojrzenia i różne poziomy jego przetworzenia. Zarówno nauki ścisłe, w tym matematyka, jak i humanistyka, w tym literatura, są sposobami przetworzenia tego, co wiemy o świecie. Zwolennicy ewolucji powiedzieliby, że są sposobami przystosowania się naszych umysłów do świata. Tym więcej z tego świata zrozumiemy, im bardziej będziemy potrafili dokonać syntezy różnych, czasami odległych od siebie spojrzeń. O takiej syntezie pisał np. Edward Stachura (1937-1979) we *Wszystko jest poezja* w fenomenalnych dyskusjach z biofizykiem. Tym biofizykiem (Stachura konsekwentnie używa formy męskiej) była Barbara Czochralska (1928-2020), profesor chemii z Uniwersytetu Warszawskiego¹. Z książki *Wszystko jest poezja* pochodzi bardzo trafne określenie nauki (rozumianej jako *science*): „Jeżeli optymalnym opisem naukowym jest znak matematyczny, a nauka poprzez uogólnienie zdąża do opisywania zjawisk w formie najprostszej i, stale wiążąc nowymi relacjami różne dziedziny, zagęszcza swoją strukturę – to można sobie wyobrazić naukę przyszłości jako punkt o skomplikowanym ruchomym wnętrzu. Wnętrze tego punktu coraz bardziej się komplikuje i coraz bardziej zagęszcza. Sam punkt, zawierając w sobie jakiś obraz świata, jest w stosunku do świata przesunięty. Ostrość tego obrazu jest słaba, choć trudno to stwierdzić, ponieważ nie znamy innego intelektualnego obrazu świata. Można również nazwać naukę zamglonym okiem świata”. Zarówno

sztuka, jak i nauka przetwarzają naszą wiedzę, nasze doświadczenia i nasze intuicje dotyczące świata. Przetwarzają w zupełnie inny sposób i zapewne inne elementy rzeczywistości. Niemniej mogą się dopełniać. Warto więc poszukiwać.

Jak to może wyglądać w praktyce?

Przenikania mogą być bardzo głębokie. Jest to temat na długie rozważania. Podam więc tylko jeden przykład. Bardzo ciekawe są dokonania francuskiej grupy literackiej Oulipo, powstałej w Paryżu w latach 60. ubiegłego stulecia. Za założycieli uważa się Raymonda Queneau (pisarza, poetę, wydawcę) i François Le Lionnais (inżyniera-chemika, matematyka, pisarza). Ten pierwszy zajmował się tzw. sekstyną – utworem literackim wymyślonym w XIII wieku w Prowansji – za jej wynalazcę uznaje się trubadura Arnaut Daniel. Analiza sekstyny i jej uogólnień (rzecz typowa w matematyce) doprowadziła do bardzo zaawansowanych matematycznych prac naukowych z teorii liczb. Co ciekawe, sam Queneau uczestniczył w tych badaniach. Dokonania tej bardzo ciekawej grupy to materiał na bardzo długą opowieść. Bardzo cieszę się, że utwory literackie grupy zaczęły się ukazywać ostatnio po polsku (za sprawą Wydawnictwa Lokator).

To jedno z moich ulubionych wydawnictw! Nie wyobrażam sobie być w Krakowie, odwiedzić Kazimierz i nie wejść do Lokatora. Ostatnio czytałam *Księgę niepokoju* Pessoa, wydaną tak wyjątkowo jak eseje Pereca. Wracając do powiązań, jest nurt kognitywistyczny w humanistyce, ale zawsze czuję się niezręcznie, kiedy np. językoznawcy wykorzystują nauki ścisłe w swoich badaniach (bo czuję, że sami sobie nie ufają). Nie spotkałam natomiast matematyka, który podjąłby się badań literaturoznawczych (w tę stronę byłoby chyba łatwiej?).

To jest temat na długą opowieść i może opasłą monografię, a i pewnie habilitację na tym można zrobić, choć nie wiem z jakiej dziedziny. Pierwszym przykładem są artykuły w wymienionych wcześniej czasopismach. Kolejnym jest wspomniana przed chwilą grupa Oulipo. Ich działania to było stosowanie zasad matematycznych do konstrukcji dzieł literackich. W szczególności uwielbiali kombinatorykę. Tu poja-

¹ Barbara Czochralska historię znajomości ze Stedem przedstawiła w książce *Ktoś spoza planety: spotkania z Edwardem Stachurą*.

wia się ciekawy problem. Powszechnie uważa się, że poeta jest wolny w swoim wyrazie – może pisać, co chce i jak chce. Matematyk ma ograniczone pole manewru – musi posługiwać się ustalonymi regułami. Działania grupy Oulipo w literaturze pokazują, że formalne ograniczenia dają ciekawe możliwości nowego wyrazu. Tak naprawdę w ograniczeniach ukazuje się geniusz. Wyobraź sobie książkę napisaną po francusku bez użycia litery „e” (najczęściej występującej w języku francuskim) – zrobił tak wspomniany Georges Perec w *Zniknięciu* (w szczególności polecam komentarze polskich tłumaczy tej książki). Dodatkowo takie formalne ograniczenia mają istotną motywację. Z drugiej strony poszukiwania intelektualne Oulipowców były bazą do rozwoju teorii matematycznych, jak ta z teorii liczb, o której wspominałem. Zatem relacja matematyki i literatury była tu podobna, może tylko z odrobiną przesady, do relacji pomiędzy matematyką i fizyką, które bez siebie istnieć, jak wiadomo, nie mogą. W telegraficznym skrócie można tu dorzucić Lwa Tołstoja z jego „całką historii” w *Wojnie i pokoju*. Niestety XIX-wieczny tłumacz polski (obecnie korzystamy z uwspółcześnionego tłumaczenia XIX-wiecznego) raczej nie przyłożył się do oddania w sposób zrozumiały idei Tołstoja – na szczęście tłumaczenie angielskie można znaleźć online (nie byłem tak zawzięty, by czytać po rosyjsku). Można wymienić Roberta Musila (1880-1942) i na przykład jego książkę *Niepokoję wychowanka Törlessa* (*Die Verwirrungen des Zöglings Törless*, 1906, wyd. pol. 1965), gdzie matematyka (liczby zespolone) odgrywa pewną rolę oraz np. inną jego książkę – *Człowiek matematyczny i inne eseje* (Warszawa 1995). Dodałbym dzieła mojego ulubionego Italo Calvina (1923-1985) – był członkiem honorowym Oulipo, a zgodnie ze statutem Oulipo: „skoro był, to jest” – bardzo inspirowane matematyką. Po włosku wyszedł zbiór opowiadań *Opowieści Matematyczne* (*Racconti matematici*, Einaudi, Torino 2014), zebrany przez matematyka Claudio Bartocciego z krótkimi utworami J.L. Borgesa, I. Asimova, I. Calvina, S. Lema (oczywiście!), D. Buzzatiego, J. Cortezara, U. Eco i innych. Można powiedzieć, że większa część dzieł Jorge L. Borgesa (1899-1986) i Stanisława Lema (1921-2006) inspi-

rowana była matematyką². Te powyżej omówione związki interesują mnie najbardziej, gdyż dają nadzieję na całościowe spojrzenie na człowieka i jego doświadczenie. Ale są też związki bardzo konkretne i znowu jest to temat-ocean.

To może chociaż jeden przykład z tego oceanu?

Powiem o dwóch, o których nie sposób nie wspomnieć. Nie można współcześnie uprawiać językoznawstwa bez odniesień do matematyki i informatyki. Jako konkretny przykład podam artykuł napisany przez katalońskich matematyków³. Tekst powstał, zanim Polska dołączyła do Unii. Autorzy informują, że na ulicach Katalonii, a w szczególności Barcelony, można zobaczyć napisy „Polacos, esta es España” („Polacy, tu jest Hiszpania”). Nie jest to bynajmniej chęć poinformowania polskich turystów, że są w Hiszpanii (na wypadek gdyby tego nie zauważyli), gdyż w tamtych czasach raczej niewiele osób z Polski odwiedzało Katalonię. Napisy te były związane ze zniecierpliwieniem Hiszpanów ze środkowej Hiszpanii (w tym z Madrytu), mówiących po hiszpańsku – „kastyljsku”, faktem, że w Katalonii mówi się po katalońsku. Język ten wydawał się na tyle dziwny, że określano go mianem „polskiego” (tak, jak my kiedyś coś niezrozumiałego określaliśmy, że brzmi po „chińsku”), a mówiących nim Katalończyków mianem Polaków. Autorzy artykułu zadają sobie pytanie, który z języków hiszpański czy kataloński jest bliższy polskiemu. Nie powiem, co im wychodzi, aby nie psuć zabawy osobom, które sięgną po ten artykuł. Kolejnym tematem-oceanem jest sztuczna inteligencja. Dzieje się na naszych oczach i niewątpliwie zmieni nasz świat, tak jak zmienił świat internet. Dyskutuje się o możliwych zagrożeniach, ale wpływ sztucznej inteligencji na nasze życie jest nieunikniony. Zmiany są tak szybkie, że trudno przewidzieć ich efekt za kilka lat. Czy

² Związki J.M. Coetzee z matematyką opisałem w artykule *Matematyka i literatura, J.M. Coetzee*, „Delta” 2023, nr 1, s. 4-5 (dostęp online), a związek z samotnością opisałem w artykule *Samotność i liczby*, „Delta” 2023, nr 11, s. 17-19 (też dostęp online) – chodzi tu o książkę Paola Giordana (doktora fizyki) *Samotność liczb pierwszych*.

³ J. Miró, F. Rosselló, *Czy w Unii Europejskiej mówiono po polsku?*, „Delta”, 2004 (dostęp online).

będziemy mogli w przyszłości przestać pisać książki, komponować symfonie i malować obrazy, bo zrobią to za nas komputery? Nie sądzę. Jedno jest pewne: komputery nie zastąpią nas w uprawianiu matematyki (twierdzenie A. Turinga, 1912-1954). Sztuczna inteligencja, jak sądzę, może spowodować, że klasyczny podział na „umysły humanistyczne” i „umysły ścisłe” stanie się właśnie sztuczny.

Jak można mówić o nieskończoności?

Najpierw można się zastanawiać, czy jest sens mówić o nieskończoności w skończonym czasie, lub pisać na skończonym skrawku papieru. To jest pojęcie wyjątkowo niejednoznaczne i obarczane wieloma kontekstami. O nieskończoności można mówić w kolejce („czy mam tu stać w nieskończoność?”). Nad nieskończonością zastanawiają się filozofowie, za Arystotelesem zapewne przyjmując, że są możliwe dwie różne nieskończoności: potencjalna (najprostsza, wyrażająca nieograniczoność) i aktualna („dokonana”). Ta druga prowadzi do licznych paradoksów, takich jak np. paradoksy Zenona z Elei. Do listy tej matematyk Georg Cantor (1845-1918) dorzucił jeszcze nieskończoność absolutną, którą utożsamiał z Bogiem. Czy zatem kłótlivy facet z kolejki, matematyk, fizyk, filozof lub teolog (z chęcią użyłbym tu też form żeńskich), wypowiadając słowo „nieskończoność”, myślał o tym samym? Oczywiście tak nie jest. Włoski poeta i filozof Giacomo Leopardi napisał w pierwszej połowie XIX wieku dzieło *L'Infinito* (*Nieskończoność. Wybór pieśni*, Warszawa 2000). Może więc poeta-filozof, jeden z największych klasyków XIX-wiecznej literatury światowej, mógłby być przewodnikiem w rozumieniu nieskończoności? Niestety czytelniczka lub czytelnik ma prawo się rozczarować. W książce Leopardiego nieskończoności w zasadzie nie ma. Dla włoskiego poety jest ona tylko ułudą. To jedno z tych pojęć, które przez swą nieokreśloność są tak pojemne, że każda czytelniczka lub czytelnik może tam sobie podstawić swoje rozumienie i swoją interpretację. W ten sposób poezja, zdaniem Leopardiego, byłaby formą, której treść nadaje osoba czytająca.

Tak rzeczywiście bywa. Uzupełniamy pewne miejsca niedookreślone (tak je nazywał R. Ingarden) własnym doświadczeniem, wy-

obrażeniem. I to się zmienia przy każdej lekturze, więc dzieje się w nieskończoność. Jak to jest w Twojej dziedzinie?

No, właśnie, czy w nieskończoność? Siłą matematyki jest to, że nie ma w niej miejsca na indywidualną interpretację. Matematyka nie zależy od twórcy i odbiorcy. Bardziej niż jakikolwiek inny wytwór człowieka jest ona uniwersalna. Matematyka w Patagonii jest identyczna jak matematyka na Kamczatce. Tu żaden ideolog nic nie poradzi, choć próby zawłaszczenia matematyki w historii też się zdarzały. Tak jak okrąg jest idealizacją czegoś okrągłego, tak nieskończoność jest idealizacją czegoś bardzo dużego. Paradoksalnie mógłbym powiedzieć, że w zasadzie matematycy wcale nie potrzebują nieskończoności, choć chętnie o niej mówią. Przed wynikami wspomnianego już wcześniej Georga Cantora wielu matematyków wyrażało swój dystans do pojęcia nieskończoności (aktualnej), na przykład wielcy matematycy, Gottfried W. Leibniz (Leibnitz) (1646-1716) – „nie ma nic bardziej namacalnego niż absurdalność idei liczby właściwie nieskończonej” i Carl F. Gauss (1777-1855) – „nieskończoność jest raczej sposobem mówienia, prawdziwym sensem jest granica, która jest dowolnie blisko elementów”.

Lubisz czytać poezję? Czy męczy Cię ta wielość możliwych interpretacji?

Tu odpowiedź jest szybka: lubię i nie męczy. Choć nie będę ukrywał, że nie każdy rodzaj poezji jest dla mnie dostępny. Ze zdziwieniem zaobserwowałem, jak ważna jest poezja Wisławy Szymborskiej dla przedstawicieli nauk ścisłych za granicą, szczególnie we Włoszech. Jest to rzeczywiście fenomen, bazujący trochę na fakcie, że jej poezja jest względnie czywista do tłumaczenia. Nie uznałbym się za połykacza poezji, ale niewątpliwie to, co przeczytałem w młodości, ukształtowało moją wrażliwość.

Spotkaliście się ostatnio na Festiwalu Experiment⁴, który w 2022 roku nosił tytuł „Bezkręsinfinity”. Miałeś tam wykład, na który przyszedł tłum ludzi (w najgorszym upale dnia). Nawiazywałeś do literatury, malarstwa, filozofii oraz...

⁴ Międzynarodowe spotkania artystów organizowane od 2001 roku w Zbąszyniu przez Katarzynę Kutzmann-Solarek i Irenę-usza Solarka.

matematyki. Zacząłeś od przekazywania wstęgi Möbiusa i pytań wokół tej jednostronnej powierzchni. To był dobry chwyt! Pokazywałeś też m.in. prace Eschera, obraz Dalego pt. *Ogon jaskółki* wykorzystujący całki i linie odnoszące się do teorii katastrof René Thoma. I przyznam, że to było bardzo intrygujące (dla kogoś, kto matematyką zajmował się ostatni raz w szkole średniej).

Moje refleksje o nieskończoności, bazujące na wykładzie, który wygłosiłem na międzynarodowym festiwalu Experiment w Zbąszyniu w 2022, zawarłem w artykule „*Experiment*” z *nieskończonością*⁵. Na tym wykładzie byłaś i widziałas. Było to dla mnie ciekawe przeżycie. Wcześniej, w roku 2013 zastanawiałem się, czym jest nieskończoność w matematyce stosowanej⁶, a więc tej części matematyki, która bezpośrednio odnosi się do rzeczywistości.

No właśnie – jeśli się nie mylę, zaliczasz się do grupy matematyków stosowanych. Co to oznacza?

Matematyk stosowany to taki, który chce, by jego struktury matematyczne opisywały świat. Matematyka stosowana to budowanie (tworzenie) i analizowanie modeli matematycznych, czyli takich struktur (najczęściej równań), które ujmują pewne aspekty opisywanej rzeczywistości. Gdy matematyk (stosowany, oczywiście) tworzy równania mające opisywać, na przykład walkę układu immunologicznego z nowotworem, i gdy już wie, że jego równania mają rozwiązania, a te rozwiązania są jedyne (jednoznaczne), to zaczyna się interesować zachowaniem długoczasowym (asymptotyką czasową). Oznacza to, że bada zachowanie rozwiązań, gdy czas zbiega do nieskończoności. Jest to pierwszy krok do wyciśnięcia podstawowej informacji z równania: dla jakich parametrów zwycięży układ immunologiczny, a dla jakich nowotwór. Zatem prędzej czy później musimy w tym procesie przejść od konkretnych świata rzeczywistego do świata abstraktów – świata idei matematycznych odzwierciedlających świat rzeczywisty. W świecie abstraktów

mamy do czynienia z punktami, odcinkami, okręgami, płaszczyznami i... właśnie z nieskończonością. Żadnego z tych obiektów nie obserwujemy w świecie rzeczywistym, a jednak dobrze nam służą do zrozumienia tego świata. Za Theodorem Roethke, amerykańskim poetą, możemy powiedzieć, że wszystkie rzeczy skończone ujawniają nieskończoność.

Próbowałeś swoich sił w literaturze? Czegoś eksperymentalnego między wzorem a metaforą?

Nie, nie próbowałem. Zastanawiałem się nad tłumaczeniami. Kiedyś powiedziałem Katarzynie Kutzmann-Solarek, że przetłumaczę jej wiersze na język włoski. Po czym spędziłem cały dzień, zastanawiając się nad tym, jak przetłumaczyć tytuł, uznałem, że to przerasta moje możliwości (liczę, że Kasia mi wybaczyła). Naturalna dla matematyka chęć dokonania ścisłego przekładu praktycznie uniemożliwia translację. Jednak są znakomite przykłady, że tak nie zawsze jest. Niedawno zmarły wspaniały matematyk – Ryszard Engelking (1935-2023), zresztą mój nauczyciel – był doskonałym i często nagradzonym tłumaczem literatury francuskiej, w tym dzieł Flauberta i Baudelaire'a. Może niepotrzebnie się zniechęciłem? Jako anegdotę mogę opowiedzieć o wynurzeniach włoskiego tłumacza *Wujaszka Wanii* A. Czechowa. Na kilkunastu stronach wstępu tłumaczy się on z tego, jak usiłował przełożyć kluczowe niewątpliwie zdanie dramatu „*Szto delat – nada zit*” („cóż robić – żyć trzeba”). Każde jego podejście dawało wypowiedź raczej nadającą się do wieczoru w trattorii niż wyrażenia istoty bytu.

Przytoczyłeś kiedyś cytaty Godfrya Hardy'ego, jednego z najbardziej znanych matematyków początku XX wieku, a jednocześnie współojca podstawowego prawa genetyki: „Piękno jest pierwszym sprawdzianem: na świecie nie ma miejsca dla brzydkiej matematyki”. Jak rozumiesz piękno?

Już starożytni Grecy próbowali zrozumieć fenomen piękna. Czy jest obiektywne, czy też subiektywne? Niektórzy matematycy (za Hardym) uważają, że matematyka może być tylko piękna, w tym sensie, że to, co nie jest piękne, w matematyce jest po prostu eliminowane z czasem. Jest tu podobny problem jak z muzyką. Symfonia albo jest piękna, albo nie ma jej wcale (po prostu nie jest grana). Ale jak wyrazić

⁵ M. Lachowicz, „Delta”, 2023 nr 8, s. 1-3 (dostęp online).

⁶ Tenże, *Nieskończoność – nieskończenie użyteczna*, „Delta”, 2013, nr 7, s. 12 (dostęp online).

kryterium określające, która symfonia jest piękna? Podobny problem jest z malarstwem i literaturą. Jak do kryterium sztuki ma się dzieło Piera Manzonięgo (1933-1963) pod tytułem *Merde d'Artiste*, wykonane, zresztą, w dużej liczbie kopii? Może gdybym już naprawdę był zmuszony do wyrażenia jakiejś formułki, to zgodziłbym się z tą klasyczną, że piękno jest w tym, co cieszy zmysły.

Wiele podróżujesz po świecie. Ostatnio byłeś w RPA i Bułgarii. To też pomaga Ci szukać tej syntezy, o której wspominałeś na początku naszej rozmowy?

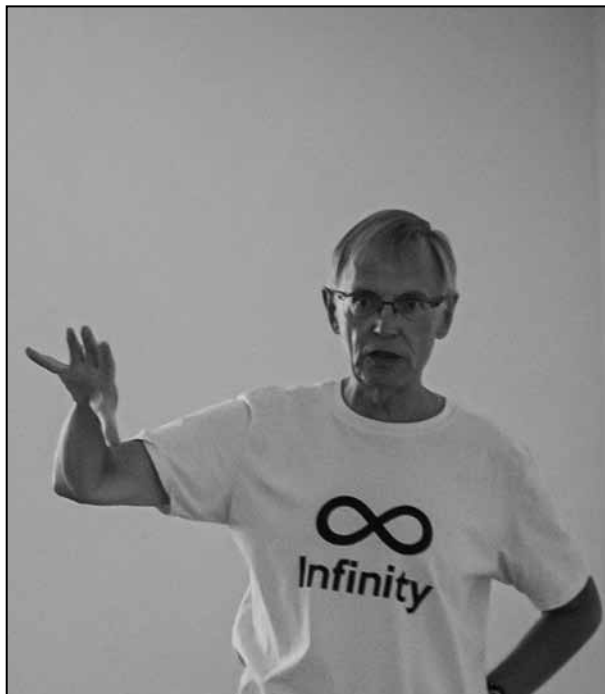
Tak, podróżowanie jest dla mnie bardzo ważne. Miałem zaplanowane w roku 2023 wyjazdy na Sycylię i do Portugalii, ale uniemożliwił je wypadek rowerowy. W podróżowaniu widzę poszukiwanie jedności świata. Mam bardzo sentymentalny stosunek do wszystkich miejsc, które odwiedziłem. Bardzo lubię Włochy, a w szczególności Sycylię, lubię też RPA. Niewątpliwą zaletą zajmowania się nauką jest możli-

wość podróżowania. Niezależnie od wyjazdów dalekich, praktycznie zawsze związanych z pracą zawodową, lubię podróże głównie rowerowe w bliższej okolicy, a także dłuższe spacerzy piesze. Mam wiele przemyśleń i anegdot z tym związanych. Może kiedyś to usystematyzuję?

Dziękuję za inspirującą rozmowę.

To ja bardzo dziękuję. Może wspólnie daliśmy impuls do dalszych poszukiwań? Może kiedyś powstanie polskie Oulipo? Proponowałbym nazwę Walipo, co ładnie można zinterpretować. Zakończę próbką działalności Oulipowców (nie twierdzę, że najbardziej znamienitą) – wierszem wspomnianego F. Le Lionnais pt. *Wiersz w stanie śladowym* (nie wykluczam, że jest to polska prapremiera drukiem):

1, 2, 3, 4, 5,
6, 7, 8, 9, 10,
12?
11!



„Wiersz bez kropki” ...

Nieskończoność w poezji Elżbiety Dybalskiej

„Kropki nie postawię...” (*Kropka*), „Kropki nie stawiam...” (*W począggu*) – pisze Elżbieta Dybalska w tomikach *Bruzdy*¹ i *Pomimo*². Zbiór *Ślady miłości*³ przynosi frazę o „książce bez ostatniej strony” (*Kroplówka*), a *Białe*⁴ tajemniczą „białą przestrzeń dotkniętą słowami” (*Tyle*). Z wierszy wyłania się człowiek jako „dzieło nieskończone” (*Ty i ja*). Jest on stworzony w równie nieskończonym świecie, na obraz i podobieństwo Boga. Także bezkres kosmosu odsyła do nienazwanego i niewyrażalnego sacrum.

Chciałabym przyrzeć się tym dwóm wymiarom nieskończoności w twórczości lubuskiej autorki: duchowej tajemnicy człowieka (i jego nieśmiertelności) oraz bezkresowi kosmosu, natury.

Nieskończoność jako duchowa tajemnica człowieka

W filozofii romantycznej istnieje interesująca alegoria ludzkiego życia: „Życie jest mostem, na którym przechodzi nieskończoność, stając się skończonością, narodziny i śmierć są początkiem i końcem tego mostu. To, że nieskończone staje się doczesne, a doczesne staje się nieskończone, jest filozoficzną esencją, jest solcystjum [tj. letnim lub zimowym przesileniem dnia z nocą], *nec plus ultra* boskiej mądrości i wszechmocy”⁵.

W poezji Elżbiety Dybalskiej życie ludzkie wpisuje się w nieskończoność jako droga do nieśmiertelności i fragment wieczności. Sygnałami tej nieograniczoności są tutaj: cisza, biel, pamięć (wspomnienia), trwa- nie, odradzanie się i przekazywanie życia.

Cisza jako duchowa przestrzeń w człowieku to obszar tajemnicy, nieodgadnionego milczenia, „niewypowiedzianych słów”, „niezapisanych kartek” – jak w wierszu *** „W polu widzenia...”. Cisza Absolutna lub święta (*Cisza*), noworoczna (*Los*), cmentarna (*** „Odnajdziesz mnie...”) jest nie tylko przez istotę ludzką doświadczana, odczuwana, słyszana, ale i sama „słyszysz” (*Moja cisza*), „pozwala sercom słyszeć ich rytm” i „nuci kolędę” (*Święta*), „wyśpiewuje słowa miłości” i przemawia (*Wymowna cisza*). Cisza „trwa” w człowieku (*** „we mnie...”) i ratuje od „ulewy słów”, przynosi spokój (*Świat na dłoni*).

Ciszy jako figurze nieskończoności towarzyszy w poezji autorki **biel**⁶, symbolizująca czystość, niewinność – kolor aniołów. Przywołuje ona duchowy pierwiastek w człowieku. „Białe” to nie tylko tytuł tomiku z 2019 roku, ale też ważny motyw we wszystkich zbiorach lubuskiej poetki, najmniej może w *Śladach miłości*. Białe obrus (*Puste miejsce*), białe puch (*Los*), porcelanowy talerzyk (*Białe*), biała kartka (*Wszystko jest możliwe*), róża (*** „za białą różą...”), chusteczka (*Biała chusteczka*) to tylko niektóre przykłady. W wierszu *Wszystko jest możliwe* „biel się zmienia w niebieskość”, a kolor niebieski⁷ (a szczególnie odcień błękitu) przywodzi na myśl

¹ E. Dybalska, *Bruzdy*, Zielona Góra 2014.

² *Taż*, *Pomimo*, Zielona Góra 2022.

³ *Taż*, *Ślady miłości*, Zielona Góra 2008.

⁴ *Taż*, *Białe*, Zielona Góra 2019.

⁵ B. Trentowski, *Podstawy filozofii uniwersalnej. Wstęp do nauki o naturze*, przeł. M. Żułkoś-Rozmaryn, przejrzał i przypisami opatrzył J. Garewicz, wstępem poprzedził A. Walicki, Warszawa 1978, s. 656, [za:] M. Strzyżewski, *Romantyczna nieskończoność. Studium identyfikacji pojęcia*, wstęp i opracowanie materiału ikonograficznego A. Markuszewska, Toruń 2010, s. 156.

⁶ O symbolice bieli zob. *Białe*, [w:] M. Lurker, *Słownik obrazów i symboli biblijnych*, tłum. bp K. Romaniuk, Poznań 1989, s. 25-26.

⁷ O symbolice koloru niebieskiego zob. W. Kopaliński, *Słownik symboli*, Warszawa 2006, s. 22-23.

nieskończoność, trwanie, niebo – o którym jeszcze będzie mowa w kontekście bezkresu wszechświata.

Kolejny aspekt pierwiastka nieskończoności w człowieku to **wspomnienia**. W twórczości Dybalskiej znajdziemy liczne świadectwa pamięci, np. o mężu (*List do męża*), mamie (*Mamo!*), ojcu (*Pamięci Ojca*), Emilce (*Requiem*), o tych, których już nie ma wśród żyjących (*Puste miejsce*). Wspomnienia są tu cennym skarbem, który można „schować za pazuchę” (*Zaproszenie*) albo w szufladzie (*Biała chusteczka*) czy w skrzyni (***) „wyrasta w polu...”). Łączą się z tęsknotą, trwaniem, miłością (*Pamięci Ojca*), są formą spotkania – jak w motcie wiersza *Syzyfem jestem*, pozwalają trwać (*Wymowna cisza*). Ich znakami mogą być fotografie (*Wymowna cisza*), kurhany (*O... popatrz!*), cementarna cisza (***) „Odnajdziesz mnie...”), ale też kwiaty, np. niezapominajki – jak w wierszu *Rabatka życia*, poświęconym rodzicom poetki. Nieskończoność ludzkiego życia, trwanie we wspomnieniach obrazuje utwór *Wszystko i nic z tomu Biały*:

garsteczka wspomnień
odrobina dobra
gruda ziemi po nas
szczyptą miłości
poprawiamy świat
pamięć wyrośnie zielenią⁸.

Pamięć to sposób na zbliżenie się do nieśmiertelności i wieczności, dlatego poetka zachęca:

spinaj strzępy wspomnień przekonaj
czytaj biel zdarzeń
wznies się do chmur
wejdź na skałę najwyższą
zadziw siebie
stań wysoko i spytaj
co ważne było
jest
będzie⁹

Widać tu przenikanie się przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, podobnie jak w utworze *Chwil parę*, w którym „wieczność” przeplata się z „wczoraj” i „dziś”.

Dzięki zachowaniu w czyichś myślach, pozornie „skończone” życie ludzkie staje się mostem ku nieskończoności. Dopelnieniem tej prawdy jest u Dybalskiej świadomość **trwania** dzięki **przekazywaniu życia**. Wymownym przykładem takiego odradzania się życia, zradzania się wciąż na nowo, trwania jest wiersz *Kropłówka*, w którym „zyciodajny deszczyk/ pada do żyty [...]” i trzy pokolenia kobiet rozmawiają przez telefon o nowym życiu:

[...]
Wnuczka – babci
córka – mamie
powiedziała
jestem w ciąży
A ty babciu czekaj!¹⁰

Nieskończoność jako bezkres kosmosu, natury

Drugim obszarem, w którym ujawnia się nieskończoność u Elżbiety Dybalskiej, jest bezkres kosmosu i natury, którego sygnałami są m.in.: niebo, bezmiar wód i piasku, ruiny.

Sklepienie niebieskie, stworzony przez Boga firmament to jedna z wyrazistych figur nieskończoności. Poetka upodobała sobie paradoksalne „niebo w kałuży” – ten motyw występuje w wierszach *Chwil parę* oraz *Moje miejsce na ziemi*. Ten drugi utwór warto przytoczyć w całości, ponieważ obrazuje różne wymiary kosmosu, takie jak: łąka, piasek, kamyk, odstania pełnię i różnorodność natury:

pod stopą
cały świat
majowa łąka
gorący piasek
i biały kamyk
niebo w kałuży
wokół horyzont

⁸ E. Dybalska, *Wszystko i nic*, [w:] *Biały*, dz. cyt., s. 38.

⁹ Tamż, ***, „oko i ciało...”, [w:] *Biały*, dz. cyt., s. 80.

¹⁰ Tamż, *Kropłówka*, [w:] *Pomimo*, dz. cyt., s. 34.

deszcz dolewa też ziemi
całuje mnie słońce
takie to moje miejsce
słyszę ciebie!¹¹

Nieskończoność nieba, jego bezkres obrazują także *Widoki*. Zaciera się tam „styk ziemi i nieba”, gdyż „pamięć i zaćma nie wymaga horyzontu”. W wierszu *W drodze miłość* „ścieli pod stopą/ niebiańskie łąki”, a w *Kluczu żurawim* niebo jest „utojone studni”, co może potęgować wrażenie jego głębi.

Jeszcze inne figury nieskończoności natury, kosmosu, ukazujące także piękno, nieokreśloność, tajemniczość, to **bezkresna woda**: ocean, morze, rzeka (*Biała kartka*, *Blaski i cienie*, *Naga prawda*, *** „za białą różą...”, *Ars poetica*, *Ziemia nad Oceanem*, *** „Suknia skropiona...”), występujące także z motywem **niezliczonych ziaren piasku** (*Biała kartka*, *** „na ziarnku piasku...”, *Moje miejsce na ziemi*, *** „Suknia skropiona...”, *** „W klepsydrze...”).

Szczególną rolę w twórczości Dybalskiej pełni obraz **ruin**. To symbol, który ma bogatą tradycję przedstawiania w sztuce. Tam też: „Ruiny obrazujące »przechodzenie między wiecznościami«, zagrożenie śmiercią i rozdarciem odsłaniają tragiczne dyso-

nanse, stając się niekiedy kreacją rozpadu osobowości. [...] Ruina [...] Wyraża katastroficzną istnienie, jak i wiarę w możliwość pozaziemskiego bytu, nieskończoność trwania. [...] Ruinę zrównywano z Absolutem, tajemnicą, wiecznością i transcendencją”¹².

U lubuskiej poetki motyw ruin pojawia się w wierszach: *W parku*, *Wiatr zasiał* z tomu *Białe* oraz w utworze *Herb* ze zbioru *Pomimo*. Łączy się on ściśle ze wspomnieniem, z którym jest utożsamiany: „ruina pozostaje wspomnieniem” (*W parku*). Powtarzające się elementy tego charakterystycznego pejzażu, takie jak park-las z zasianymi przez wiatr drzewami i bluszcz składają się na poetycką fotografię pałacu w Zatoniu i stają się świadkami historii. Ważne są tu także kolumny, które podtrzymują niebo, podobnie jak w wierszu *Kolumny świątyni* kamienne słupy „podtrzymują błękit nieba” i w ten sposób łączą ziemię z nieskończonością oraz z sacrum, a „ruina staje się świątynią” (*Wiatr zasiał*).

Idea nieskończoności w poezji Elżbiety Dybalskiej przybiera różne kształty. W swoim szkicu przedstawiłam wybrane z nich, ukazujące zarówno nieśmiertelność człowieka, jego duchową tajemnicę, jak i bezkres kosmosu, natury. Te dwa wymiary spotykają się i zawierają w nieskończoności sacrum, równie tajemniczej jak „wiersz bez kropki” (*Kropka*).

¹¹ Tamż, *Moje miejsce na ziemi*, [w:] tejsze, *Białe*, dz. cyt., s. 27.

¹² M. Strzyżewski, dz. cyt., s. 277-278.



Monika Śledź

Noworoczne Wierszowanie 2024

od dziś, codziennie
lepiej, więcej, szybciej

na rzecz przyszłego
życiowego manka

To dosyć ironiczna puenta z wiersza Patrycji Mierzejewskiej. Albo cytat z tekstu Marka Krukowskiego: „odchodzimy pod pachą społeczeństwa”. Uczestnicy Wierszowania pokazali, że mając tak ograniczoną liczbę słów (z „niepoetyckiego” artykułu o gospodarczej tematyce), można odkryć coś nowego i zupełnie oryginalnego. Świadczy to m.in. o tym, że możliwości języka są niewyczerpywalne.

Co roku zapisuję w kalendarzu datę Noworocznego Wierszowania, które odbywa się w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Lubię tę imprezę dlatego, że pojawiają się na niej osoby bez względu na przynależność związkową czy osobiste sympatie. Mam wrażenie, że tego wieczoru łączy nas wszystkich słowo. Co raz częściej też obserwuję gości spoza Zielonej Góry. Tym razem nie zabrakło poetek i poetów np. z Gorzowa Wlkp. czy Kęszycy Leśnej.

W tym roku Noworoczne Wierszowanie odbyło się 18 stycznia. W pierwszej części wieczoru miała miejsce promocja najnowszego numeru kwartalnika „Pro Libris”, prowadzona przez red. Ewę Mielczarek



i dyr. Andrzeja Bucka. Omówiono zawartość numeru i wspomniano o najważniejszych publikacjach w minionym czasie. Po przerwie Marek Krukowski aktorско przeczytał tekst *Gdzie zalutować garnek* Henryka Krysiaka z 1970 roku. Ze słów wyżej wspomnianego artykułu powstały konkursowe wiersze pt. *Postanowienia* (pomysłodawczynią tematu i prowadzącą tegoroczny konkurs była Mirosława Szott). Przyszła pora, żeby autorzy zaprezentowali swoje utwory. W tym roku zgłosiło się do konkursu aż 26 uczestników. Z prawdziwą przyjemnością, jak również z lekką obawą zadebiutowałam w roli jurorki, w miłym towa-



rzystwie prof. Małgorzaty Mikołajczak i dr Marty Bąkiewicz. Słuchałyśmy wszystkich wystąpień i skrzętnie notowałyśmy swoje spostrzeżenia. Wśród autorów były dobrze znane twarze, jak i debiutujące, co było szczególnie ekscytujące i ciekawe. Podziwiałam kunszt i odwagę występujących. Nie każdy bowiem – mimo talentu – jest gotowy przeczytać czy wyrecytować wiersz przed licznie zgromadzoną publicznością. Po prezentacji udałyśmy się na obrady. Tegoroczny poziom określiłabym jako wysoki, niektóre wiersze były innowacyjne, z zaskakującymi metaforami.

Pierwszą nagrodę otrzymali (ex aequo) Patrycja Mierzejewska i Marek Krukowski. Ujęli nas zaskakującymi metaforami, ukrytymi połączeniami słów. Widać, że to zadanie sprawiło im czystą przyjemność. Drugą nagrodę otrzymała Alina Kruk, której utwór wyróżnił się przewrotnym poczuciem humoru, wywołując uśmiech wielu zgromadzonych. Trzecią nagrodę przyznałyśmy Darii Walusiak, zdolnej licealistce. Zaskoczyła nas ona własnym pomys-



stem na wiersz i świetnym rozwiązaniem utworu. W konkursie wyróżnienie otrzymali: Beata Patrycja Klary-Stachowiak za oryginalność formy (blackout poetry), Krzysztof Ziemski za wyjątkową melodyjność wiersza i Roksana Bach – za ciekawe skojarzenia i rytm. Wszystkie nagrodzone i wyróżnione teksty są zamieszczone poniżej – warto się z nimi zapoznać.

Mam nieodparte wrażenie, że werdykt był zgodny z oceną większości zgromadzonej publiczności. Po przekazaniu dyplomów, wręczona została również Nagroda Szczęsnej Podkowy, zainicjowana przez Jerzego Szewczyka ze Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Otrzymała ją Helena Wolska z rąk Elżbiety Dybalskiej i Krzysztofa Szewczyka.

Chociaż upłynęło niewiele czasu od konkursu, niecierpliwie będę liczyć dni do następnego Noworocznego Wierszowania, mając nadzieję na tłumnie zgromadzoną publiczność i przede wszystkim wiele ciekawych wierszy. Co tym razem wymyślą organizatorzy?



Patrycja Mierzejewska

Postanowienia

konstruktorzy konieczności
lutują fachowców

szemranych domokrąźców
wśród 2-zmianowych wieżowców

przewidują mierniki rozwoju
ostrzą slogany zamożności

Ludności!
przychodzimy, świadczymy, wymyślamy

oto znakomita, mechaniczna
wielosobowa wyrzymaczka

od dziś, codziennie
lepiej, więcej, szybciej

na rzecz przyszłego
życiowego manka

Codziennie zazwyczaj
przechodzimy
pomijając fakt miasta
fakt ulicy
fakt witryn

odchodzimy
pod pachą społeczeństwa
od do
w wielosobowość

Codziennie zazwyczaj
tracę sporo
na odnalezienie jakiegoś punktu
wałę młotkiem w
czas

dźwięczące blachy
maszynę do szycia
w czternastopiętrowe tango wieżowców

przystaję na rogu
czterech stacji
intruz Ziemi z kwitkiem

Codziennie zazwyczaj w fabrykach
konstruktorzy
robotnicy jak doskonalsze maszyny
produkują
zło konieczne
dygresję
coś
ba, zdarza się, że i człowieka

zdarza się
coraz szybciej i więcej się

Codziennie zazwyczaj
przechodzę
nie-miejsca
reklamy pawilony faceci z kółkiem
północne i południowe rejony
centra zaplecza gdzie Don Kichot ostrzy nożyczki
i ludzi i godziny w punkt

enigmatyczny

przystaję na rogu
czterech stacji
intruz Ziemi

i nie – nie pamiętam nie

gdzie dopytyw?
gdzie góra?
gdzie ziemie błogie?

Marek Krukowski

Alina Kruk

Postanowienie

na rogu ulicy
oferowała
swoje usługi

forma usług tej branży
nie przeszła bodajże
do lamusa
jak szemrane tango
lub anachroniczny Don Kichot

działalność prowadziła
znakomicie
klient dla niej
był dobrodziejem
nie intruzem

dawała wiele powodów
do błęgiego zadowolenia
z coraz to nowszego
coraz doskonalszego
punktu usługowego

wobec niewystarczającej ilości
tego rodzaju placówek
podjęła wysiłek
do pracy 2-zmianowej
nawet jeśli by
nie nadążała absolutnie
za duchem czasu



Postanowienia

taszczyć będę drewnianą skrzyneczkę
uczynię lata dowcipną dźwięczącą blachą
będę oferować ludziskom kocioł czasu
a TY stracisz punkt mocy przerobowej
produkować będę garnki z tabliczką „WRACAM”
zaostrzę szemrane kółka na rogu ulicy
wymyślę najwykleszy kiepski fakt
jesteśmy miernikiem codziennego życia
zamknęci na siedem spustów
gdzie zalutować ducha

Krzysztof Ziemiński

**O kompleksowy sposób
świadczenia usług dla ludności**

W Zielonej Górze, Żarach tudzież Wschowie,
Wśród pawilonów, wieżowców i witryn
Przystanie jakiś – dajmy na to – człowiek,
Anachroniczny, a przy tym dowcipny.

Taki Don Kichot potrafi zazwyczaj
Kiepskie slogany pominąć, a mowę
Uczynić treścią codziennego życia,
W formie technicznej i materiałowej.

W czasach, gdzie więcej i lepiej, i szybciej,
A świat jest zwykłym centrum usługowym,
Niejednokrotnie można odejść z kwitkiem,
Tak się powszechnie czyni intruzowi.

Więc temu panu, co przed drzwiami stanął,
Choć tam usługi świadczą dla ludności,
Trzeba powiedzieć, że mową wiązaną
Zdarza się walić, lutować i ostrzyć.

Za duchem czasu wciąż nie nadążamy,
Mamy fachowców, moce przerobowe,
Dajmy ludziskom świat mowy związanej,
Z siecią placówek pracy dwuzmianowej.

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

nie nadaża-
my za duchem czasu
coraz to nowsze, coraz doskonalsze maszyny.
a tymczasem
czlowiek
zamknięty na siedem spu-
stów

Tylko
Jest
kwitkiem
rozhudo-
wanym zapleczem
konieczności
to
nie

2
3
1

sprzyja
rozwołowi
mieć coraz więcej
życia
z
Wydaje mi się
charakterze
w

Wieczór z Ewą Lipską

Spotkanie autorskie to wyjątkowa sytuacja dla autora i czytelnika. To okazja, by pisarz zobaczył swoich odbiorców. To sposobność, aby czytelnik porozmawiał z poetą. Z wieczorem autorskim wiąże się też wyjątkowe napięcie. Wyobrażamy sobie przyciemnione pomieszczenia, późną porę, wierne grono pasjonatów literatury. Dla autora jest to wydarzenie o nadzwyczajnej wartości. Rangę, jaką nadają sami autorzy takim spotkaniom, wyczytać można chociażby w *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* Tadeusza Różewicza. Współcześnie spotkania autorskie pozostają jedną z najcenniejszych form interakcji między twórcą a odbiorcą literatury. Nie zaskakuje więc uczynienie z niego centrum Festiwalu Literackiego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Organizatorzy 13. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów przygotowali w drugiej połowie listopada wiele wydarzeń kulturalnych dla społeczności zielonogórskiej. Jednym z nich było spotkanie autorskie z Ewą Lipską. O odbyło się 23 listopada, a poprowadził je ks. prof. Andrzeja Draguła z Uniwersytetu Szczecińskiego. Rozmowa połączona była z promocją tomiku *Wariacje Geldbergowskie*. Nie jest to poezja, ale proza poetycka. Dlaczego autorka zdecydowała się na taki gatunek? Temat ten został poruszony podczas spotkania. Jak tłumaczyła Ewa Lipska, pisanie wierszy wymaga pewnej ascezy, przekazania treści w skondensowanej formie. Chociaż autorka nie tworzy już liryki, poetycki pierwiastek w jej tekstach pozostaje żywy.

Przed omówieniem samego spotkania autorskiego warto wspomnieć o atmosferze wydarzenia. Biblioteka w Zielonej Górze wyeksponowała wartości, które kultywuje. Przede wszystkim wyczuwalna była duma z małej ojczyzny. Wieczór autorski otworzył dyrektor biblioteki, dr Andrzej Buck, dedykując go Annie Tokarskiej, zielonogórskiej poetce. Rozmowę z Ewą Lipską poprzedziło odczytanie przez Jo-

annę Wąż-Stasiewicz wierszy autorki *Wariacji Geldbergowskich* w ramach Mini Salonu Poezji. Dało się odczuć, że nie jest to deklamacja, a utwory zostały starannie odczytane i sugestywnie zinterpretowane. Atmosfera spotkania poetyckiego wydawała się tajemnicza, a nawet magiczna. Uzupełniały ją umiejętna gra światłem, wystrój oraz akustyka. Meble, na tle których prowadzona była rozmowa, należały do wyposażenia ostatniego mieszkania patronki festiwalu. Światło padało jedynie na najważniejsze w danej chwili miejsca. W trakcie Mini Salonu Poezji – na aktorę, później na poetkę i prowadzącego spotkanie. Reszta Sali im. Janusza Koniusza tonęła w półmroku, dzięki temu udało się uzyskać niezwykły klimat. Można było odnieść wrażenie teatralizacji spotkania.

Andrzej Draguła prowadził wydarzenie swobodnie, bez zbędnego patosu, jednak adekwatnie do konwencji. Przechodził od tematu do tematu, łącząc różne wspomnienia, tytuły i momentami żartując. Poetka odpowiadała humorystycznie, z ironią, kilkoma słowami zamykała pytania lub zmieniała temat. Wyróżnić trzeba umiejętność improwizowania prowadzącego. Znajomość z poetką, ale też dogłębne obeznanie z jej tekstami, innymi twórcami i dziedzinami sztuki pozwalały utrzymać rozmowę na wysokim poziomie merytorycznym, a do tego czyniąc ją ciekawą dla wszystkich zgromadzonych. Zauważyć można było próbę scharakteryzowania Ewy Lipskiej poprzez jej dawną twórczość, poszukiwanie motywów łączących jej poezję i prozę poetycką, a nawet poprzez dyskusję nad przyszłością technologii i sztucznej inteligencji. Temat ten pojawia się w twórczości Ewy Lipskiej, ponieważ wcześniejsze tomiki poezji zatytułowane są: *Czytnik linii papilarnych* czy *Pamięć operacyjna*. Również bogata korespondencja poetki ze Stanisławem Lemem, którą znajdujemy w książce *Boli tylko, gdy się śmieje...*, wskazuje na zainteresowanie postępowem technologicznym. Także w *Wariacjach Geldbergowskich* znaleźć możemy na-

ukowe inspiracje, choćby „neologiczną teorię bezwzględności”, której źródło znaleźć można w teorii względności Alberta Einsteina. Pan Goldberg, jak wspomniała poetka, chętnie odwiedziłby Genewę, by zobaczyć Wielki Zderzacz Hadronów.

Sama postać Goldberga pozostała nie do końca rozpoznana. Instancje, przez które przemawia autorka, nie są w jej twórczości bez znaczenia. Bohater miał przecież protoplastów – pana Schmetterlinga i panią Schubert. Na pytanie o nich Lipska odpowiedziała, że bardzo często, gdy chcemy coś powiedzieć, chowamy się za kimś. Jej zdaniem, nie ma innej możliwości. Poetka przedstawiła Goldberga, balansując na granicy powagi i ironii, nazwała go swoim kolegą. Opowiedziała też o relacji, jaka łączy ją z panem Goldbergem, który pozwala jej lepiej poznać samą siebie i zobaczyć to, czego sama nie byłaby w stanie dostrzec. Goldberg daje jej perspektywę poznawczą trzeciej osoby i pozwala, choćby w minimalnym stopniu, wyjść poza własne ograniczenia. Koncepcja tytułowego bohatera narodziła się na długo przed rozpoczęciem pracy nad *Wariacjami Goldbergowskimi*, gdy autorka odwiedzała Kopenhagę, w której niegdyś bywała co roku.

Intrygująca wydaje się także kwestia imienia bohatera. Andrzej Draguła zwrócił uwagę na możliwą inspirację muzycznymi *Wariacjami Goldbergowskimi* Bacha. Poetka przyznała jednak, że jest to jedynie odległe skojarzenie. Chociaż prawdą jest, że bardzo lubi *Wariacje Goldbergowskie* i często przy nich pracuje. Muzyka jest dla Lipskiej co najmniej równie ważna co słowo pisane. Poetka wyznała nawet, że chciałaby być pianistką, ponieważ muzyka to „język międzynarodowy”. Taka deklaracja nie padła zresztą z jej ust po raz pierwszy, już pan Schmetterling nazywa siebie „pacjentem sal/ koncertowych”. Lipska ukazuje muzykę jako swoisty język uniwersalny, trafiający do każdego. Jest to jeszcze ciekawsze, gdy skonstrastujemy te słowa z jej dorobkiem poetyckim, który dowodzi, że autorka nie tylko mistrzowsko operuje słowem, ale też niezwykle wrażliwie odczuwa jego wagę. Poza muzyką istotną jest dla poetki sztuka wizualna, co nie zaskakuje, gdy zaważy się, że w przeszłości studiowała malarstwo na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nie sposób więc nie zwrócić uwagi na okładkę *Wariacji Geld-*

bergowskich. Spytana o jej znaczenie przez prowadzącego, przyznała się do fascynacji surrealizmem.

Chociaż spotkanie zostało poprowadzone ciekawie i merytorycznie, trudno było nie opuścić go z wrażeniem pewnego niedosytu. Niektóre tematy zasługują na pogłębienie. Jednym z nich jest kwestia gatunku tomiku. Choć wariacje Ewy Lipskiej przypominają teksty prozy poetyckiej, nie można zignorować w nich ciągle żywej liryczności. Samo graficzne rozmieszczenie tekstów, bardzo konsekwentnie wydzielonych, prawie prostokątów, wydaje się warte uwagi. Nie są one zapisane luźnym ciągiem znaków, jaki widuje się w prozie, a przypominają układ liryki, od której odcina się poetka. Pozostaje też pytanie o rolę Goldberga w nowo wydanym tomie. Czy stworzyła go Lipska dla poznania samej siebie? Być może jest on też ważną postacią w relacji autorka – tekst – czytelnicy. To pozwala na oddelegowanie pewnych treści do fikcyjnej postaci. Poetka pozostawiła te kwestie bez odpowiedzi. Nawet na te pytania, które zostały podczas spotkania autorskiego zadane, autorka *Wariacji Goldbergowskich* odpowiadała z ironią i konsekwentnie pozostawiała za maską poetki.



Nie tylko o *Prozach niecodziennych* Czesława Sobkowiaka

Pół wieku temu poznałem Czesława Sobkowiaka, kiedy przyjechałem do Wrocławia na studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Mieszkaliśmy kilka lat w domu studenckim „ITD” przy ulicy Pocztowej na Krzykach. Uczęszczaliśmy na zajęcia do instytutu na placu Nankiera. W czytelni biblioteki Ossolineum na pierwszym piętrze także czytaliśmy zakazane wtedy książki. Do dzisiaj trwa nasza przyjaźń. Od tamtego czasu Czesław wydał kilkanaście tomów poezji, dwa zbiory prozy i opublikował sporo tekstów krytyczno-literackich. Dorobek ma niebagatelny. Mam wszystkie jego książki. Czasami po którąś z nich sięgam. W pewnych tekstach odnajduję siebie. Nie tylko dlatego, że zostały mi dedykowane, ale ich liryczne narracje odnoszą się wprost do zdarzeń mojego życia, które od czterdziestu dwóch lat wiodę „na paryskim bruku”. Poetę z Zawady koło Zielonej Góry dwukrotnie tutaj gościłem, między innymi na promocji jego tomu poezji tłumaczonej na język francuski przez wybitnego tłumacza Krzysztofa Jeżewskiego. Pamiętam jego niezwykle interesujące spotkanie z młodzieżą szkolną i pedagogicznym gronem w Liceum Descartes w Montigny-le-Bretonneux, w którym przez kilkanaście lat prowadziłem pracownię teatralną. Uradowałem się, gdy zobaczyłem ponad dwieście dziewcząt i chłopców, którzy dobrowolnie zostali po lekcjach, aby zobaczyć i posłuchać poety z Polski. On recytował po polsku, ja czytałem francuskie przekłady Jeżewskiego. Po spotkaniu w ogromnej, szkolnej stołówce pachnącej szpinakiem, kilkudziesięciu uczniów zafascynowanych wierszami ustawiło się w kolejce, by nabyć tom *Podziemne słońce* (*Soleils souterrains*) i otrzymać dedykację z autografem autora. Były też spotkania w największej księgarni w Montigny i w Domu Stowarzyszeń w Voisins-le-Bretonneux,

zorganizowane przez miejscowe Stowarzyszenie Polaków, którego byłem prezesem. Włączyliśmy się po Luwrze, Wersalu, Chartres, byliśmy w katedrze Notre Dame, wspięliśmy się na Wieżę Eiffla, spacerowaliśmy po Montparnassie, Montmartrze i innych dzielnicach Miasta-Światła. Czesław chłonął Paryż.

W wydaniu niektórych jego tomików mam swój skromny udział, co zostało odnotowane na stronach redakcyjnych poszczególnych tytułów. Ale wtedy, w 1972 roku, nie mogłem nawet przypuszczać, że ten skromny, nieśmiały młodzieniec z Zawady, niedostosowany do wielkomiejskiego rytmu i stylu życia, tak konsekwentnie będzie przez kolejne dekady realizował swoje twórcze powołanie, z którego pieniędzy na dostatnie życie raczej nie ma. Umiał się z tym pogodzić. I to podziwiam. W późniejszym czasie rozmawialiśmy o tym nieraz, na przykład, czy nie byłoby lepiej, gdyby został we Wrocławiu, gdzie życie literackie ma inny wymiar, jest bogatsze aniżeli w Zielonej Górze. Jednak on nie chciał zostać w nadodrzańskiej metropolii.

Wtedy był przed wszystkim poetą i nim pozostał. Od pewnego czasu metaforyczny i prozatorski opis świata jest jego udziałem. Od około 2000 roku Czesław zaczął iść – można rzec – dwoma równoległymi torami, poetyckim i prozatorskim. Oczywiście nigdy nie napisał żadnej powieści ani zbioru opowiadań. To go nie interesowało. Inny bowiem żywioł był dla niego ważny i nadal taki pozostaje. Jego świat wewnętrzny – obserwowany, postrzegany, przeżywany – nie zmienił się. Tylko forma owego przedstawienia została poszerzona. Poszerzona o krótkie zapiski z jego życia, które są różnej objętości: większe, mniejsze, a nawet kilkudzaniowe.

Nie uprawia typowej fikcji, niczego nie wymyśla; mamy do czynienia ze zwartymi kawałkami jego autentycznych obserwacji, myśli, uczuć i opisów tego, co widzi, co robi, kogo spotkał, kto do niego wieczorem telefonował i o czym była rozmowa. Są one poniekąd pamiętnikiem codzienności, ale nie stricte pamiętnikiem czy dziennikiem. Raczej stanowią pretekst do snucia rozważań o bliskich sobie osobach, o pięknie natury, pasmach chmur na niebie, pracy w polu, w ogrodzie, ulubionym holenderskim malarstwie lub o przemijaniu. Są często refleksjami o sensie życia. Fascynacją i pochwałą istnienia. Są też w moim odczuciu zapisami poezji, pozostając ciągle prozą. Myślę, że w ten sposób, prostszy i zwyczajniejszy, zapisuje to, co ceni. W uprawianej prozie nie musi tak rygorystycznie w sferze znaczeń językowych wyrażać swoich wizji, czy definiować ich, co jest konieczne w wierszu.

O tym, że Sobkowiak do tego rodzaju nowej formy przykładu dużą wagę, świadczy fakt, że publikował swoje zapiski i nadal publikuje w kilku pismach. Od lat można je znaleźć w wydaniach „Pro Libris”, ale też pojawiały się w „Odrze”, „Autografie”, „Pegazie Lubuskim”, „Aspektach”, a ostatnio w „Migotaniach”. W pewnym sensie jego dorobek jest znaczący. Tylko po części opublikowany w wydaniach książkowych. Do tej pory ukazały się jego dwa zbiory prozy: *Rzeka powrotna* (2013) i 10 lat później *Prozy niecodzienne* (2023). Pomiedzy tymi wydaniem można zauważyć znaczące różnice. W pierwszym tomie widać skupienie się na usilnym przywracaniu tego, co już minęło. I tylko w narracji literackiej można różne doświadczenia nakreślić, w jakimś stopniu nadać im kształt i ocalić, wbrew płynącej rzece czasu.

Sobkowiak niezwykle barwnie i wzruszająco opisał swoje dzieciństwo, doznania przyrody, obraz domu rodzinnego, sentymentu do mitycznego już Jaromierza – łąk, pól i innych realiów tak dla niego ważnych. (Ośmielam się zaproponować wójtowi Jaromierza, by sprawił, żeby szkoła w tej miejscowości nosiła imię autora *Rzeki powrotnej* i *Próz niecodziennych*. We Francji wiele szkół nosi imiona żyjących poetów). Pamiętam naszą podróż do Jaromierza. W drodze zatrzymaliśmy się w Kłępsku

przy drewnianym kościele, który olśnił mnie pięknem architektury, świetnie zachowanymi freskami i polichromią. W Jaromierzu poszliśmy do rodzinnego domu Czesława. Długo trzymał zaciśnięte palce na mosiężnej klamce drzwi wejściowych. Potem usiedliśmy przy studni, która niegdyś gasiła pragnienie ludzi i zwierząt. Pamiętam jesienny, zbutwiałe zapach rzęsy na stawie. Poszliśmy na pobliskie pole, na którym odkryliśmy setki ogromnych dyń ozłoconych gigantów; dynie miały 50-60 centymetrów wysokości i ponad metr średnicy. Zachowałem te obrazy na licznych zdjęciach przedstawiających Poetę w jesiennodyniowym pejzażu. Sobkowiak nigdy nie sprowadził owych spraw życia i chłopięcych marzeń do kategorii narracji nurtu „wiejskiego”. Dość wyraźnie zapisał w *Rzece powrotnej* głównie swoje wtajemniczenie w wysokie formy kulturowe. Dla Czesława ogromne znaczenie miało to, czego zaznał w latach siedemdziesiątych we Wrocławiu. Zwłaszcza cenne i przejmująco piękne są przywołania z imienia i nazwiska kolegów, koleżanek ze studiów, profesorów (zwłaszcza Jacka Łukasiewicza, Janka Stolarczyka, z którymi był zaprzyjaźniony). Są to dłuższe teksty, świadczące o wrażliwości, ale i o dobrym zapamiętaniu realiów ówczesnego Wrocławia, w którym my wszyscy, wtedy młodzi studenci, dojrzewaliśmy politycznie, społecznie i mentalnie. Jeśli ktoś chce poznać duchowe wnętrze tamtego Sobkowiaka, powinien koniecznie ten zbiór przeczytać.

Drugi „niepoetycki” tom to *Prozy niecodzienne*, pięknie opublikowany w wydawnictwie Akwedukt, funkcjonującym przy Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu. Jest on obszerniejszy niż poprzedni; liczy 396 stron. Najważniejszą różnicą jest, że pojawia się w nim realność, którą czerpie pełnymi garściami; najbliższa, doświadczana w bezpośrednim kontakcie. Zawsze bieżąca. Jest ona osadzona w czasowym „tu i teraz” – o poranku, w południe, wieczorem lub nawet w środku nocy. Zawsze lub prawie zawsze chodzi o aktualność, o bieżący stan świata dalszego i najbliższego, który jawi się w zasięgu oczu i ręki. Zewnętrzny i wewnętrzny. Już nie idzie tu o odtworzenie ani przepuszczenie istnienia przez pryzmat li tylko pamięci, czyli przez liryczne wspomnienie.

Autorskim celem jest oddanie sedna sytuacji albo precyzyjnego obrazu nastroju i emocji.

Bardzo ważne jest innego rodzaju artystyczne świadectwo życia. Tu znajdzie czytelnik rozważania cywilizacyjne, myśli o poezji, o realiach pracy nad wierszem, o doskwierającym zimowym lub nocnym zimnie, o koszmarze wojny na Ukrainie, podmiotowej samotności, doznanej krzywdzie, sztuce malarzkiej, o trudach codziennego życia, kupowaniu węgla, o rozmowach z przypadkowo spotkanymi ludźmi, o targowiskowym bogactwie owoców i warzyw, o oglądaniu wystawy malarstwa Bagińskiego, moralności, antycypowaniu śmierci, przemijaniu, ale także refleksje o własnym życiu. Wspaniałe są relacje o trudzie budowania domu rodzinnego tuż po ukończeniu studiów lub o przyjaźni z lubuskim poetą, Mieczysławem Warszawskim, poznanym w szkole średniej i o innych osobach.

Prozy niecodzienne to szeroka panorama osobistego życia, otwarcie własnego wnętrza przed dru-

gim człowiekiem, przed czytelnikiem, którego Czesław dopuszcza bez autocenzury do osobistej intymności. W jakimś wymiarze jest to jego „księga życia”. Można ją czytać „nie po kolei”, otwierając przypadkowo różne strony. Właśnie często czytam ją na wrywki. Zawsze ze wzruszeniem. Dlatego, że doraźnym tematom towarzyszy uniwersalna aura, jakieś istotne spojrzenie na życie i świat. Czasem w nieco podniosłym tonie. Nie wiem, czy książka zostanie doceniona, różnie z tym bywa... Jestem jednak przekonany, że powinna być zauważona jej „niecodzienność”, nie tylko w środowisku zielonogórskim. Myślę, że należycie doceniła książkę Inez Kropidło we wstępie do niej pt. *Ogród ma rację*. Poza tym publikacja prezentuje się niezwykle pięknie od strony edytorskiej. Liczę, że autor *Powieści w odcinkach* (debiut poetycki, 1974) wyda kiedyś kolejny tom swoich zapisków. Tego mu życzę.



Szesnaście wierszy Janusza Koniusza

Biały zeszytek

Gładki, szesnastokartkowy, formatu A5, z tekturową okładką. Dostałam ten zeszytek od Janusza Koniusza w 2014 roku, niedługo po opublikowaniu w oficynie Pro Libris zbioru *Na własne podobieństwo*. Był to ostatni tomik za życia poety, zgodny z jego wolą i wiem, że autor był z niego zadowolony. Mimo to wciąż przemyślał te już opublikowane teksty. A i te z dopiero wydanego zbioru były w dużym stopniu powtórzeniem poezji, którą wierni czytelnicy mieli okazję poznać z poprzednich tomów, niekiedy w zmienionych nieco wersjach. Koniusz wciąż zmagał się z materią poetycką, nie uznawał sprawy za zakończoną. Przy okazji pracy nad zbiorem rozmawialiśmy o perfekcyjnym dążeniu do idealnej wersji wiersza (napisałam też o tym w posłowniu *Księga powrotu*) i pytałam, czy jest tekst, który uznaje za najlepszy, a przynajmniej ostateczny, czyli taki, w którym już nic by nie zmienił. Nie było. Dziś myślę, że nie mogło być innej odpowiedzi. Dzieło dokonane to koniec. Niech więc zostanie wiersz jako postulat – projekt, który można realizować do końca życia. Niedługo później dostałam biały zeszytek z rękopisami. Na pierwszej stronie pod dedykacją poeta zamieścił postscriptum.

P. S. Najlepszego wiersza jeszcze nie napisałem
i z pewnością nie napiszę. Jeszcze J 2045!
będzie redagować antologię pt. "Sto wierszy
z tej partii ludowej sony i okolic" to prosię
wszyscy pod uwagę, jakis tekst z tego
zestawu.

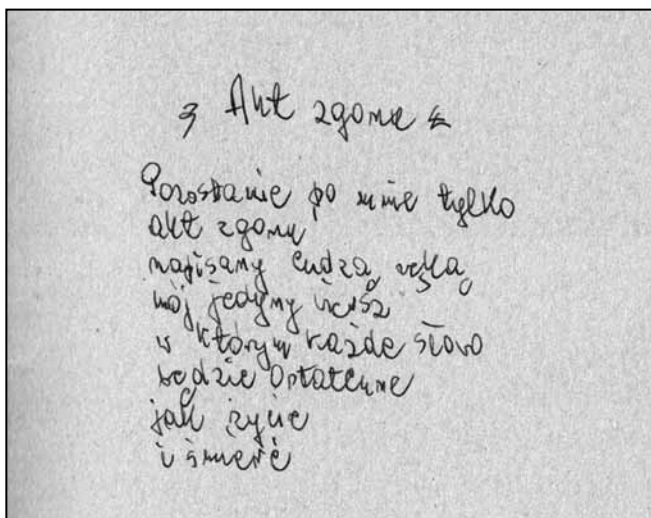
J.

Koniusz stwierdził, że najlepszego wiersza jeszcze nie napisał, po czym wszystkie kartki wypełnił utworami: szesnaście tekstów, po jednym na stronie, ostatni zajął trzecią stronę okładki. Wówczas, według poety, ten zestaw wierszy był najlepszy. Do białego zeszytku (upieram się przy tym zdrobnieniu nie tylko ze względu na objętość; skoro Koniusz pisał „wierszyki”, to musi być „zeszytek”) autor przepisał utwory: *O sobie*, *Nic nie było*, *Pięciowers*, *Stworzenie świata*, *W rzeczy samej*, *Podgląd*, *Po wyjściu z arki*, *Kamień*, *Bez tytułu*, *Pokrewieństwo*, *Dzwony*, *Zamysł opisu*, *Dowód*, *Powrót do embrionu*, *Ty*, *Akt zgonu*. Wszystkie teksty znane już z *Na własne podobieństwo*, jakby wyciąg z tego tomu.

Zestaw szesnastu rękopisów potwierdził, na jakiej zasadzie Koniusz selekcjonował wówczas swoje teksty. Znowu muszę wrócić do wydanego w 2014 tomu. W roboczej wersji autor przygotował więcej wierszy, niż można było opublikować ze względu na ustalenia wydawnicze, nad którymi czuwała Ewa Mielczarek. Trzeba było z niektórych zrezygnować. Koniusz zostawił te składające się na uniwersalną opowieść o człowieku. To, co prywatne, musiało być ukryte pod płaszczem uniwersaliów. Chodziło nie tylko o ułożenie wierszy w cykle, ale i skomponowanie ich tak, by tworzyły nadrzędną narrację. Do tego – ilustracje z *Liber chronicarum* Hartmanna Schedla. Koniuszowi zależało, by poszczególne cykle miały oprawę graficzną. W mailu do mnie pisał, by je oddzielić „może jakąś grafiką z kolekcji Biblioteki, żeby nie płacić plastykowi”. Pomysł wykorzystania grafik będących w zasobach Biblioteki Norwida zrodził się z finansowej oszczędności, ale do użycia drzeworytów z XV-wiecznego inkunabułu od początku byliśmy – Ewa Mielczarek i ja – przekonani i pomysł spodobał się poecie. *Kronika świata*, odzwierciedlająca ówczesne wyobrażenia mistyczno-historyczne, od stworzenia świata, po treści staro- i nowotestamentowe, do opisu Sądu Ostatecznego oraz wiersze Koniusza układające się w analogiczny ciąg, zaczynając od pytań o początek świata, po przetwarzanie wątków starożytnych, judeochrześcijańskich, aż do pytań o kres – obraz i słowo wyjątkowo współgrały. Drzeworyty z dzieła Schedla w swoisty sposób pasowały do współczesnej poezji, która wyrasta z XX-wiecznego kryzysu światopoglądowego, tak charakterystycznego dla poetów z tej samej generacji pokoleniowej co Koniusz, a domagającej się konfrontacji z tym, co tkwi u podstaw naszej formacji kulturowej.

Stąd taka właśnie zasada selekcji wierszy – znaczenie w poezji ma to, co ponadjednostkowe. W białym zeszytiku na mniejszej próbie tekstów nastąpiło powtórzenie znanej już kompozycji: ułożenie tekstów tematycznie, od pytających o początek do zawierających refleksję nad końcem i wpisanie siebie w ten porządek. Pomiędzy punktem wyjścia i punktem dojścia znalazły się utwory podejmujące pytanie o kondycję współczesnego człowieka, szukającego wsparcia i zarazem rozliczającego rozległą tradycję, w tym Antyku i Biblii. Jeśli do tego dołożyć kilkanaście wcześniejszych tomików, to widać nieustanne układanie k sięgi powrotu, wciąż na własne podobieństwo. To, co osobiste, zostaje włączone w nieuchronną powtarzalność. Chodzi wciąż o te same Wielkie Pytania, na które kiedyś miało odpowiadać chociażby dzieło Schedla. A współcześnie? Szesnaście wierszy z białego zeszytiku, ten jeszcze bardziej zawężony wybór, potwierdza, że poezja nie ma być poligonem prywatnych utyskiwań. Los jednostkowy, z jednej strony, jest więc uniwersalny, ale z drugiej – to, co indywidualne, jest niepowtarzalne. Do rzeki Heraklita Koniusz dołożył swój kamyczek, pisząc: „Nigdy się nie powtórzysz/ jak stworzenie świata” (*Ty*). Czyli wciąż to samo, a „Nic dwa razy” – powtarzając za Szymborską.

Tekst Tyzamyka *Na własne podobieństwo*. W białym zeszytiku ten wiersz znalazł się na ostatniej stronie. Już na okładce, jakby nie starczyło miejsca, Koniusz napisał *Akt zgonu*.



In memoriam

Janusz Koniusz zmarł w 2017 roku.

Jeszcze w tym samym roku ukazały się *Wiersze ostatnie*, dzięki pomocy córki Donaty Wolskiej i staraniom Eugeniusza Kurzawy, redaktora pośmiertnego tomu. Znów znajdzie w nim czytelnik teksty, które (także w innych odmianach) pojawiły się we wcześniejszych zbiorach. Wiadomo, że w ostatnich latach Koniusz pracował nad nowym materiałem, ale i wracał do dawnych utworów, być może w planowanym zbiorze znalazłyby się one obok nowszych tekstów. Nie zdążył zrealizować planu wydawniczego. Eugeniusz Kurzawa w *Nocie edytorskiej* pisze o 67 tekstach wyciągniętych z komputera Koniusza. Ostatnie, nad którymi pracował, zostały opatrzone w zbiorze datą 2016. Mowa o zespole 29 tekstów, wśród nich – *Zapomnienie*, zaczynające się od słów: „Coraz mniej tych/ którzy mogą zaświadczyć/ że ja/ to ja”.

W ostatnich wierszach Koniusza szczególną uwagę zwracają te wersy, w których wyczuwa się bolesne zmaganie ze starością, słabością ciała, widmem nadchodzącej śmierci. Jest to ten zakres prywatnych doświadczeń, których autor nie chciał pokazywać innym. Szczególnym pod tym względem jest wiersz *W szpitalu*.

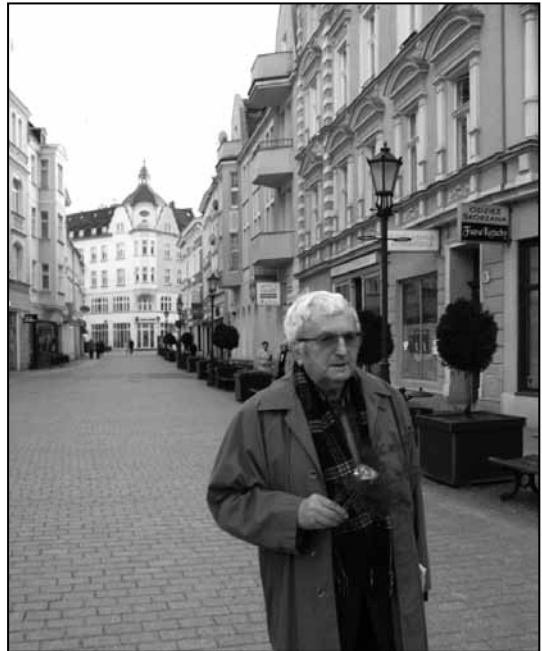
Między innymi ten utwór zwrócił uwagę badaczek lubuskiej literatury.

Na antologię, w której ukazałyby się wiersze poety, nie trzeba bowiem czekać do 2045 roku. W 2023 roku w oficynie Pro Libris ukazał się ważny tom *Znów wystawimy twarz do słońca. Antologia poezji lubuskiej 2007-2022*, opracowany przez Małgorzatę Mikołajczak i Mirosławę Szott. Redaktorki otworzyły wybór poezji tekstami Koniusza. Na początek – *Akt zgonu*. Następnie trzy wiersze z tych ostatnich: *Ciężar*, **** „Niepoczęty...”*, *W szpitalu*. W dziale *Roczniki najstarsze* znalazły się jeszcze wiersze Ireneusza Krzysztofa Szmida, Henryka Szyllina, Anny Tokarskiej, Janusza Werstlera. Wszyscy odeszli. Reszta (miejsca w antologii) należy do innych, do młodszych. To oni przejęli pałeczkę w poetyckiej sztafecie i jest to już bieg indywidualny i w różnych kierunkach.

Obecność tekstów Koniusza w antologii świadczy również o pamięci. Są i inne jej formy.

W życiu kulturalno-społecznym Ziemi Lubuskiej Koniusz przez dekady był ważną postacią. Zawsze mile widziany gość w WiMBP im. Cypriana Norwida, z inicjatywy dyrektora dra Andrzeja Bucka stał się patronem Sali (dawnej Dębowej). W 2021 roku przed budynkiem głównym biblioteki powstał Skwer Poetów z ławeczkami lubuskich twórców, w tym Janusza Koniusza. Od 2019 Zarząd Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze przyznaje nagrodę kulturalną – Laur im. Janusza Koniusza, a w 2021 – dzięki oddziałowi ZLP – na elewacji kamienicy przy alei Niepodległości 35, w której przez lata mieszkał i tworzył poeta, zamieszczono poświęconą mu tablicę pamiątkową. O samym pomysłem pisał Robert Rudiak w posłowniu do *Wierszy ostatnich*, wymieniając także projekt ulicy imienia poety i jego pomnika. Z kolei przy okazji uroczystego odsłonięcia tablicy Eugeniusz Kurzawa mówił, że marzy o muzeum literackim Koniusza. Oby powstało.

Tak literaci i instytucje pamiętają o Honorowym Obywatelu Zielonej Góry.



Jeden wiersz

Rok 2024. Koniusz skończyłby 90 lat. Byłaby to okazja do jubileuszowej książki.

Od kilku lat dorobek poety jest sprawą zamkniętą. Pozostawione wiersze są jak opuszczone mieszkania – właściciel nigdy do nich nie wejdzie, żadnego elementu nie przestawi, mogą już tylko gościć czytelników, chwilowych lokatorów.

Kilka razy słyszałam, jak Koniusz mówił o Władysławie Bełzie – że wystarczył jeden utwór, by zapewnić autorowi miejsce w historii literatury polskiej i pamięci pokoleń, bo przecież wszyscy znają wiersz zaczynający się od słów: „Kto ty jesteś? Polak mały...”. *Katechizm polskiego dziecka* sprawił, że autor „nie zginie pod ścianą straceń literatury”. A Koniusz? Mówiąc o Bełzie, mówił o sobie to, że chciałby, by jego poezja przetrwała, nie została zapomniana. Choćby jeden wiersz.

Oto pole do indywidualnej lektury, prywatnego odbioru tekstu.

Jest taki jeden wiersz Koniusza, który do mnie wraca, sam się domaga przemysliwania.

➤ Zamysłu Opisu

Opisać świat, dymnastu porunka w katedrze kopalni
Pierwszego opisać wpadł pod kryżem otęplu
sygnaturkę, kryżu, dymnastu o wierszu smutnego opisać
Trzeciego opisać modlił się, w młynie pochyli
do młoty wary jak tani
Pierwszego, wyobrazić, gotyckie strachu czwartego opisać
Piątego opisać zapadł się, w kryżu, sędku
szachtu szóstego nad, młotem, kamy
w otęplu, awantur opisać
Siódmego opisać wami opisał w ciemnościach inkwizytor
w szachtu, oła, dołtem, wnętrza nieba
spłaszczył, dymnastu w stalach sztoru
przez młoty, młotem, opisać
Dziiesiątego opisać wędrowny, w otęplu, obłok, żyty
i dołtem, z otęplu, jak do, młoty, komuni, wstani
Dziiesiątego opisać, wyobrazić, się, w korekcie, chodnika
Jedenaścioro opisać rozpad, ciała, pod, belmota, kopuła,
otęplu

Opisać świat, dymnastu, w gwałcie, dymnastu opisać
opisać, pentonem, wioła, w, boku, obłądzoney
kot, gotyckie, wyobrazić, do, młoty, młoty, opisać

Opisać świat, dymnastu,
zywa, wioła, młoty, opisać

Zamyśl opisu to wiersz o śmierci górników w kopalni. Ta wizja już jest, a mimo to tytuł wskazuje na czynność projektowaną, coś, co poeta zamierza dopiero zrobić: „Opisać śmierć dwunastu górników w katedrze kopalni”. Powtarzający się bezokolicznik „opisać” wiąże się z próbą przedstawienia szczegółów śmierci już dokonanej – o górnikach mowa w czasie przeszłym: umarł, modlił się, zapadł się, wykrwawił się itd. Poeta takim ujęciem pokazuje, że nawet śmierć zbiorowa nie jest wspólna. Każdy górnik został przedstawiony osobno, bowiem każdy pozostaje sam wobec ostateczności, która przychodzi z zaskoczenia, bez możliwości przygotowania się nań, przerywając mózół codzienności. Śmierć to przejście z porządku profanum do sacrum. Nasycenie opisu elementami religijnymi tak właśnie każe odczytywać całość. Górników jest dwunastu – jak dwunastu apostołów. Kopalniany stempel ma kształt krzyża, lampa jest jak monstrancja, kilof jak pastorał itd. Na akt dokonującego się przemienienia wskazują ostatnie dwa wersy: „Opisać ciałem krwią/ żywą hostią słowa opisać”. Spiętrzenie symboli odsyła do tego nadrzędnego – katedry. Dlatego można ten utwór nazwać „katedralnym”. Chociaż nie jest to wiersz-ekfrazy, to elementy ekfrazy zawiera. Szczegóły opisu kolejnych umierających, czyli przedmioty, które stają się świętymi insygniami śmierci, w całościowym planie budują obraz kopalni-katedry. Przestrzeń ciemna, podziemna, wręcz głębinowa zostaje podwyższona, otwiera się na sacrum.

Obraz katedry można też odnieść do bogatej tradycji kulturowej. W przypadku XX- i XXI-wiecznych polskich pisarzy topos ten często służył opowiedzeniu o kryzysie wartości i najbardziej żywotnych problemach w kontekście tego, co do tej pory budowało tożsamość i określało przynależność kulturową. Szczegółowo pisze o tym Małgorzata Czermińska w monografii *Gotyk i pisarze. Topika opisu katedry*, omawiając także katedralne wiersze Juliana Przybosia, mistrza Koniusza. Autor awangardowego *Notre-Dame* po wojennej hekatombie polemizował z pierwszą wizją katedry; podmiot mówiący w *Notre-Dame po latach*, „Poróżniony ze sobą/ z dawnym światem”, jest już poza katedrą, obserwuje ją z dystansu. O wierszach katedralnych Przybosia dużo napisano, interpretując je między innymi jako cykl autotematyczny (Roman Zeler). *Zamyśl opisu* Koniusza też można odczytywać jako tekst autotematyczny, w którym autor realizuje Przybosiowy postulat precyzji słowa. U Przybosia wątek katedralny ewoluował. Koniusz trwał przy swoim *Zamyśle opisu*.

W jego dorobku to jedyny taki wiersz. Ileż razy musiał się nad nim pochylić z zamysłem opisu, ile razy przerabiał poszczególne wersy, wymieniał słowa, strofy łączył w spójny opis? Ile razy oczami duszy („oczami duszy” – banalny poetyzm, ale nie mam innego określenia) przechodził od jednego umarłego do drugiego. Odbiorca, podążając za słowem poety, też musi kierować swój wzrok od pierwszego do drugiego, od drugiego do trzeciego i tak dalej w tej wyliczance śmierci. Wiedząc, jak pracował autor, myślę jeszcze o samym utrudzeniu poety, który nie może wyjść z tej kopalni, zmienić perspektywę, który ciągle przebywa ze swoimi umarłymi w podziemnym korytarzu. W rozważaniach istotny jest również kontekst biograficzny. Koniusz pochodził z rodziny górniczej. W kopalni zginął jego ojciec.

Zamyśl opisu... Wraca do mnie ten wiersz, gdy życie pisze takie scenariusze, które można by nazwać sytuacjami conradowskimi, stawiającymi człowieka – jak to określił Jan Józef Szczepański – Przed Nieznany Trybunałem; wrócił w 2018 roku, gdy świat patrzył na tragedię w Tajlandii – dwunastu chłopców zostało uwięzionych wraz ze swym nauczycielem w zalanej wodą jaskini; wrócił, gdy było już prawie wiadomo, że Tomasz Mackiewicz zginął pod Nanga Parbat, a to „prawie” dawało jeszcze jakąś nadzieję; wrócił jeszcze w kilku innych sytuacjach, już nie conradowskich, których nie wymienię. *Zamyśl opisu* jest próbą nadania znaczeń temu, co najbardziej przeraża. I tylko w wyobraźni odbiorcy tych dwunastu zmarłych górników może się nałożyć na dwunastu braci, którzy zapragnęli zbadać mur od marzeń strony w Leśmianowskiej *Dziewczynie*. Niezmiennie chodzi o szukanie sensu. Sensu śmierci. Sensu choćby jednego wiersza.

→ 4y ←

Co co twój niepodobne do tego co innych

linie papilome genów

charakter pisma odrośki palców gion

Kiedy się budzisz kule ziemską, wykopasz ze smu

na własną odpowiedzialność

goda, zakłócając przestąpienie od biegun do biegun

tylko sobie nie utylit u gawale

pieniorodny smekc odud

Wydobycie piramidy

spod skony, nemi na światło dzienne uszytliche epok

Aby zastąpić formę wybręgu rzeki

postać kotora Boga do kopyta gwałtownie przypięs

zeby nie zmotykwstał

W tobie zalega blask po wzpedie gionady

Ogion, wielick, wojem

u twój, jamięci na złość zafisany

Atom, wozbites na serome i wale eblle kwin

i na ckonste, papromienną

Wygnamy z miu

zaprzorasz nie u niepleinomy ogrod kosmosu

by u isdmie Mallegena

do najbliższej pogody, przycisic niebotyczną cierności

Jesi mndznie sie przymed

od wyjątkowych bakterii u twim ciele deck zafiera

W mskumomoić, to truje do iniego podskienstwo

od wrodzenia do śmierci

Nigdy nie, nie protomyz

jak skromnie śnuta

Pracownia Badań nad Kulturą Literacką Ziemi Lubuskiej

Od 9 listopada 2023 roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze zaczęła działać Pracownia Badań nad Kulturą Literacką Ziemi Lubuskiej. Nawiązuje ona do Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną, która została założona na Uniwersytecie Zielonogórskim przez prof. Małgorzatę Mikołajczak. Jednostka funkcjonowała w latach 2010-2019, a jej kierowniczkami były kolejno prof. M. Mikołajczak i dr Kamila Gieba. Do największych sukcesów tamtego kilkudziesięcioosobowego zespołu zaliczyć można m.in. wieloletnie, międzyuczelniane prace regionalistyczne (w ramach ministerialnych grantów), serie książek wydanych przez Wydawnictwo UNIVERSITAS, organizację międzynarodowych i ogólnopolskich konferencji.

Przy wsparciu dyr. dra Andrzeja Bucka siedzibą nowo powołanej Pracowni stała się Biblioteka Norwida, posiadająca status instytucji naukowej, a ponadto organizująca szereg działań wspierających i kreujących życie kulturalne regionu. Pracownia skupia osoby, które od lat zajmują się kulturą literacką Ziemi Lubuskiej, podejmując działania naukowe, wydawnicze, popularyzatorskie, a przy tym reprezentują różne instytucje. Zespół założycielski tworzą: dr Marta Bąkiewicz (UAM), dr Andrzej Buck (WiMBP), dr Przemysław Bartkowiak (WiMBP), dr Joanna Kapica-Curzytek (UZ), red. Ewa Mielczarek (WiMBP), prof. Małgorzata Mikołajczak (UZ), dr Piotr Prusinowski (Lubuski Teatr), dr Mirosława Szott (WiMBP), dr Joanna Wawryk (UZ). Koordynatorką reaktywowanej Pracowni została Mirosława Szott.

Wśród planów na kolejne lata są m.in.: stworzenie *Słownika kultury literackiej Zielonej Góry po 1945 roku*, wydanie szkiców interpretacyjnych wierszy Anny Tokarskiej, a także książki stanowiącej zbiór wierszy Ireny Dowgielewicz, zorganizowanie jednodniowych sympozycji wokół twórczości lubuskich pisarek i pisarzy oraz działania popularyzatorskie.

W najnowszym numerze „Pro Libris” uruchomiony zostaje także nowy dział, który zapelnia teksty pisane pod opieką członków i członkiń Pracowni.



Pracownia

Literatura lubuska pod lupą młodych filologów

Zielonogórska polonistyka, która ma już ponad pięćdziesięcioletnią tradycję, od początku swego istnienia angażuje się w życie literackie regionu. Szczególnie aktywne są pod tym względem ostatnie lata. Publikacje poświęcone lubuskim autorom, promowanie ich twórczości na łamach uniwersyteckiego rocznika „Filologia Polska” i podczas czwartków literackich w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, współpraca z ukazującym się w Zielonej Górze czasopiśmie kulturalno-literackim „Pro Libris” i gorzowskim periodykiem literacko-kulturalnym „Pegaz”, uczestnictwo w jury literackich konkursów – to tylko niektóre z inicjatyw, w których uczestniczą pracownicy Instytutu Filologii Polskiej.

We współpracę ze środowiskiem lokalnym, a także w studiowanie lubuskiej twórczości wdrażani są również studenci. Podczas seminarium magisterskiego i licencjackiego mogą oni wybrać temat regionalny i analizować utwory powstające na Ziemi Lubuskiej. Przykładem są tu prace, które powstały pod egidą Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną, działającej w Instytucie Filologii Polskiej w latach 2010-2019, takie jak *Przestrzeń kulturowa w poezji Janusza Koniusza*, *Zjawisko heterotopii w lubuskim słuchowisku i reportażu*, *Powroty do dzieciństwa w twórczości lubuskich poetów (na przykładzie utworów Czesława Sobkowiaka, Janusza Werstlera i Wojciecha Śmigielskiego)*, *Twórczość Kazimierza Furmana (zarys monograficzny)*, *Opowiadania Michała Kaziowa na tle tradycji literackiej*, *Postać matki w twórczości Ireny Dowgielewicz i Anny Tokarskiej (próba typologii)* i inne. W kilku wypadkach zainteresowanie lubuską twórczością zaowocowało doktoratem – Kamila Gieba została autorką dysertacji pt. *Lubuska literatura osadnicza z lat 1945-1989 na tle pisarstwa założycielskiego tzw. Ziemi Odzyskanych* (2017); Mirosława Szott napisała rozprawę pt. *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki* (2018), Katarzyna Krysińska rozprawę pt. *Poezja lubuska wobec „sacrum”* (2018), a Katarzyna Meller zajęła się w swoim doktoracie krajobrazem kulturowym Zie-

nej Góry w twórczości wybranych pisarzy lubuskich po roku 1989 (2019). Dwie pierwsze rozprawy zostały opublikowane w naukowych seriach wydawniczych.

Często kontakt z literaturą lubuską zaczyna się już na pierwszym roku filologii polskiej, a jednym z przedmiotów, który oferuje taką możliwość, jest wstęp do literaturoznawstwa, który wprowadza młodych filologów w problematykę teoretycznoliteracką. Na zaliczenie tego przedmiotu studenci przygotowują pracę, będącą omówieniem książki lubuskiej, opublikowanej w danym roku. W ten sposób wiedza teoretyczna, którą zdobywają podczas zajęć, znajduje praktyczne zastosowanie w omówieniu dotyczącym rozwiązań fabularnych, sposobu prowadzenia monologu lirycznego, formy występowania osoby mówiącej (narratora lub podmiotu lirycznego), realizacji gatunkowej, czasu i przestrzeni oraz innych aspektów utworu, który mogą wybrać z długiej listy pozycji wydanych w ostatnim czasie. Najlepsze z tych prac były dotąd kierowane do działu RECENZJI I OMÓWIENI w czasopiśmie „Pro Libris”. Debiut na łamach pisma, które od początku swego istnienia jest otwarte na młodych autorów, zarówno pisarzy, jak i krytyków, niejednokrotnie stawał się zapowiedzią dłuższej literackiej bądź krytycznoliterackiej przygody. A zarazem potwierdzał, że studiowanie filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim nie zamyka się w murach uczelni.

Kontynuując tę inicjatywę, uruchamiamy na łamach czasopisma „Pro Libris” dział PRACOWNIA. Będziemy w nim prezentować wybrane prace studentki poświęcone twórczości autorów, wywodzących się z naszego regionu. Liczymy na to, że publikacje adeptów zielonogórskiej polonistyki wniosą świeże spojrzenie na literaturę powstającą na Ziemi Lubuskiej i że zachęcą młodych czytelników do jej poznawania.

Na początek proponujemy omówienie książki Marty Ruszczyńskiej pt. *Diabeł i panna*, które opracowała Michalina Majkowska i szkic krytycznoliteracki poświęcony powieści Krzysztofa Koziółka pt. *A potem już tylko nic*.

Jakub Krzysztof Poczekaj

Dystopia oczami zielonogórczanina

O powieści Krzysztofa Koziółka *A potem już tylko nic*

Marie-Henri Beyle (znany również jako Stendhal), światowej sławy francuski powieściopisarz i prekursor realizmu w literaturze, powiedział kiedyś: „Powieść jest jak zwierciadło przechadzające się po gościńcu”, pragnąc w ten sposób ukazać, iż jedną z cech wyróżniających ten epicki gatunek literacki jest zawieranie w jego twórcach obrazów rzeczywistości. Chociaż zasada ta nie do końca obowiązuje we wszystkich odmianach tego obszernego gatunku (istnieją przecież powieści historyczne, opowiadające o rzeczywistości minionej, czy powieści sci-fi, których akcja dzieje się w przyszłości), możemy przyjąć, iż pisarz tworząc powieść, zawsze w mniej lub bardziej oczywisty sposób nawiązuje do świata, który widzi na co dzień. Nie lada sztuką jest jednak próba ukazania wcale nie tak odległej przyszłości, której istota została ukształtowana przez czasy współczesne. Taką próbę podejmuje lubuski pisarz i dziennikarz, Krzysztof Koziółek w powieści dystopijno-kryminalistycznej pt. *A potem już tylko nic*, której akcja dzieje się w 2031 roku.

Powieść przedstawia losy Jana Krzyka, mieszkańca czwartej kategorii Enklawy Zielona Góra, który jest skazany na życie w świecie ciągłej inwigilacji, katastrofy klimatycznej i walki o najcenniejszy, życiodajny skarb ludzkości – wodę. Obraz zarysowany przez autora to rzeczywistość łącząca podobna do dwóch znanych dystopii – *Roku 1984* George’a Orwella i *Nowego wspaniałego świata* Aldousa Huxleya. Wskutek dobrze nam znanej epidemii koronawirusa oraz następującej po niej wojny na Ukrainie, świat zmienia się w ciągu dziesięciu lat nie do poznania. Zmiany klimatyczne doprowadzają do trwającej cały rok suszy oraz walki o wodę, a kontrolującą ją korporacje rządzą państwami, dzieląc je na pomniejsze jednostki terytorialne, zwane Enklawami. W tych warunkach przyszło żyć wspomnianemu bohaterowi, który na każdym kroku dostrzega opresyjność reżimu politycznego panującego w Enklawie Zielona Góra. W powieści śledzimy także losy Ad-

rianny Więckiewicz-Krzyk, żony głównego bohatera, która staje przed wielkim testem moralności, oraz Justyna Medyni, reprezentującego służby reżimu, który za wszelką cenę pragnie awansu na wyższe stanowisko. Historia opowiedziana przez Koziółka obejmuje wiele różnych wątków, takich jak walka jednostki z systemem, wychowanie dziecka w stale zmieniającym się świecie, miłość i tęsknota, poświęcenie i egoizm, sprawiedliwość i okrucieństwo. Stawia przy tym wiele pytań i nie daje jasnych odpowiedzi, gdyż w świecie, w którym toczy się akcja, jasność kojarzyć się może jedynie z palącym słońcem i światłem lampy wycelowanej w twarz przesłuchiwanego.

Już okładka książki fenomenalnie oddaje charakter utworu. Przedstawia zwróconego do nas plecami człowieka, którego postawa może sugerować, iż jest on przestraszony, niepewny bądź czujny – wie, że czyha na niego jakieś zagrożenie. Postać na okładce otaczają kamienne budynki, charakterystyczne dla niewielkich miast. Ze sceną, przedstawioną na okładce, kontrastuje jasnożółta barwa nieba, na której widnieją czarne litery tytułu książki – tytułu tajemniczego, niejednoznacznego, budzącego grozę lub ciekawość. Poniżej sylwetki mężczyzny ukazanego na okładce widnieje enigmatyczny napis piaskowego koloru: „Niemożliwe, żeby to mogło się stać naprawdę. Niemożliwe? Właśnie zaczyna się dzieć”. Po przeczytaniu takiego hasła potencjalny czytelnik mógłby zapytać: „Co niemożliwego może się właśnie dzieć?”, „Kim jest ten człowiek na okładce i jaki może być jego związek z tytułem dzieła?”, czy „Dlaczego tej książce towarzyszy tak niepokojący, tajemniczy klimat?”. Odpowiedzi na te i wiele innych pytań znajdują się w książce.

Sama powieść zostaje otwarta sceną, która zapowiada charakter całego dzieła – brutalny, jednak w swej brutalności realistyczny. Akcja utworu „rozkręca się” raczej powoli; widać, że narrator pragnie w pierwszej kolejności zatrzymać czytelnika na ob-

razie dystopijnego świata, wyniszczonego przez klimat i podziały w społeczeństwie. Dopiero z czasem akcja nabiera tempa, a ostatnie rozdziały to ciągły, dynamiczny wyścig, wstrzymujący dech w piersiach. Trzeba oddać autorowi, iż wie, jak trzymać w napięciu i zaskakiwać osobę czytającą powieść. Nawet długo po zakończeniu lektury towarzyszy nam klimat tej książki. Pod jej wpływem zaczynamy dostrzegać wiele przerażających prawd, o których pisze Koziółka i na tej podstawie zaczynamy inaczej postrzegać otoczenie, w którym żyjemy.

A potem już tylko nic wzbudza wiele różnych emocji, począwszy od złości i obrzydzenia, poprzez rozpacz i wzruszenie, na współczuciu i radości kończąc. To zaskakujące, jak barwną scenierię potrafi stworzyć Enklawa Zielona Góra roku 2031 w powieści lubuskiego autora i na jak wiele różnych sposobów potrafi ona wpłynąć na odbiorcę. Ten efekt daje się osiągnąć dzięki realistycznie zbudowanym postaciom, których charakter, sposób postępowania i myślenia są wiarygodne. Główny bohater w swoich działaniach jest zdolny zdobyć się na odwagę, szczególnie gdy coś zagraża jego bliskim, jednak nie jest on przykładem niezwykłego współczesnego Herkulesa. Wręcz przeciwnie – Jan Krzyk czuje trwogę w obliczu osaczającego go systemu, ma świadomość swojego położenia i reaguje na spotykające go wyzwania tak, jak zareagowałby na nie każdy zdrowo myślący człowiek. Podobnie Adrianna, której kreacja jest daleka od wielokrotnie stosowanego w literaturze i filmie schematu *Mary Sue*. Żona Krzyka to postać złożona, którą czytelnik może postrzegać na wiele sposobów, w zależności od tego, jak oceni jej postępowanie. Co się zaś tyczy Justyna Medyni, jest to być może jedyny spośród trójki bohaterów, który niestety nie obronił się przed pewną schematycznością, jednak i ta została

wykorzystana w taki sposób, by odbiorca mógł sam ustosunkować się wobec jego osoby.

Warto również wspomnieć o obrazie samego miasta w powieści Krzysztofa Koziółka. Zielona Góra z dobrze znanymi każdemu zielonogórczaninowi nazwami ulic i charakterystycznymi punktami, jawi się mu może w książce zupełnie inaczej niż na co dzień. To miasto, podzielone na strefę wewnętrzną i zewnętrzną, pełne śledzących każdy ruch przechodnia kamer, w dużej mierze wyniszczone przez wojnę. Stadion żużlowy Falubazu zamieniony został w scenę przeznaczoną do wystąpień władzy; Ochla stanowi swoiste spełnienie „amerykańskiego snu” każdego pragnącego szczęśliwego i dostatniego życia obywatela; bloki mieszkalne zostały zdziśiatkowane przez bomby, pozbawione jakiegokolwiek prywatności. *A potem już nic* zawiera realistyczny obraz świata po epidemii i wojnie, pokazując całość przez szczegół, tj. cały świat przez pryzmat jednego miasta na zachodzie Polski (czy właściwie Polski Rzeczypospolitej Demokratycznej).

Najważniejszym atutem powieści jest jednak to, że zmusza do myślenia. Autor zdaje się zadawać nam pytanie, czy taka przyszłość, stworzona z połączenia Orwellovskiego strachu przed wszytkowidzącym Wielkim Bratem z Huxleyowskim podziałem społeczeństwa na cztery klasy z różnymi uprawnieniami nie jest wcale aż tak nieprawdopodobna. Czy nie żyjemy już teraz w czasach, w których nasze dane dostępne są wielu instytucjom i mogą być w każdej chwili wykorzystane przez ludzi wyżej postawionych? Czy nie jesteśmy obserwowani każdego dnia przez setki różnych kamer? Czy władza nie jest w stanie kontrolować nas poprzez decydowanie o dostawach prądu, wody i innych niezbędnych środków do życia? Co więcej, książka pokazuje nam, jak silnymi elementami sterowania społeczeństwem mogą być media i strach. Wystarczy przekazywać jednostce odpowiednio przerobione informacje, by pojąć nad nią kontrolę, a nawet jeśli ta się zbuntuje, nadal pozostaje jeszcze rozwiązanie siłowe – świadomość, że wystarczy jedna nieodpowiednia wypowiedź, jedno działanie, nawet nieodpowiednia reakcja na decyzje rządu, by z dnia na dzień po człowieku słuch zaginął. To wcale nie jest obraz aż tak oderwany od rzeczywistości, w której

* *Mary Sue* to pejoratywne pojęcie odnoszące się do wyidealizowanego modelu bohaterki dzieła literackiego bądź filmowego. Nie ma określonego wzorca, który pozwalałby z całą pewnością stwierdzić, jaką postać możemy nazwać *Mary Sue*. Jak podaje Wikipedia: najczęściej przyjmowany jest wzór pięknej femme fatale, która posiada niemalże wyłącznie same zalety i odnosi nieustanne sukcesy. Postać określona tym mianem może być nią jednak nawet wówczas, gdy wady posiada – jest ich jednak zbyt mało lub są zbyt nikłe czy tuszowane, aby można było uznać postać za rzeczywistą (zob. https://pl.wikipedia.org/wiki/Mary_Sue).

żyjemy, czego najlepszym przykładem są takie kraje jak Korea Północna, Rosja czy Chiny.

Styl, w jakim książka została zapisana, wpływa na atrakcyjność lektury. Opisy są być może nieco zdawkowe, ale dialogi brzmią w sposób wiarygodny i wciągający. Czytelnik ma wrażenie, że jest świadkiem rozmów prowadzonych w powieści. Niektóre sceny są dosyć schematyczne bądź powtarzalne, jednak nie zaburza to równowagi między akcją i opisem. Język utworu jest zrozumiały dla czytelnika, brak w nim specjalistycznego słownictwa, archaizmów czy neologizmów. Sposób pisania nie powinien więc nikogo zniechęcić; zaryzykować można nawet stwierdzenie, iż stanowi on pewną odczuwalną, choć nienamacalną cząstkę opisywanego świata. Jest rzeczowy, osadzony w konwencji realistycznej, momentami nawet naturalistycznej, jednak przy tym nie brak w nim elementów analizy psychologicznej, uczuciowości oraz pewnych świadomie zastosowanych niedopowiedzeń, pozwalających snuć różne teorie, w zależności od indywidualnych odczuć czytelnika.

A potem już nic było dla mnie ciekawym książkowym odkryciem. Choć w przeszłości zdarzało mi się sięgać po powieści dystopijne, kryminalistyczne i sensacyjne, jeszcze nigdy nie przeczytałem dzieła osadzonego w mieście, w którym żyję od urodzenia. Było to zdecydowanie pozytywne doświadczenie, ponieważ utwór, posiadający tak ciekawą fabułę, dobrze zarysowanych bohaterów i świat przedstawiony, oferował przyjemność lektury i satysfakcję po jej zakończeniu, a oprócz satysfakcji – świadomość, że coś z nami z tego dzieła zostało. Może to poczucie osaczenia w świecie ciągłego przepływu informacji, brak zaufania do władzy kontrolującej media, czy tak jak w moim przypadku – świadomość wyjątkowości, że żyje się w mieście, w którym tak samo jak w *A potem już nic* rozgrywają się ludzkie dramaty? Utwór nie odstraszy nikogo swoim rozmiarem – 230 stron to stosunkowo niewiele jak na powieść, która mieści w sobie tak wiele różnych wątków, wciągających dialogów i interesujących opisów. Dla kogo więc jest ta książka? W zasadzie dla każdego, w szczególności zaś dla miłośników dystopii, kryminału i... Zielonej Góry.

Podsumowując, powieść Krzysztofa Koziółka zdecydowanie warto przeczytać, by znaleźć się w świecie wcale nie tak niemożliwej, totalitarnej przyszłości, w której jednostka uciskana przez system stara się walczyć o lepsze jutro dla siebie i swoich bliskich. To dzieło, które można potraktować po prostu jako kolejną fikcję literacką; wyobrażenie jutra, jeśli ludzkość popełni szereg nieodwołalnych błędów. Jednak można je także odczytać jako złowróżbne proroctwo świata, w którym już poniekąd żyjemy; świata, w którym nie jesteś już osobą, lecz kolejnym numerem w systemie; wreszcie świata, w którym, jeśli będziesz słuchał i dostosowywał się do woli władzy, otrzymasz swoją porcję wody.

Zasadniczo słowa Stendhala powinny zostać nieco zaktualizowane: „Powieść jest jak zwierciadło przechadzające się po gościńcu, obnażające prawdę, nawet jeśli nie chcesz jej widzieć”. W mojej opinii powieść Koziółka nie należy do pozycji dającej się po prostu odłożyć na półkę i o niej zapomnieć. Ona pozostaje z czytelnikiem, budzi niepokój, każe być czujnym.



Michalina Majkowska

Powieść kryminalna Marty Ruszczyńskiej *Diabeł i panna*

Diabeł i panna to współczesna powieść kryminalna wydana niedawno przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry *Winnica*. Autorką jest Marta Ruszczyńska – wykładowczyni literatury na Uniwersytecie Zielonogórskim. Już sam tytuł zaciekawia czytelnika i stawia przed nim pytanie o tytułowe postacie. Przywodzi na myśl *Mistrza i Małgorzatę* – powieść, której tytuł także odwołuje się do treści dzieła. Lektura książki pozwala interpretować diabła jako symbol mrocznej historii Kolbergu i tajemniczego stowarzyszenia odpowiedzialnego za porwanie bohaterki. Natomiast zaplątaną w to wszystko panną jest właśnie zaginiona postać.

Tytuł książki znakomicie zapowiada fabułę utworu. Jak wcześniej wspomniałam, reprezentuje ona epikę, a ściślej powieść kryminalną, w której bieg czasu został odwrócony. Punktem wyjścia jest zaginięcie, a tok narracji jest dedukcyjny. Zagadka stanowi tutaj kluczową oś fabuły¹. Ponadto zdarzenia fabularne rozwijają się w kierunku jakiegoś określonego celu, który wyznacza samo jego zawiązanie (dokonanie przestępstwa), a kresem akcji jest ujęcie przestępcy czy jak w tym przypadku odnalezienie postaci. Mamy tutaj do czynienia z powieścią sensacyjną, gdzie głównym elementem i siłą napędową dla treści jest konflikt jakichś przeciwstawnych dążeń².

Książka rozpoczyna się podróżą głównej bohaterki Joanny nad morze. Kobieta w średnim wieku, wykładowczyni uniwersytecka, ma tam się spotkać ze swoją przyjaciółką Elżbietą. Pierwszoplanowa postać jest bardzo bliska współczesnym odbiorcom. Autorka wykreowała ją, czerpiąc z własnych doświadczeń. Joanna prowadzi również pierwszoosobową narrację, więc perspektywa powieści została zawężona do jej pozycji nadawczej. Narrator jest tu określony i znajduje się jak gdyby wewnątrz przed-

stawionego świata. Do wypowiedzi bohaterki-narratorki często przenikają kolokwializmy, utrwalone związki wyrazowe czy znane powszechnie zwroty, a nawet lekkie przekleństwa. Pośrednio charakteryzują ją także rozważania egzystencjalne – monologi wewnętrzne, pozwalające na uporządkowanie emocji i zdarzeń, a odbiorcy umożliwiające poznanie bohaterki. Jej wypowiedzi zawierają także liczne nawiązania kulturowe z dziedziny architektury, muzyki czy filmu. Wszystko to sprawia, że bezpośrednio towarzyszymy głównej postaci w jej przygodach i detektywistycznych działaniach, jak również w miłosnych uniesieniach. Zabieg ten skraca dystans pomiędzy czytelnikiem a narratorem, dzięki czemu powstaje wrażenie, że opowieść relacjonowana jest przez współczesną, znaną nam osobę.

Fabuła opiera się na quasi-sądach. Fikcyjna opowieść została osnuta na wydarzeniach historycznych i osadzona w realnych miejscach. Akcja zawiązuje się w momencie, gdy główna postać zauważa, że jej przyjaciółka dociera do Kołobrzegu, następnie w tajemniczych okolicznościach opuszcza hotel i już do niego nie wraca. Tak właśnie zaczyna się kryminalna przygoda, w której odbiorca także bierze udział. Mamy wrażenie, że tydzień po tygodniu wraz z Joanną niepokoiimy się o życie przyjaciółki, choć czas narracji jest przeszły. Z początku kobieta idzie na policję, zwraca się też do detektywa, ale nie mogąc beczynn timer czekać na rezultaty, sama podejmuje działanie i zbiera poszlaki. Wielokrotnie podróżuje do Kołobrzegu w poszukiwaniu nowych śladów. To właśnie wartki bieg zdarzeń, szybkie zawiązanie akcji i dynamika działań głównej bohaterki sprawiają, że lektura jest tak interesująca. Ponadto autorka raczej nie skupia się na nieistotnych i nic niewnoszących wątkach. Nie wprowadza niepotrzebnych bohaterów. Wszystko ma pewien zamysł. Nawet postać detektywa nie jest przypadkowa. Z racji jego tatuazu sokoła maltańskiego można domniemać, iż jest on członkiem tajemniczego stowarzyszenia i oso-

¹ Por. B. Chrzastowska, S. Wystouch, *Poetyka stosowana*, Warszawa 1978, s. 418.

² Por. M. Głowiński, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Zarys teorii literatury*, Warszawa 1975, s. 369.

bą, która celowo wprowadza chaos w pracy samowarnej detektywki.

W książce nie brakuje motywów rozbudowujących powieść. Dla kryminalnego wątku kluczowe jest tło historyczne. Okazuje się, że bohaterka prowadzi badania nad historią przedwojennego Kołobrzegu i odkryła stowarzyszenie posttemplariuszy, a nawet mapę skarbów i to właśnie ona stała się przyczyną jej kłopotów. Jednak o tym dowiadujemy się oczywiście na końcu powieści. Rozwiązaniem akcji jest opowieść odnalezioną, relacjonowaną w jej perspektywie narracją pierwszoosobową, co jest ciekawym zabiegiem. Zdarzenia historyczne budują fabułę tego utworu, stanowią tło dla pierwszoplanowego wątku. Główna bohaterka najpierw sama, później z Adamem (znajomym Elżbiety z Wrocławia), poszukuje prawdy i poznaje zapomnianą historię. Ich odkrycia pokazują czytelnikowi zapoznany obraz miasta sprzed wojny. Miejsca, które już nigdy nie powróci, zostało bezpowrotnie zniszczone i odmienione po roku 1945. Kołobrzeg, będący niegdyś wspaniałą i piękną miejscowością, ale też fortem, obroną twierdzą pełną tajemnic, teraz jest kojarzony przede wszystkim z nadmorskim kurortem. Konfrontacja dzisiejszego Kołobrzegu i Kolbergu ilustruje transformacje, jakie zaszły. Natomiast nadmorska sceneria, statyczne krajobrazy opisywane przez narratora tworzą znakomity nastrój dla tejże historii.

Warto powrócić do postaci Adama – znajomego zaginionej. Jest on bibliotekarzem pracującym we wrocławskim Ossolineum. Jego zawód, jak i umiejętności dedukcji okazują się bardzo przydatne w czasie poszukiwań, ponieważ to właśnie dzięki nim dostanie się do skrytki Elżbiety i dotarcie do jej listu oraz dokumentów historycznych staje się łatwiejsze. Ponadto mężczyzna cechuje się realistycznym podejściem do życia i stoickim spokojem. Charakterystyczne dla tej postaci jest też podejście do feminizmu, do którego odnosi się sceptycznie i lekko żartobliwie – w ten sposób Adam reprezentuje przestarzałe myślenie i niechęć społeczeństwa, a szczególnie jego starszych przedstawicieli, do feminatywów. Postać Adama została w dużej mierze scharakteryzowana przez jego wypowiedzi. Jest on przeciwieństwem Joanny – bohaterki bardzo emocjonalnej, reagującej uczuciowo, która przedwcześnie wyciąga wnioski i równie szyb-

ko wpada w kłopoty; ale także kobiety silnej i walczącej o swoje racje, a tym samym znającej własną wartość. Mężczyzna stawia na chłodną kalkulację i wielokrotnie potrzebuje czasu na zastanowienie. Nie znaczy to jednak, że którakolwiek z postaw jest zła. Dzięki temu tworzą mistrzowski duet i uwalniają przyjaciółkę. Są niczym Sherlock Holmes i doktor Watson. Ich współpraca nie zbliża ich jednak na tyle, aby zrodziło się pomiędzy nimi miłosne uczucie, które pojawia się w jednym ze snów Joanny.

Sny i mistyczne motywy także odgrywają istotną rolę w tej lekturze. Główna bohaterka wielokrotnie śni o rzeczach mających dać jej wskazówkę. Kobieta silnie wierzy w znaczenie sennych marzeń, które według niej są lustrem psychiki, ale także fundamentalnym elementem labiryntu, w którym błądzi. Także Elżbieta wierzyła w moc ezoteryki i sił nadprzyrodzonych, co potwierdza zakończenie utworu – na końcu powieści mamy wrażenie, że kobieta wstąpiła w krąg współczesnych templariuszy. Również irracjonalne zdarzenia, np. zauważenie przez główną postać Sabine – dziewczynki zaginionej przed wojną – kierującej się w stronę katedry, rozbudowuje płaszczyznę powieści. Podobnie spotkanie z sobowtórem Elżbiety, który informuje Joannę o rychłym rozwiązaniu zagadki, jest ciekawym motywem metafizycznym. Przeplatanie się zdarzeń realnych z tymi z pogranicza snu oddziałuje na odbiór utworu. Buduje to zagadkę, pogłębia tajemnicę, która w kryminałach jest tak nie-



zmiernie pożądana. Podobną funkcję pełnią nawiązania do egzekucji czarownic czy mistycznych zainteresowań nazistów.

Oczywiście w powieści kryminalnej, jaką jest *Diabeł i panna*, nie może zabraknąć policji i detektywa, o których wspominałam wcześniej. Oprócz głównej bohaterki, która wchodzi w taką rolę, wyłania się osoba detektywa Marka, który jest w zasadzie postacią epizodyczną. Pojawia się na początku poszukiwań i nie odkrywa zbyt wiele, ale zdobywa istotną informację, że widziano, jak Elżbieta płynie na Bornholm. Nie jest on jednoznaczną figurą. Z jednej strony ustalenia detektywa są prawdziwe, ale z drugiej musimy pamiętać, że on także ma wyżej wspomniany tajemniczy tatuaż. Wątek tego bohatera pozostawiony jest odbiorcy do własnej interpretacji. Podobnie jak zakończenie, które zostawia czytelnika z pytaniem, czy to na pewno koniec i czy nie wydarzyło się coś więcej, o czym Elżbieta nie chciała mówić. Natomiast policję reprezentuje tutaj aspirant Bukacki. Mężczyzna jest bardzo sceptyczny wobec tropów Joanny. W swojej dedukcji daje się wyprzedzać bohaterce i często nie bierze na poważnie jej poszlak. Jest zaangażowany w sprawę zaginionej, ale na początku podchodzi do całej kwestii z dystansem. Dopiero z czasem zaczyna współpracować z główną bohaterką i czerpać z jej teorii. Ku zdziwieniu czytelnika to właśnie jego dotyczy epizod miłosny. Joanna całuje się z policjantem w samochodzie, po czym ucieka. Ta sytuacja nie zostaje ani skomentowana przez narratora, ani rozwinięta. Być może na bohaterkę zadziałał urok policjanta? Ten wątek, uważam, pojawił się niepotrzebnie. Tak naprawdę nie wniósł nic nowego do akcji, a jako wątek poboczny został zbyt słabo rozbudowany. W mojej opinii to jedyny niepotrzebny element utworu.

Książka już bez tego jest przebogata i znaleźć w niej można wiele współczesnych odwołań. Przykładem są liczne odniesienia do znanych tekstów kultury, np. do *Fausta* Goethego, utworów Wagnera czy nawet filmów, takich jak *Pulp Fiction*. Główna bohaterka często zaznacza, że czuje się, jak gdyby była postacią z powieści sensacyjnych i kryminalnych. Towarzyszą jej liczne perypetie, które celowo wprowadzone, zmieniają kierunek akcji, hamują jej rozwój i piętczą trudności. Ma to na celu przykuć

uwagę czytelnika i zaskoczyć go ostatecznym rozwiązaniem³. Liczne odniesienia do kanonicznych dzieł sprawiają, że świadomość odbiorcy jest ciągle aktywna, ponieważ może on odnajdować coraz to inne konteksty interpretacyjne. Zresztą już samo nasylenie akcji nie pozwala na nudę. Bohaterowie stale odkrywają coś nowego, aż do znalezienia skrytki Elżbiety w Ossolineum, co jest punktem kulminacyjnym powieści. Nadaje on odpowiedni kierunek poszukiwaniom, a raczej daje odpowiedź na pytanie o sposób odnalezienia i odzyskania kobiety. Dzięki temu postaci wracają do Kołobrzegu, a akcja zmierza ku rozwiązaniu. Tam anonimowi przestępcy żądają od Joanny wymiany mapy skarbów za przyjaciółkę i faktycznie tak się dzieje. Dzięki temu Elżbieta powraca do przyjaciół, ale jej tajemniczy tatuaż podsuwa czytelnikowi myśl, iż nie wszystko wróciło do normy. Jest to świetny zabieg stylistyczny i dobitne zaznaczenie zakończenia akcji. Główna bohaterka osiąga upragniony cel⁴.

Na koniec chciałabym jeszcze powrócić do pierwszego wrażenia, jakie wywarła na mnie szata graficzna, znakomicie współgrająca z powieścią. Prawie stykające się dłonie na okładce kojarzą się ze znanym freskiem Michała Anioła *Stworzenie Adama*. Dodatkowo jedna z rąk jest delikatna i kobieca, z tatuażem ptaka. Natomiast druga męska i wręcz diabelska. Jasne i ciemne kolory ciała także są symboliczne. Nawiązuje to do dobra i zła, które nigdy nie przestaje ze sobą walczyć, a zatem do tytułu i oczywiście do opowiedzianej historii. Warto zauważyć, że drugi plan na okładce wypełnia morze i dokładnie tak samo jest w przypadku tła akcji utworu.

Podsumowując, książka wywarła na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Jest to kryminał z wciągającą opowieścią, idealny do zabrania ze sobą w podróż czy do czytania w domowym zaciszu. Jego fabuła zaciekawia od pierwszych stron, a chęć poznania prawdy zaspokojona zostaje dopiero przy rozwiązaniu zagadki. Warto polecić powieść Marty Rusczyńskiej każdemu, kto chce poznać fascynującą historię.

³ Tamże, s. 370.

⁴ Tamże, s. 369.

Joanna Kapica-Curzytek, Miłosz Cybowski

Księżna Dorota i Adam Czartoryski – historia niespełnionej miłości

Dorota de Talleyrand Périgord z domu Biron (1793-1862) osiedliła się na stałe w pałacu w Zatoniu (obecnie dzielnica Zielonej Góry) w 1840 roku. Za sobą pozostawiła zamknięty bogaty rozdział życia we Francji: małżeństwo, narodziny czwórki dzieci i śmierć dwuletniej córeczki, ale i niezwykłą jak na owe czasy (szczególnie dla kobiety) polityczną karierę u boku Charlesa-Maurice’a de Talleyranda Périgord (1754-1838), z którym łączyło ją więcej niż z własnym mężem, bratankiem Charlesa-Maurice’a¹.

Z pewnością wielokrotnie wracała myślami do czasów swojej młodości. Czy we wspomnieniach było miejsce dla jej pierwszej miłości, Adama Jerzego Czartoryskiego (1770-1867), w którym się zakochała, mając niespełna piętnaście lat? Było to jeszcze w rodzinnych dobrach ojca w zupełnie innej części Europy – w Mittawie na Kurlandii (obecnie Jełgawa na Łotwie). Dorota już jako młoda dziewczyna miała własny majątek i służbę. Rezydowała w Tannenfeldzie, w pawilonie mieszczącym się w głębi lasów. Odpowiadało to jej nietowarzystkiemu usposobieniu. Liczni pretendenci do ręki księżniczki zabiegali – o nieledwie nastolatkę! – u jej matki w Lipawie².

Ocenia się, że Bironówna była na początku XIX wieku jedną z najbogatszych partii w Europie. Była zarówno posażna, jak i wysokiego rodu. Czytamy, że „wprawdzie jej matka miała cztery córki i po trzecim rozbiore Polski utraciła prawa do lennego księstwa przejętego przez Rosję, ale [...] należały do niej duże dobra po rodzicach i mężu, zaokrąglone zakupami nowych majątków w Czechach i na Śląsku (Żagań, stąd tytuł: de Sagan) oraz 100 tysięcy rubli rocznej pensji ze skarbu rosyjskiego”³.

Adam Czartoryski, wywodzący się z jednej z najpotężniejszych rodzin magnackich Rzeczypospolitej Obojga Narodów, był świetnie wykształcony i wiele podróżował po Europie. W trakcie powstania kościuszkowskiego służył jako ochotnik w wojsku litewskim. Po złupieniu Puław przez wojska rosyjskie i zajęciu dóbr jego rodu w zaborze rosyjskim po drugim i trzecim rozbiore wraz z bratem Kazimierzem przebywał w Petersburgu jako zakładnik. To właśnie tam nawiązała się bliska przyjaźń między księciem Adamem a wielkim księciem Aleksandrem, późniejszym carem Aleksandrem I. Po objęciu tronu nowy władca Rosji obsypał swojego przyjaciela licznymi zaszczytami, w tym funkcją kuratora wileńskiego oraz ministra spraw zagranicznych. Jednak mimo licznych prób Czartoryski nie zdołał przekonać cara do swojej federacyjnej koncepcji caratu, zarysowanej w publikacji z 1803 roku *Mémoire sur le système politique que devrait suivre la Russie* napisanej ze Scipionem Piattolim. Po dymisji ze stanowiska mi-

¹ Więcej o kontaktach Doroty z Talleyrandami w tekście: M. Cybowski, J. Kapica-Curzytek, *Księżna Dorota i Talleyrandowie. Historia małżeństwa i przyjaźni*, „Pro Libris” 2021, nr 3/4.

² J. Orioux, *Talleyrand, czyli niezrozumiany sfinks*, Warszawa 1989, s. 456.

³ J. Skowronek, *Adam Jerzy Czartoryski (1770-1861)*, Warszawa 1994, s. 146.

V
A
R
I
A

nistra pozostał na służbie rosyjskiej i kontynuował swoje próby wywarcia wpływu na oświeconego monarchę (jak wielu postrzegało cara), lecz jego starania nie przyniosły żadnych efektów.

Dorotę i Adama połączyła właśnie osoba Scipiona Piattoliego (1749-1809). Był on jedną z ważnych postaci obracającą się w niewielkim świecie kosmopolitycznej arystokracji tamtych czasów. Urodzony we Florencji, był zakonnik, w Rzeczpospolitej Obojga Narodów związał się kolejno z magnackimi rodami Potockich, Lubomirskich i wreszcie Czartoryskich. Na przełomie ostatnich dwóch dekad XVIII wieku pełnił rolę sekretarza króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, odegrał też ważną rolę w pracach nad Konstytucją 3 maja⁴. W 1794 roku trafił do niewoli austriackiej. Szczęśliwie został zwolniony za sprawą wstawiennictwa Adama Czartoryskiego i księżnej von Medem, matki Doroty, która uczyniła Scipiona swoim sekretarzem i nauczycielem młodej księżniczki, do końca życia ceniącej sobie jego pedagogiczną pracę. Preceptor Doroty, człowiek inteligentny i wykształcony, wpoił jej zamiłowanie do poważnych lektur⁵. Wraz z nim i z matką przysła lokatorka pałacu w Zatoniu odbyła w młodości liczne podróże, odwiedzając posiadłości rodziny Bironów na Śląsku, w Czechach, Dolnej Saksonii i Berlinie⁶. W tym samym samym czasie Piattoli blisko współpracował z Czartoryskim, co – jak się okazało – miało znaczenie dla losów księżniczki. Był on wielkim zwolennikiem ich ewentualnego małżeństwa; dzięki nieustannemu wychwalaniu Adama sprawił, że Dorota zakochała się w księciu⁷.

Skrupulatny Scipione odnotował, że książe Adam Czartoryski poznał Dorotę 9 kwietnia 1808 roku i „spodobła mu się bardzo”⁸. Jakie myśli towarzyszyły obojgu na początku tej znajomości? Były między nimi 23 lata różnicy. O Adamie pisano jako o „romantycznym, nieszczęśliwym, pięknym księciu polskim”⁹. Gdy Czartoryski poznał Dorotę, „czuł się nieszczęśliwym, osamotnionym, a poczuł, że już nie jest młodym. Pomyślał nieco o swoim szczęściu. [...] Dziwna to była para zakochanych: on dochodził czterdziestu lat, ona była dzieckiem piętnastoletniem – ale już z tej ślicznej, czarnowłosej, upartej główki, z ciemnych, aż nadto mądrych oczu, cała, pełna wyzierała kobieta”¹⁰. Ujawnił się w tej sytuacji także jej charakter: oczarowały ją [...] jego srebrne skronie i melancholijne oczy znane jej z opowieści preceptora [Piattoliego]. Dorota poprzysięgła sobie nie poślubić nikogo poza Czartoryskim – a była uparta”¹¹.

Oboje wymienili się portretami, jak było to ówczesnie w zwyczaju.

Do Doroty nie przestawali przybywać starający się o jej rękę. Byli wśród nich książęta Hohenlohe, Solms, Reuss, Mecklenburg. Księżniczka przyjmowała ich zimno, lecz żadnego nie zniechęcała w nadziei, że ich zapęły wywołają zazdrość obojętnego Czartoryskiego”¹². Bardzo liczyła, że te taktyczne wybiegi wywołają na księciu Adamie wrażenie. Jak duża była na to szansa? Z perspektywy czasu widzimy, że w grę wchodziły jeszcze inne okoliczności: „ona po prostu postanowiła zostać jego żoną, on liczył się z różnicą wieku i ze swoją rodziną, a głównie matką”¹³.

Książe Adam w Mitawie „zasiedział się dwa tygodnie, był smutny, nic prawie nie mówił z księżniczką, tylko się na nią patrzył”¹⁴. Być może za tym milczeniem stał sposób bycia wytrawnego dyplomaty, dbającego, aby w żadnej sytuacji nie ujawniać żadnych emocji?

⁴ <https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/scipione-piattoli-1749-1809-eks-pijar-erudyta-pedagog-sekretarz>. Zob. także: W. H. Zawadzki, *A Man of Honour. Adam Czartoryski as a Statesman of Russia and Poland, 1795-1831*, Oxford, 1993, s. 116-117.

⁵ W. Banach, *Czartoryscy, czyli wieczna pogoń*, Poznań 2022, s. 337.

⁶ J. Skowronek, dz. cyt., s. 145.

⁷ M. Handelsmann, *Adam Czartoryski*, t. 1, Warszawa 1948, s. 46.

⁸ S. Askenazy, *Szkice i portrety*, Warszawa 1937, s. 272-273.

⁹ J. Orioux, dz. cyt., s. 455.

¹⁰ Tamże, s. 456.

¹¹ S. Askenazy, dz. cyt., s. 272-273.

¹² Tamże.

¹³ J. Skowronek, dz. cyt., s. 146.

¹⁴ J. Orioux, dz. cyt., s. 462.

A może aż tak wielu tych uczuć nie było?

Z rodzinnej korespondencji Czartoryskich wynika tylko spokojna, racjonalna gotowość Adama do ożenku. Nawet na poły oficjalne papiery w sprawie projektu mariażu połączone są w archiwum rodzinnym (tak zwanej Ewidencji) Czartoryskich z... „projektami utworzenia wyższego gimnazjum w Mitawie” (na wzór krzemienieckiego), które zapewne księżna von Medem usiłowała realizować przy pomocy kandydata do ręki jej córki. Gdy w 1807 roku Dorota planowała turystyczną podróż do Krakowa i Wieliczki (z zamiarem złożenia wizyty w Puławach), książe Adam ograniczył się do prośby skierowanej do brata o jej „dobre przyjęcie” i pomoc ze strony rodziny. Zapewniał przy tym: „to jest bardzo urocza osoba i najlepsza Polka”¹⁵.

Jednak książe musiał liczyć się z opinią rodziców, zwłaszcza matki, do której był bardzo przywiązany. A księżna Izabela Czartoryska bardzo sprzeciwiała się temu małżeństwu. Wobec syna miała większe ambicje. Dla niej Dorota była ledwie „wnuczką koniuszego”, który jako faworyt rosyjskiej carycy Anny otrzymał z jej rąk tytuł ksiązęcy.

Początkowo Dorota planowała odwiedzić u matki Adama, by przekonać ją do siebie. Młodziutka księżniczka liczyła jeszcze, że prawdziwa miłość zwycięży. Zamiast do Izabeli, Dorota przyjechała na imieniny matki. Wcześniej dostała też list od Piattoliego. Jej nauczyciel pisał go już na łożu śmierci, ulegając wpływom wielu osób (także księżnej von Medem), które nie życzyły sobie ożenku Doroty z Czartoryskim. List zawierał spreparowane kłamstwa o tym, że książe Czartoryski niedawno poślubił w Warszawie pannę Matuszewiczównę z błogosławieństwem starej księżnej i całego miasta. Zbulwersowana Dorota kazała natychmiast zaprzęgać i pognąła do łoża wiekowego preceptora. Ten gasnącym głosem przekonywał swoją niedawną podopieczną, że oto niepotrzebnie słuchała głosu swoich rojeń i powinna słuchać tylko mądrych rad matki¹⁶. Jechała do niego po pokrzepienie i wieści o swym starszawym księciu z bajki. Ale umierającemu dano już reprimendę, więc powiedział jej, że nie wie nic o Czartoryskim i że powinna zapomnieć o tych mrzonkach. Jednak Dorota nie była skłonna go słuchać.

Tak jak Piattoli miał udział w tym, że para się poznała, teraz perfidnie go wykorzystano, aby Dorocie wybić z głowy uczucie do księcia. W swoich złudzeniach wytrwała jeszcze dwa lata. „Mała bronila się uparcie, ona chciała swego księcia Adama, ale użyto przeciw niej najrzęczniejszego sposobu dyplomatycznego, oddalono ją od Czartoryskiego, nie doręczano jego listów”¹⁷. Niedługo później do Lipawy przybyła z Warszawy księżna Ogińska, która przywiozła nowinę o ożenku księcia Czartoryskiego. Usłyszawszy to, Dorota wybuchnęła łkaniem i wybiegła gwałtownie¹⁸.

Złamana podstępem księżniczka niedługo później przyjęła oświadczyzny Edmonda de Talleyranda (1787-1872) i wyszła za niego niejako „na złość Adamowi”. Kontrakt ślubny podpisano 15 kwietnia 1809. Dorota miała niespełna szesnaście lat... Był to fatalny początek, a dalszy ciąg okazał się jeszcze gorszy. Małżeństwo nie było udane, mąż zupełnie do niej nie pasował, ale Dorota znalazła równego sobie partnera w osobie jego wuja, Charlesa-Maurice’a, którego z powodzeniem wspierała w dyplomatycznej i politycznej karierze. Jak pisał o niej S. Askenazy: „Koniec końcem została wydana za mąż, wywieziona do Paryża, została lwicą salonów paryskich, zaślubiła wyszukaną swoją perwersją na oburzenie pani George Sand, a na podziw Balzaca, figurowała wśród najokrutniejszych aktorek jego *Komedji ludzkiej*, jako pani Cadi-gnan i pani de Langeais – ale nie zapomniła nigdy księcia Adama. I on jej nie zapomniął, zachował starannie w swoich papierach najdrobniejsze jej liściki, wszystkie świadectwa jej dziecinnego o nim rojenia”¹⁹.

¹⁵ S. Askenazy, dz. cyt., s. 273.

¹⁶ J. Orieux, dz. cyt., s. 462.

¹⁷ S. Askenazy, dz. cyt., s. 273-274.

¹⁸ B. Koska, *Dorota de Talleyrand-Périgord – księżna Dino i Żagania*, 2022, s. 31.

¹⁹ J. Skowronek, dz. cyt., s. 145.

Dorota złożyła portret Czartoryskiego w trumnie Piattoliego (w 1809 roku). Czartoryski, mimo nalegań, portretu Doroty nie zwrócił²⁰. Tak więc uczucie, jeśli nawet było, to nie rozwinęło się – i chyba nie przetrwało. A mogli być wspaniałą parą... Pod względem intelektualnym księżna Dino Czartoryskiemu zapewne nie ustępowała²¹. Można sobie wyobrazić, jak wyglądałaby Europa – i sytuacja Polski – gdyby Dorota została żoną Czartoryskiego. Może to z nim stworzyłaby utalentowaną dyplomatyczną parę, z licznymi kontaktami i wiedzą? A może jednak doszłoby do głosu tradycyjne podejście (wystarczy przypomnieć, jak silny wpływ na syna miała matka Izabela) i Dorota byłaby z racji małżeństwa i macierzyństwa odsunięta od aktywności w sferze publicznej? Mogłaby co najwyżej zająć się działalnością dobroczynną...

Zrealizowała się natomiast w znakomitym „tandemie” z wujem jej męża, Charlesem-Mauricem de Talleyrand Périgord; można powiedzieć, że jak na owe czasy wykorzystała chyba maksimum możliwości, jakie mogła mieć kobieta. Dorota błyszczała później na salonach Francji i innych krajów zachodnioeuropejskich przy boku męża-dyplomaty, a jeszcze bardziej – jego starego, sławnego stryja. Spotykał ją niekiedy książę Adam w czasie swych podróży po Europie, a zwłaszcza w dziesięcioleciach jego emigracyjnej działalności: czy to w roku 1815 w Wiedniu, gdy uczestniczył w obradach kształtującego nowy europejski ład kongresu wiedeńskiego, czy w latach 30. w Paryżu, gdy jako emigrant polistopadowy starał się „wyryć na ścianach [europejskich] parlamentów prawa Polski”²², czy wreszcie w trakcie pobytu w Berlinie podczas Wiosny Ludów w 1848 roku. Sama księżna Dino podobno zachowała wiele uprzejmej sympatii dla Czartoryskiego i sprawy polskiej, choć wynikało to raczej z pragmatyzmu. Na przykład wizytę księcia w Berlinie pod koniec lat 40. XIX wieku określiła mianem „nowej komplikacji”, co oddawało ówczesny nastrój kół dyplomatycznych i politycznych²³.

Dorota, jeśli wspominała Czartoryskiego w swoich zapiskach, czyniła to raczej z dystansem, a nawet złośliwie. Pod datą 1 września 1834 zapisała w swoim pamiętniku: „Książę Czartoryski przybył z kolei, jak zwykle dosyć leniwy, zdecydowany zamieszkać w Paryżu”²⁴. On sam rzadko wspominał o niej – w swoich dziennikach z okresu 1813-17 częściej pisał o jej mężu i jego stryju niż o Dorocie.

Czy historia naszego kraju, w szczególności historia Wielkiej Emigracji, przebiegłaby inaczej, gdyby doszło do związku małżeńskiego tych dwojga niezwykłych, wybijających się ponad przeciętność, ludzi? Kto wie, być może serce polskiego uchodźstwa biłoby nie w paryskim Hotelu Lambert, ale w pałacu w Żaganiu? Dorota, tak samo jak matka Adama, Izabela, była wytrawną kolekcjonerką sztuki, mecenaską, umiała przyciągać wybitne osobowości. Miała to po swojej matce Dorocie von Medem, która również kochała sztukę i artystów i z położonej na dalekich rubieżach Europy wschodniej Mitawy uczyniła przybytek wyrafinowania i elegancji²⁵.

*

Adam Czartoryski, owszem, ożenił się, ale... dopiero dekadę później. Różne kobiety kolejno stanęły jeszcze na jego drodze, ale to znajomość z Dorotą była jego ostatnią, głębszą, sercową przeprawą. Zapisał sobie wtedy książę Adam: „Nadchodzi wiek, kiedy najpiękniejsza kochanka, jakiej służyć może człowiek honoru, to jest jego ojczyzna”. Ta najczystsza namiętność odtąd coraz bardziej zapełnia całe jego następane życie.

Jeśli chodzi o jego wymiar prywatny, posłusznie dostosował się do zamiarów matki, aby jego żoną została osoba równa mu urodzeniem. Poślubił – jeszcze młodszą od Doroty – księżnę Annę Zofię z Sapiehów (1799-1864), z którą miał czworo dzieci. Jednym z ciekawszych śladów, jaki po niej się zachował, jest ten, że Fryderyk Chopin zadeedykował jej Rondo à la Krakowiak F-dur, op. 14.

²⁰ *Generał Zamoyski*, t. 3 (Poznań 1914), s. 26.

²¹ J. Skowronek, dz. cyt., s. 449.

²² B. Koska, dz. cyt., s. 32.

²³ J. Orioux, dz. cyt., s. 454.

²⁴ B. Koska, dz. cyt., s. 32.

²⁵ J. Orioux, dz. cyt., s. 454.

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Joanna Wysocka
Anna Polak
Paweł Karp

Niezwykła historia świątyni, czyli jak przeszłość przypomniała się teraźniejszości

Żarski zakątek tajemnic

Część V

Zgodnie z zapowiedzią z drugiej części cyklu, w 2023 roku, a konkretnie od 17 do 19 sierpnia, w kościele farnym w Żarach przeprowadzone zostały prace antropologiczne w dwóch kryptach – starszej z XVI wieku oraz młodszej z XVII wieku. W ich wyniku okazało się, że obecnie znajdują się w nich szczątki 32 osób. Badania takie nie są niczym niespotykanym, jednak opisywany przypadek, choćby z uwagi na skomplikowane dzieje budowli, okazał się szczególnie ciekawy. Niniejszy artykuł opowiada historię, która wydarzyła się w tej świątyni, znajdując ostatecznie należne jej zakończenie.

Początek

Obecna żarska fara nie jest pierwszym obiektem, jaki znajdował się w tym miejscu. O jej dziejach i niezwykłościach można dowiedzieć się z artykułów prezentowanych w cyklu „Żarski zakątek tajemnic”. Warto jedynie przypomnieć, że wciąż można obejrzeć

relikty budowli z początku XIV stulecia, a nowe gotyckie założenie ukończono, po dłuższym okresie wstrzymania prac, w pierwszej połowie XV wieku. Do istniejącej już bryły dobudowywano kolejne kaplice i krypty, tak więc swój obecny kształt świątynia zyskała dopiero w XVII wieku.



Kaplica Promnitzów w kościele farnym

Niezwyczajne świadectwo historii kościoła, a szerzej dziejów miejscowości i jej mieszkańców, stanowią krypty. W żarskiej farze możliwy jest obecnie dostęp do dwóch z nich. Wiemy, że pochówki odbywały się także w innych miejscach, a badania prowadzone w latach 60. ubiegłego stulecia potwierdziły, że dokonywano ich np. pod posadzką nawy północnej. Przedmiotem zainteresowania będą jednak te organizowane w wybudowanych specjalnie w tym celu pomieszczeniach. Pierwsza z omawianych krypt powstała najpewniej w ostatniej ćwierci XVI wieku tuż przy nawie północnej, pod niewielką kaplicą. Niedługo znajdowały się tam liczne sarkofagi i trumny, lecz żadne nie przetrwały do naszych czasów. Niestety nie można dokładnie prześledzić ich losów, jednak opierając się na relacjach mieszkańców, należy stanowczo podkreślić, że dokonano się to już w okresie powojennym. Przy prezbiterium znajduje się kaplica rodziny von Promnitz. Wzniesioną w latach 1670-1672 na polecenie hrabiego Ulricha von Promnitz barokową perelką architektoniczną z figurami aniołów i niezwykle bogatą sztukatorską orna-



mentyką uzupełniają malowidła ze scenami z Pisma Świętego, które są dziełem Jacoba Joachima Vogla. Poniżej znajduje się rodowa krypta grobowa, w której zachował się zaledwie jeden uszkodzony sarkofag. Przepiękny portal kaplicy zdobi herb hrabiowski Promnitzów (jak całe wnętrze jest pozbawiony pierwotnej polichromii) oraz silnie już naznaczona przez upływ czasu inskrypcja fundacyjna, której odczyt wraz z tłumaczeniem przedstawiamy poniżej:

Ruhe-grufften

Welche mit Gott der Hochgebohrne Graff und Erb

Herr

Ulrich, des Heil(igen) Röm(ischen) Reichs Graff
von Promniz, Herr zu Forst

und Pförthen, Freiherr der Standes-Herrschaft
Pleß auff Sorau,

Triebel und Naumburg Herr der Herrschaft
Klitzschdorff, Hoch

verdienter General-Maieur etc. Sich
und den Seinen den 28. April A(nn)o

1670. gegründet und im October Anno 1672.

Vollendet. Gott sey die

Ehre denen Ruhenden die auferstehung zum Leben

Tłum.: Grobowce, które z Bogiem wielmożny hrabia i dziedzic, pan Ulrich, Świętego Cesarstwa Rzymskiego hrabia von Promniz, pan na Forst i Brodach, baron państwa stanowego Pszczyny, (pan) na Żarach, Trzebielu i Nowogrodzie, pan władztwa Kliczków i wielce zasłużony generał major, dla siebie i swoich (członków rodziny) założył dnia 28 kwietnia 1670 roku, a w październiku 1672 roku ukończył. Bogu niech będzie cześć, a tym spoczywającym (tu) zmartwychwstanie do życia.

Urodzony w żarskim zamku hrabia Ulrich jedynie czasowo (1664-1678) sprawował władzę nad miastem, opiekując się nieletnim bratankiem Balthasarem Erdmannem. Zmarł w Brodach w 1695 roku, wcześniej polecając pochować w ufundowanej krypcie swoje liczne potomstwo. Historia panowania Promnitzów w Żarach powoli dobiegała już jednak końca. Wprawdzie największe zasługi dla miasta położył syn Balthasara, budowniczy pała-

cu, dobroczyńca kościołów i szkół Erdmann II, lecz jego następcą Johann Erdmann, nie mając męskiego potomka, sprzedał w 1765 roku państwo stanowe Żary-Trzebiel elektorowi saskiemu.

Zdecydowanie niepełny wykaz pochowanych w kryptach żarskiego kościoła opublikowany w katalogu zabytków z 1939 roku odnotowywał w jednej z krypt dziewięć cynowych sarkofagów z XVII-XVIII wieku, w kolejnej „proste trumny” z tego samego okresu. Wiemy, że na przestrzeni blisko dwustu lat złożonych w nich musiało być znacznie więcej osób. W tym gronie znajdowało się m.in. rodzeństwo i potomkowie Erdmanna II. Trumny i sarkofagi opatrowano inskrypcjami identyfikującymi, lecz naturalne procesy rozkładu zachodzące w kryptach powodowały, że bez pomocy źródeł pisanych dokładnej ich liczby nie da się ustalić. Plądrowanie tego typu obiektów, znane z historii, ale typowe zwłaszcza w okresie powojennym, dramatycznie jednak pogorszyło i tak ograniczony zasób informacji.

Główną przyczyną, która doprowadziła kościół do ogromnej degradacji, był nalot z 11 kwietnia 1944 roku. Amerykańskie lotnictwo zaatakowało wówczas niemieckie zakłady zbrojeniowe, ale bardzo ucierpiało też samo miasto i jego zabytki. Przez trzy dekady farę użytkowano jedynie połowicznie – prezbiterium zajęli wierni Kościoła polskokatolickiego, tymczasem nawy popadały w coraz większą ruinę. Pomimo, że wskutek ataku budowla nie została poważnie uszkodzona, to pozbawiona pokrycia dachu, niezabezpieczona i sztucznie podzielona niszczała i stała się celem szabrowników. Jak już wspomniano,

nie wiadomo dokładnie, kiedy sarkofagi opuściły kościół. Świadkowie potwierdzają, że były one widziane (jako rozbite) jeszcze w latach 60. przy Placu Kościelnym. Odnaleźć można także zdjęcia przedstawiające najpewniej pokrywy od kamiennych sarkofagów leżące właśnie przy kościele. Wielka odbudowa świątyni z lat 70. całkowicie zmieniła jej wystrój. W starszej krypcie urządzono pomieszczenie grzewcze. W tym miejscu nasuwa się pytanie: co stało się ze szczątkami pochowanych w niej ludzi? Częściowe odpowiedzi udzieliły prace antropologiczne w 2023 roku. Opisywana krypta, która służyła też jako magazyn, za składowanymi tam przez bardzo długi czas przedmiotami kryła smutną tajemnicę. Prace porządkowe rozpoczęte w 2022 roku umożliwiły swobodny dostęp do komory bocznej. W niej, za prowizorycznie ułożoną z cegieł ścianką, znajdowały się przemieszane z gruzem szczątki ludzkie. W nowszej krypcie, w zniszczonym sarkofagu, także zanotowano materiał kostny. O ile informacja ta była znana autorom artykułu, o tyle tajemnice „magazynu” odsłoniły się po raz pierwszy. Rozpoczął się zmuśniony proces poszukiwania funduszy, które umożliwiłyby skorzystanie z usług specjalisty, posiadającego kwalifikacje do wykonania badań antropologicznych. Po wielu staraniach i próbach pozyskania środków, w 2023 roku, dzięki zaangażowaniu prywatnego sponsora, udało się sprowadzić antropolog Joannę Wysocką z Wrocławia. Prace trwające od 17 do 19 sierpnia były skomplikowane z uwagi na trudny dostęp do szczątków oraz wysokie temperatury. Dzięki tym badaniom uzyskano informa-



Joanna Wysocka podczas badań w kryptach kościoła farnego

cję, że w dwóch kryptach zachowały się szczątki 32 osób – w starszej 25, w nowszej siedmiu. Wiele z nich należy do dzieci. Niestety tylko jeden szkielet można było ułożyć w pozycji niemalże anatomicznej, a z kilku zachowały się tylko pojedyncze kości. Co więc stało się z resztą szczątków z dwóch krypt? Gdzie wywieziono sarkofagi? Tego może już nigdy się nie dowiemy. Najistotniejsze jest to, że w styczniu 2024 roku, ponownie dzięki pełnemu zrozumieniu wagi tej kwestii, Zakład Pogrzebowy AVA z Żar ufundował dwie trumny, które ustawiono w krypcie pod kaplicą Promnitzów. Ułożono w nich, obok zniszczonego sarkofagu, w którym spoczywa siedem osób, szczątki ze starszej krypty. Tym sposobem zakończony został długi proces przywracania dawnym właścicielom miasta spokoju i godnego miejsca wiecznego spoczynku, symbolicznie spinając okres 1672-2024 oraz czyniąc zadość życzeniu hrabiego Ulricha.

Okiem antropologa

Praca antropologa fizycznego w przypadku badań szczątków ludzkich z krypt jest szczególnym zadaniem wymagającym przygotowania, zarówno pod względem ubioru (zabezpieczenia własnego zdrowia), jak i sprzętu. Często wiąże się z wchodzeniem do wąskich i niskich pomieszczeń, czasami nawet wewnątrz sarkofagów, które przez długie lata nie były odwiedzane przez nikogo innego, a w których mikroorganizmy mogły rozwijać się w dogodnych warunkach. Nie mając pewności, czy pomieszczenie takie jest bezpieczne, należy dla własnego i innych dobra zamienić się niemalże w postać niczym z seriali NCIS. Wiąże się to z ubraniem plastikowego kombinezonu zakrywającego włosy, butów łatwych do dezynfekcji, rękawiczek, maski, a czasem także okularów ochronnych. Ten niewygodny i mało przewiewny strój pozwala na ochronę przed „niewidzialnymi zabójcami”, przez innych nazywanych „kłątwą”. Chodzi tutaj o grzyby, m.in. *Aspergillus flavus* (kropidlak żółty), który najprawdopodobniej przyczynił się do śmierci badacza grobowca Kazimierza Jagiellończyka, a którego działania zostały nazwane przez prasę „kłątwą Jagiellończyka”.

Celem badań antropologicznych w krypcie jest dokumentacja ułożenia szczątek *in situ*, w miejscu

znalezienia oraz ich interpretacja i wydobywanie. Następnie ustala się liczbę osób, ich profil biologiczny (płeć, wiek, wysokość ciała) oraz notuje zmiany patologiczne, mogące świadczyć o chorobach. W przypadku badań w krypcie pod kościołem pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Żarach, szczątki odnaleziono w stanie przemieszanym oraz często pofragmentowane i uszkodzone. Wskazuje to na przenoszenie lub ingerowanie w ich ułożenie już po wstępnym rozkładzie ciała. Kości nie znajdowały się w pozycji anatomicznej, były natomiast przemieszane z ziemią, kamieniami, cegłami i kośćmi zwierzęcymi. W takim przypadku analiza antropologiczna jest utrudniona. Często nie można „przyrasować” kości od jednej osoby, jeśli przemieszany materiał zawiera dużą liczbę osobników. Pierwszym zadaniem jest tutaj podział na kości osób młodocianych (dzieci i nastolatków, których trzony kości nie są zróżnicowane z nasadami – co pozwala na wzrost) i osób dorosłych. Następnie należy podzielić szczątki ze względu na przyporządkowanie anatomiczne, czyli kości: prawe



udowe, lewe udowe, prawe promieniowe, lewe promieniowe itd. Jest to żmudny etap pracy, który pozwala na ocenę minimalnej liczby osobników (MNI – minimal number of individuals), do których należały przemieszane kości. Stosując te metody, udało się ustalić, że szczątki w krypcie należały do 15 osób dorosłych i 10 młodocianych w wieku 4-20 lat.

W przypadku drugiej, młodszej krypty, szczątki podjęte z sarkofagu należały do trojga dorosłych oraz czwórki dzieci w wieku od niemowlęcego do 10 roku życia. Tutaj mała liczba kości oraz różnice

w ich morfologii pozwoliły na dopasowanie większości kośćca do młodej kobiety (20-24 lat), której szkielet był kompletny w ponad połowie. Pozostałe szczątki dwóch osób dorosłych składały się już tylko z pojedynczych kości, mimo to liczba prawych kości ramiennych zdecydowanie wskazywała na obecność szczątków od przynajmniej trzech osób. Dodatkowym „ułatwieniem” w takim przypadku jest również dynamiczny rozwój kośćca dzieci, który pozwala na rozróżnienie szczątków dzieci w różnym wieku.

Bibliografia

Buikstr J. E., Ubelaker D. H., *Standards for Data Collection from Human Skeletal Remains*, Research Series No. 44, Fayetteville: Arkansas Archeological Survey 1994.

Schaefer M., Black S. M., Schaefer M. C., Scheuer L., *Juvenile osteology*, London: Academic Press 2009.

Święch Z., *Kłątwy, Mikroby i Uczeni*, Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1989.

Die Kunstdenkmäler des Kreises Sorau und der Stadt Forst, bearb. von H. E. Kubach, J. Seeger, Berlin 1939.

Wysocka J., *Analiza antropologiczna szczątków z krypty spod kościoła farnego (Kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa) w Żarach*, sierpień 2023 – dokumentacja nieopublikowana.

Kościół Parafialny P.W. N.M.P /obecnie p.w. Dobrego Pasterza/ w Żarach woj. Zielonogórskie, Szczecin 1966, Dokumentacja przygotowana przez Różę Kąsinowską w zbiorach Lubuskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków.

Polak A., Karp P., *Kościół i ich wyposażenie na terenie miasta oraz gminy Żary. Przeszłość – Teraźniejszość*, Żary 2022.

Polak A., *Zarys dziejów wybranych zabytków Żar*, [w:] *Dzieje Żar do 1815 roku. Przeszłość zapisana w kamieniu i na papierze*, red. L.C. Belzyt, Żary 2022.

Prezentacje

Tomasz Daiksler

Rocznik 1980, absolwent Instytutu Sztuk Pięknych na Uniwersytecie Zielonogórskim. Dyplom z malarstwa uzyskał w pracowni prof. Stanisława Kortyki i asyst. ad. Jacka Dłużewskiego. Posiada również Aneks z fotografii w pracowni ad. Leszka Krutulskiego. Uprawia malarstwo, rysunek, fotografię i wideo. Członek ZPAP od 2007 roku (od 2023 prezes zielonogórskiego oddziału). Uczestnik kilku wystaw indywidualnych malarskich i fotograficznych oraz kilkudziesięciu wystaw zbiorowych w Polsce i za granicą. Jego prace znajdują się w zbiorach prywatnych, muzealnych i instytucjach kulturalnych. Oprócz malowania dużą część codzienności poświęca również na fotografowanie i filmowanie oraz na propagowanie innych artystów w mediach i w wydarzeniach kulturalnych.

Tomasz Daiksler o sobie

Tematykę moich obrazów czerpię z codziennej obserwacji otoczenia i świata. Staram się pokazać w nich pewien fragment życia, uchwycony w nieokreślonym czasie, opowiedzieć historię na pozór banalną, pokazać miejsca z innego punktu widzenia, zależnego od światła, perspektywy oraz od zestawienia względem siebie przedmiotów i zjawisk codziennego życia. Chcę nawiązywać dialog z widzem poprzez odczucia.

Większość zamieszczonych tutaj obrazów pochodzi z cyklu „Podróż do obrazu z pokoju”. Obrazy te są moją wędrówką do świata z obrazu z mojego rodzinnego domu. Przedstawiał on pejzaż z wiejskim domem, polem, strumykiem i brzozą. Od dziecka wpatrywałem się w niego godzinami, ponieważ pragnąłem choć na chwilę się tam znaleźć. Z upływem lat ta potrzeba nie wygasła, ale za to przyszedł pomysł, jak mogę odrobinę doświadczyć tego miejsca i wrażeń z nim związanych. Odbylem więc czterodniową podróż do świata z obrazu. Moimi bohaterami są dzieci i koty. Dzieci symbolizują świat szczerzy, prawdziwy oraz beztroski, a koty niezależność i łączność z przyrodą, z jej akceptacją.



Podwójna nieskończoność z pracowni Tomasza Daikslera

– Malowanie od zawsze przychodziło mi bardzo łatwo – przyznaje Tomasz Daiksler, ale podczas rozmowy okazuje się, że łatwość wykonywania sztuki jest jak poczucie bliskości z nią. Artysta ją czuje, ale może tracić przekonanie, a wręcz wiarę w nią wiele razy. I to jest podwójne wrażenie nieskończoności w sztuce, bo póki tworzyć będzie, póty nie da się policzyć, ile razy odwróci się od sztalugi z niechęcią. Podobnie jak siła do porzucania sztuki, tak i łatwość jej tworzenia wydają się być nieskończone.

Pierwsze wspomnienie łatwości tworzenia zostało w pociągu, w którym Tomasz jechał z ojcem do sanatorium. Miał niecałe pięć lat. Miarowy stukot kół mógłby dziecko uspić, ale chęć do obserwacji otoczenia przeważała. Narysował współpasażera. A mężczyzna się zachwycił, bo na kartce papieru rozpoznał się, jak w lustrzanym odbiciu. Niedługo potem przyszła złość, bo w pierwszej klasie podstawówki nauczycielka nie uwierzyła, że to chude dziecko jest autorem zadanej ilustracji, a nie ktoś dorosły.

Kiedy dzieci uciekają w fantazje, mały Tomek wie, jak się otwiera drzwi do tego świata. Wystarczy spojrzeć na obraz. To mógł być nawet pospolity pejzaż namalowany przez domokrążcę, zdobiący pokój w rodzinnym domu. Wpatrywał się w niego godzinami. Zastanawiał, jak został namalowany. Rozmyślał o tym, co jest na obrazie, aż się w nim zatracił.

– Nie czułem się z malowaniem lepiej, ani jako wyróżniony. Nie zdawałem sobie sprawy z poziomu, jaki miałem. Było mi miło, że innym się podoba – mówi o malowaniu w czasach szkolnych. – A już później, kiedy dotknąłem sztuki, przyszedł czas, że straciłem sens malowania – dodaje.

Ogół tego nie rozumiał, więc nie apróbował

Powodem był nie tyle brak zapotrzebowania, co ograniczenie kadru, w którym mógł się w pełni na obrazie wypowiedzieć. Wtedy zainteresował się filmem. I został z nim dziesięć lat.

Widz filmu okazał się wdzięcznym odbiorcą, podobnie jak obserwatorzy malarstwa, ale jedynie tego akademickiego. Zaawansowane techniki, fascynacja plamą, kreską czy kolorem na granicy absurdu – tego ogół nie rozumiał, więc nie apróbował. Zdarzało się, że zamawiający obraz chciał na płótnie wymuskanego efektu i nie szło tylko o strukturę kładzonej farby, żeby była, jak szkło równe, ale by uwieczniano na obrazie miał np. więcej włosów, a mniej zmarszczek. To było dla twórcy frustrujące.

– Każdy w jakimś sensie może być i jest artystą, kiedy uczestniczy w procesie tworzenia. Jedni mogą malować, inni piec czy gotować, a jedzenie może nabierać rangi sztuki. Ktoś inny może być mechanikiem samochodowym i potrafić samemu stworzyć potrzebne części. Dla mnie to też jest sztuka – wyjaśnia i mówi dalej o dotykaniu misterium tworzenia i powoływania czegoś do życia, co potwierdza, że mimo przerw i porzucania sztalugi na jego palecie nie bledną kolory.

Malowanie jest jak powietrze. Bez niego życie tak nie cieszy

Kolejny moment zmęczenia sztuką przyszedł w pracy z dziełami artystów o znanych nazwiskach. Kiedy zachwył nad twórczością pana X czy Y mnoży się wraz z ilością popełnionych przez niego rysunków, Tomasz widzi, że nie każdemu obrazkowi należy się uwaga. Czuje potrzebę przerwy i zmiany. – Straciłem wiarę. Nie bałem się powiedzieć, że Boga nie ma – wspomina. Wyjeżdża z kraju na sześć lat. Czas opieki nad mężczyzną z porażeniem mózgowym w Wielkiej Brytanii biegł inaczej. Brak ciągłego pośpiechu zrobił miejsce na

rozmyślania nad sensem życia i pojawiła się tęsknota do Boga. Znajomi polecali rekolekcje ignacjańskie – to rodzaj spotkań modlitewnych, w których rozmowa z Bogiem jest jeszcze dłuższa i jeszcze bardziej osobista, i odbywa się w milczeniu. Tam trafił na ulotkę o warsztatach malowania ikon i zgłębiania wiary. O ikonach jeszcze wtedy nie myślał, że będzie ich twórcą, chciał tylko kupić jedną na komunijny prezent. Te najszybciej dostępne, za kilkaset złotych okazały się nadrukami, obitymi plastikiem, który miał imitować złoto lub srebro, a naklejona z tyłu informacja miała przekonać, że dzieło zostało stworzone na Świętej Górze Athos w Grecji. Taka imitacja go nie interesowała. Wtedy los, a może Pan Bóg, pokierował go tak, że na wspomnianych rekolekcjach trafił na tę ulotkę, pojechał na warsztaty, a teraz sam tworzy ikony.

– Zaczynając znowu malować, poczułem radość, przypomniało mi się, jakie to jest fajne, jak ja to w ogóle lubię. Poczułem, jakbym wrócił do miłości. Stwierdziłem, że malowanie jest dla mnie jak powietrze, że bez niego życie tak nie cieszy. I znowu zacząłem się tym zajmować, ale postanowiłem, że nie dopuszczę już do sytuacji w życiu, żebym był zmuszony malować tak, jak ktoś chce. To daje wolność twórczą i bycie uczciwym samemu ze sobą – przekonuje.

Ikona pozwala zgłębiać wiare

Tę wolność twórczą odczuwa ostatnio właśnie podczas malowania ikon.

– Ikona jest traktowana jako okno do kontaktu z Panem Bogiem. Nie zawsze ma być naturalistyczna, realistyczna. Ma coś przedstawiać, dzięki czemu jest nam łatwiej się skupić. Mnie też łatwiej było modlić się przy ikonie niż przy obrazie barokowej Madonny z pulchnym Jezusem i aniołkami. Ikony lubię, bo to dla mnie zgłębianie wiary – przyznaje, bo wie, że w ikonie wszystko ma znaczenie, jest porządek i ład.

Docenia też współczesne ikony, zwłaszcza autorstwa Jerzego Nowosielskiego czy innych współczesnych twórców.

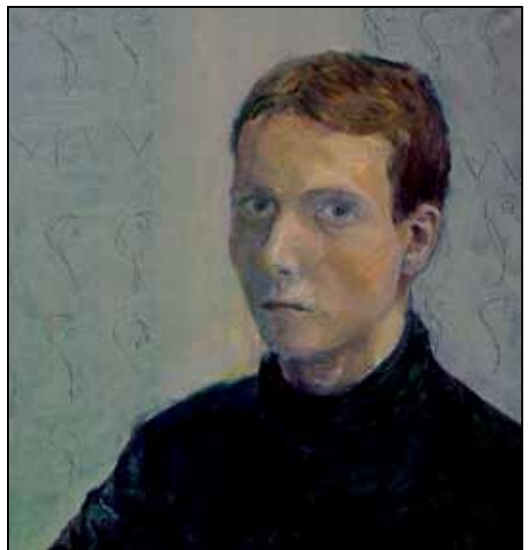
– Nabiorę pewności w tworzeniu ikon. Pewnie będę chciał pójść w stronę tych, które malował Nowosielski. Najpierw chcę poczuć i zrozumieć dokładnie przyczynowość i skutkowość. Każdy element ikony ma swoją symbolikę. Kiedy będę ją dokładnie znał, będzie mi łatwiej stworzyć coś własnego w kanonie ikony – planuje.

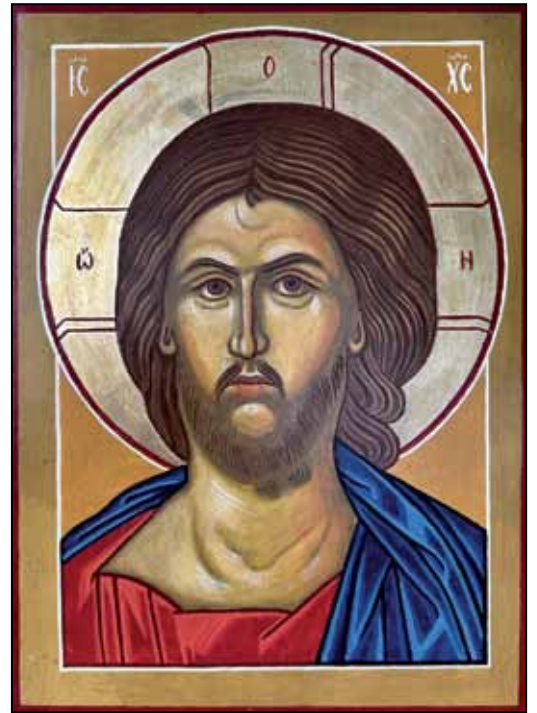
W pracowni Tomasza obejrzeć można kilka takich dzieł. Rudowłosa Matka Boska spogląda z górnej półki. Wśród tubek z farbami wydobywa się szkic wizerunku św. Franciszka. Sacrum się tutaj czuje, ale obecne jest też profanum. Na sztaludze wrazenie robi dotyk dłoni mężczyzny i kobiety. – Często miłość zaczyna się od uścisku, poprzez delikatność widać uczucie. To jest taka czysta, prawdziwa miłość, która jest nieskończona. Dłonie mogą więcej powiedzieć o człowieku niż twarze, na które często zakładane są maski – wyjaśnia. Te dłonie są szczególnie dla niego również dlatego, że to jego własna dłoń i jego partnerki Oli, jego wielkiej miłości.





鹤诞生







RECENZJE I OMÓWIENIA



Misternie tkane wersy na drodze w międzyświat

Konrad Wojtyła, *Scherzofrenia*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2023, 60 s.

Twórczość Konrada Wojtyły jest intelektualna i głęboko emocjonalna jednocześnie. Każda książka to osobna historia podszyta życiowym doświadczeniem, zrozumianym i przedstawionym w wybitnie dobranych metaforach. Sam autor przyznaje, że praca ze słowem jest jego wewnętrzną potrzebą. Pośród licznych spraw, obowiązków zawodowych i życiowej rutyny przychodzi taki moment, kiedy trzeba powiedzieć coś literami na papierze:

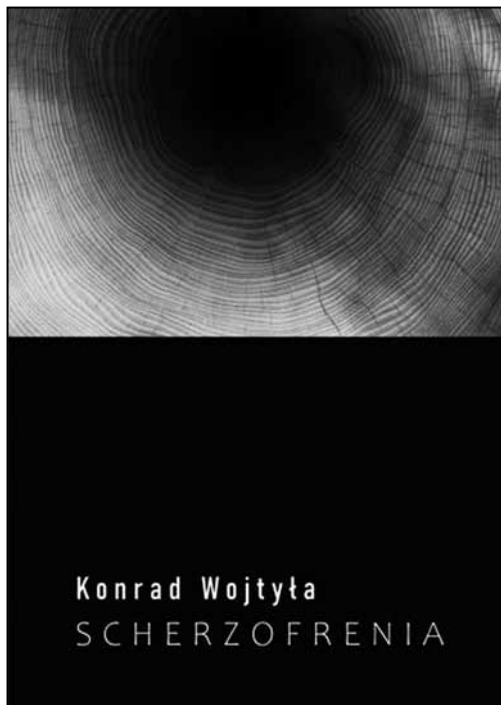
Piszę raczej na chłodno, z precyzją, nigdy w emocjach. Czasem daję się ponieść frazie, a później sprawdzam, czy to miało sens. Moje książki są konceptualne, dopracowane. Staram się, by nic nie działo się przypadkowo. Wiersze są ułożone według określonego wzorca, tworzą zawsze jakąś opowieść. Da się je oczywiście czytać wybiórczo, ale pewne sensory daje się odkryć dopiero po przeczytaniu całości i w narzuconym przeze mnie porządku. Literatura to nie rutyna. Ciężka praca – owszem. Praca nad tym, by to, co piszesz, złamało komuś serce albo nim wstrząsnęło. Tu nie ma miejsca na obojętność. Od czasu do czasu towarzyszy mi satysfakcja, że czyta się to po latach bez przykrości!

Siądmy tom wierszy Konrada Wojtyły *Scherzofrenia*, który ukazał się latem 2023 roku w wydawnictwie Instytutu Mikołowskiego im. Rafała Wojaczka, jest logiczną kontynuacją twórczej historii pisarza. Poeta ma swoje tematy, spośród których na plan pierwszy wysuwają się: (bez)sens ludzkiego życia, utrata, śmierć, splątane uczucia, religijne rytuały. Mają one szczególnie symboliczne znaczenie: jeszcze głębiej podkreślają fatalność ludzkiego bytu, będąc zarazem poszukiwaniem w nim siebie i odbiciem autorskiego „ja” w różnych eksperymentalnych formach i zasobach literackiego przekazu. Wiersze łączą różne konteksty i różne światy – świat realny, twórczy, pozagrobowy. Odwołują się zarówno do logiki rozumienia powiedzianego przez poetyckie słowo, jak i silnego emocjonalnego wpływu za pomocą obrazów wizualnych, słuchowych, dotykowych oraz instynktów. Pomostem do łączenia tych światów w jedną całość stają się metafory i neologizmy, które rodzą nowe – nieoczekiwane – sensory. „Scherzofrenia” staje się przystankiem na granicy światów, punktem wyjścia ze strefy komfortu, pretekstem do przemyślenia trudnych tematów i próbą odnalezienia wyższego sensu, gdzie mimo nieustannego bólu i straty, na końcu pojawia się jakaś forma *katharsis*.

¹ *Czy można nauczyć się być pisarzem?* (wywiad z dr. Konradem Wojtyłą przeprowadzony przez Mirosławę Rudyk), <https://nisiuradio.pl/77-wywiady/2371-czy-mozna-nauczyc-sie-byc-pisarzem-wywiad-z-dr-konradem-wojtyla-pol-ukr>

sie-byc-pisarzem-wywiad-z-dr-konradem-wojtyla-pol-ukr [dostęp: 3 lutego 2024].

Tytuł *Scherzofrenia* jest neologizmem, który składa się z dwóch elementów: „scherzo” jako część utworu muzycznego, który bierze początek z menueta i ma nieco żartobliwy ton i żywiołowy charakter, i druga: „frenia” – jako choroba. Połączenie tych części konotuje ze schizofrenią i wskazuje na chorobę psychiczną, ale służy autorowi jako środek trawestowania typowego określenia rozszczepienia osobowości. Żartobliwa melodia i ciężka choroba psychiczna tworzą nie tylko nowy wyraz, ale i pewien kod, bo „scherzo” to również część dużego utworu muzycznego, takiego jak symfonia czy sonata. Termin ma wiele odcieni, a jego pierwsze udokumentowane użycia miały miejsce w epoce baroku. Ta część wskazuje na wewnętrzną rytmikę i estetykę poetyckiego słowa, inna zaś na rozczłonkowanie, a nawet rozerwanie naturalnych związków, co też zauważamy na poziomie językowym, który tworzy autorski idiom poetycki. Ten koncept pozwala na odszyfrowanie wewnętrznych kodów, które zawierają w sobie kierunki nieznanymi zwrotów oświetlających stałą niepowtarzalność życia. Wszystko to



wzmacnia odbiór tekstów na poziomie umysłu, serca i podświadomości. Słowna gra i umiejętność łączenia widocznie niespójnych rzeczy jest fascynującą lekturą przygodą.

W *Scherzofrenii* poeta tworzy zachwycający obraz konfliktu światła i ciemności, rzeczywistości i fantazji. Metafory wzmagają stan rozszczepienia świadomości, czyniąc wiersz niewypowiedzianą podróżą po labiryncie ludzkiej duszy, nadając jej muzycznego akompaniamentu:

Fumy i scherzo. Zabawy tragiczne. Intermezzo i nokturny. Marsz weselny i bieg pogrzebowy pod sam ląd. Panny niemłode i niewinne wdowy.

Strategia autora – w zgodzie z koncepcją współnazwy tytułu książki – opiera się na budowaniu autonomicznych „słów-obrazów”, które nie tylko niwelują dotychczasowe znaczenia słów i związków wyrazowych, ale też nadają nowe konteksty i służą nowym ujęciom. Na przykład: „ścianka płaczu”, „spowieść”, „bezsłów”, „po czucie”, „Kołogrzeb”, „umie, rani”, „wypis z urojenia” czy „nie-niebo”. Ten zabieg poety uruchamia rozpad struktury zewnętrznej rzeczywistości w wierszu i zarazem pozwala na tworzenie nowych nieznanymi sensów, które ukazują świat i zdarzenia z innej perspektywy, raczej niespodziewanej dla czytelnika. Także w następnym wierszu zatytułowanym *Dąsy* poecie udaje się za imponować czytelnikowi głęboką refleksją o naturze życia i jego nieprzewidywalności. Użycie metafor i asonansów tworzy unikalny rytm, który spowija poszczególne wersy:

Żywe płomienie Eddy nigdy
nie zawodzą zachwycać, jak sagi
kłamstw, trytony i dysonanse.
Pewnie masz mi za złą całą
armię kenningów i asonansów,
które wysyłam przeciwko tobie.

Także wiersz *Szukanie*, który nieprzypadkowo otwiera książkę, bo jest początkiem lirycznej opowieści, zaskakuje intensywnością i różnorodnością obrazów. Metafory tutaj niemal tańczą, tworząc wra-

zenie, że czytelnik znajduje się w wirze prawdziwej podróży przez labirynt poetyckiej wyobraźni. Autor lojalnie przestrzega przed wejściem w ten świat:

Nie znajdziesz tu nic dobrego,
tylko wiązki światła ciemne;
związki myśli – łzę, dławicę
mgławic, co sennie zakrywa
fantomy i dziwactwa zdarzeń.
Wymaż więc to, co jawi się
jeszcze – żeby nie mogło być
powiedziane, że mi daleko
do ciebie. I żeby nie było,
że tobie do mnie głęboko
aż nadto.

Wiersz *Ze przeciwko* zachwyca zarówno swoją prostotą, jak głębią treści. Poczucie niezgody i walki rozgrywa się tu na poziomie wersyfikacji (mocne przerzutnie) i zaburzonej składni:

Nie dopuszczamy
do siebie myśli,
że to wszystko
układa się w piach.
Ze przeciwko nam
to.

Umie, rani odsłania wewnętrzny świat autora przez pryzmat lęków i trosk. Zdolność metafor, by ranić jak nóż, nadaje wierszowi głębi i ekspresji:

Ten czuły strach, jak esperal pod łopatką
– prostą kładką bez rąk – niosę ci z punktu
a do be; z wysokiego ce tę śmierć znoszę.

Pustka po psotce – to z kolei emocjonalna podróż w świat utraty i strachu przed rozstaniem, ucieleśnienie uczuć w symbolicznych obrazach. Kula żalu, która toczy się jak lawina, plastycznie opisuje wewnętrzny konflikt i pragnienie znalezienia związku między przeszłością a teraźniejszością. Za pomocą trafnych metafor i mistrzowsko dobranych słów poeta zdradza swoje obawy:

Już się boję, jak to boli – bez ciebie.
Ciało obraca się w proch. Pustka
w psotkę.

Ścianka płaczu zbudowana jest z kontrastowych ujęć. Wojtyła zaczyna wiersz od stanu miękkości, ale szybko przekształca go w opis bólu i trudnych doświadczeń. Mocne zestawienia wzmagają wrażenie fizycznego cierpienia, a wprawny czytelnik odkryje tu aluzję do męczeństwa Jezusa. Chodzi tu i o proces przemiany, jak też element walki i konfliktu. Autor wykorzystuje moc słowa, aby opisać dramatyczne sytuacje, ale też nadać opowieści dynamiki i ekspresji:

Mekko zbyt lekko
wchodzisz mi
w krzyż – w zebro;
język pod gwóźdź.
Ocet w ziemię – w skórę.
Rozruch w puch.
Podbój na zabój

W wierszu *Koda* autorowi artystycznie udaje się odwzorować portret rzeczywistości, którą tworzą „nowe nawyki” i „stare nałogi”, a „znana koda” podkreśla niewidzialny związek z Twórcą i głęboką tęsknotę:

W bezkrólewie liter, w rząd pauz. W głuche
trele dzwonka, w gry na przeczekanie. Luki
w latopisie. Ślad boga, który minął.

Teksty Wojtyły, mocno splecione symboliką i mistrzostwem wyrazu, proponują czytelnikowi zrozumienie istoty straty, pustki i nieograniczonego żalu. Autor potrafi zachwycać, ale i zaskakiwać czytelnika umiejętnością wyrażania uczuć i myśli w oryginalny, a nierzadko prowokacyjny, sposób. W każdym wierszu Wojtyły metafory nie tylko ozdabiają teksty, tworząc pewną autorską estetykę języka, ale i stają się kluczem do rozszyfrowania głęboko emocjonalnych i filozoficznych poziomów tej poezji: zapraszają do odkrywania nowych warstw znaczeń i dają możliwość reinterpretacji świata i własnego bycia w nim. *Scherzofrenia* to nowatorskie odwzorowanie zaburzonych rytmów życia rozpuszczonego w literackich obrazach.

Mirosława Rudyk

Być o krok przed nimi

Roksana Polon, *Śliwki w czekoladzie*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Zielona Góra 2023, 64 s.

Zacznijmy od śliwek w czekoladzie. To jest konkret. Być może nawet konkret egzystencjalny. *Res extensa*. Wspomniane śliwki pojawiają się w takim oto towarzystwie znaczeń:

boję się pisać o naszych wspomnieniach
bo czasem myślę, że wtedy umierasz
że wiesz, że cię zęgnam i robię zapasy
śliwek w czekoladzie na kolejne święta

Są więc czymś więcej niż przypadkową, słodką przekąską, uderzeniem cukru. To coś nierozdzielnie skojarzonego z osobą bliskiej kobiety (babci – choć to określenie nie zostało użyte w książce), której odejście jest przeczuwane, a następnie – przeżywane. I nie jest istotne, czy śliwki były prezentem od niej czy dla niej, ale że stanowiły pewną tradycję, były stałym znakiem świąt w jej towarzystwie. I jednocześnie były też kompulsywnym sposobem radzenia sobie z przewidywaną śmiercią, próbą zaczarowania tego, co nastąpi. Śliwki i śmierć łączy też coś więcej (poza inicjalnym „ś”) – pojawiają się w książce Roksany Bach bardzo rzadko. Są zepchnięte na margines. A jednak to one stanowią o głównym temacie, który domaga się wypowiedzenia: „boję się nie pisać o naszych spojrzeniach / bo czasem myślę, że wtedy umieram”.

Przy pierwszej lekturze uderzyła mnie intensywność niepokoju. Podmiotka jest aż nadto wyczulona na wszelki moment, bo „kiedy odwiedzę cię po raz ostatni/ nie będę wiedzieć, że to już ta chwila”. Więc stosuje zasadę: traktować każde spotkanie jako ostatnie z hiperdokładną percepcją, męczącą zapewne, bo angażującą w sposób totalny. Wyobraża też sobie kryzysową reakcję własnego ciała:

i może poczuję ten ścisk
gdzieś w żołądku, mdłości,
nerwy, szklaną zastonę

Tomik otwiera proza poetycka pt. *Telefony*. Znajdziemy w niej taki fragment: „Dzwonię do ciebie z pewną obawą, a każdy przedłużający się sygnał połączenia tylko ją nasila. Ale w końcu odbierasz i niewypowiedziany lęk osiada na wilgotnych wargach, kiedy się witamy. Przeżuwam go, gorzko rozgryzam i w końcu połykam, aż jestem nim syta”. I coraz bardziej nabieram wrażenia, że te tytułowe śliwki są jakby metonimią lęku. Ich gromadzenie nie służy zaspokajaniu głodu. Raczej świadczy o braku bezpieczeństwa. Wyrazem uzewnętrznionego lęku był też wielokrotnie pojawiający się „koralik skrzepu” – umiejscowiony między palcem wskazującym a kciukiem kobiety. Widoczny, namierzony. Koralek brzmi jak zabawka, coś ozdabiającego, a jednak stanowi realne zagrożenie. Przypomina w każdej chwili o nieuniknionym („skrzep krąży w naszych spojrzeniach, rozpycha się nieregularnym kształtem i ostrą formą”), choć nie do końca jest pewne, czy był on bezpośrednią przyczyną zgonu, a kasandryczne stwierdzenie: „mówisz, że ten skrzep dojdzie w końcu do mojego serca” stało się rzeczywistością. I jestem w stanie sobie wyobrazić, że skrzep z ręki babci wędruje do serca bohaterki. Jest więc niebezpieczny podwójnie.

Kolejny utwór nazwany *połączenia – prolog* jest jakby esencją z poprzedniego tekstu, przytoczę go w całości:

trzy sygnały budzą niespokojne myśli
czwarty lęk
a piąty strach

odbierasz

jednak gramy od nowa

„Gra od nowa” to z jednej strony ulga, poczucie nowego rozdania, dodatkowego czasu. Ale z drugiej strony – prawdziwa ulga przychodzi dopiero ze śmiercią bliskiej osoby. Wydarza się coś, co i tak mu-

siało nastąpić i wreszcie nastąpiło („a więc naprawdę cię nie ma”). Nadejście śmierci było mało okazałe, choć – jak podkreśla poetka – na jej zasadach: „umartaś w łóżku, zupełnie tak jak chciałaś”. I nieco dalej dodaje: „ledwo zaczęłaś tydzień, a skończyłaś życie/ może pomyślałaś, że to tylko drzemka, spadek formy/ może przespałaś”. Została pustka. Nie wyobrażona, ale rzeczywista. Mieszkanie zostało sprzedane, a „dziś tylko na mapach Google/ żyjesz; za zasłoną, firanką” (*zagłada mieszkania nr 10*). I tu właśnie zaczyna się właściwa żałoba (już nie antycypująca). Przypomina mi to lekturę książki Joan Didion *Rok magicznego myślenia* i samoobserwację, jakiej dokonuje autorka w obliczu straty. Bohaterka *Śliwki* wyznaczyła sobie trudne zadanie: „chcę cię zapamiętać rzetelnie nieludzko/ każde tak, każde nie, machnięcie bez słowa dłonią”. Wymaga więc od siebie dogłębnej analizy, niemożliwej pracy pamięci. Nic bardziej nie przydałoby się bohaterce niż opamiętanie technik zapominania – można pomyśleć.

Wszystko jest relikwią

Śliwki w czekoladzie dotykają uniwersalnego doświadczenia wyjątkowości i jednocześnie obcości rzeczy po zmarłym. Poetka przywołuje m.in. biskoptowy sweter, krzesła, zdjęcia, teczkę świadectw, plastikową miskę, filiżanki z Chodzieży, firankę, notes z wylczeniami, ręcznik. Powstaje litania przedmiotów, z którymi nie wiadomo, co zrobić, bo np. firanka nie pasuje do żadnego innego okna. Jawi się ambiwalentność pozostawionych rzeczy: z jednej strony są na wagę złota, a z drugiej – na śmieci. Przychodzi mi na myśl bohaterka książki Bronki Nowickiej *Nakarmić kamień*, która przywłaszcza sobie grzebień i mówi: „Jeszcze jest w nim dziadek. Biorę sobie ciebie, grzebieniu, za pamięć”. Rzecz zaczyna odsyłać do człowieka, którego już nie ma. To oczywiście nie jedyny przykład zmagania się ze stratą poprzez rzeczy we współczesnej polskiej literaturze. Podobne doświadczenie było udziałem Marcina Wichy, który w nagrodzonej Nagrodą Literacką „Nike” książce pt. *Rzeczy, których nie wyrzucim* porządkował mieszkanie po rodzicach i zapisywał swoje myśli i rozterki. Językowo Roksanie Bach bliżej oczywiście do gęstej prozy Nowickiej (choć wątkiem

głównym jej książki była przemoc wobec dziecka). Zielonogórska debiutantka sięgnęła po temat mocno uniwersalny i taki, który każdy z nas na pewnym etapie życia musi zaliczyć. Nie da się go obejść, pominać. A jeśli się spróbuje odwrócić głowę, to i tak dotrze do nas z innej strony. Z jeszcze większą siłą rażenia. Rokšana Bach poświęca *Śliwki w czekoladzie* swojej żałobie, uwolnieniu „czułości nieujarzmionej”. Ale takiej, która narastała od dziecka, bo ta książka to także studium dziecka wysoko wrażliwego, rozumiejącego i czującego ponad miarę. Uwidacznia się to najbardziej w krótkiej prozie bez tytułu: „[...] Jestem cicho, bo ciszą nie można nikogo zdenerwować. Jestem cicho i nie hałasuję, nie śpię głośno, nie krzyczę, nie zapominam się w zabawie. Nawet już cicho płaczę, bo płacz też denerwuje innych, zwłaszcza ją. A potem idę do szkoły i dostaję miano tego nieśmiałego dziecka, grzecznego, słuchającego się, uważnie obserwującego dorosłych. [...] Być o krok przed nimi [...]”.

Bohaterka tych wierszy – dorosła już – zdaje sobie sprawę ze swojej strategii funkcjonowania. Kon-



troluje całe otoczenie, a także siebie. Pisanie otwiera jednak przestrzeń, w której lęk może być bezkarnie wypowiedziany. Śmierć odblokowuje lęk, ale to poezja zamyka pewien etap.

*

Śliwki w czekoladzie są pełne delikatności, szczegółów, obserwacji i chłodu. Lubię sposób, w jaki poetka kieruje melodią wiersza, jak powtarza frazy, a robi to dosyć chętnie. I pamiętam doskonale, jak kilka lat temu spotkałam ją pierwszy raz na zajęciach z poezji, jak spodobał jej się wiersz Janusza Stycznia i jak pod-

niosła głowę, chcąc przeczytać własny tekst, kiedy wszyscy inni patrzyli w podłogę. Powiedzmy, że mniej więcej od tamtej chwili czekałam na jej książkę.

Przeważa w tym tomiku poezja, ale znajdziemy też trzy fragmenty prozy. Co ważne, silnie ze sobą współgrające, dopełniające się. Poezja brzmi jak proza, a miniatury narracyjne – są skondensowane poetycko. Nie przywiązujemy się zbyt do formy. Wtedy nie zdziwi nas, że lęk może być zapakowany w fioletowe papierki.

Mirosława Szott

Znów wystawmy twarz... ku poezji

***Znów wystawmy twarz do słońca. Antologia poezji lubuskiej 2007-2022*, pod red. Małgorzaty Mikołajczak, Mirosławy Szott, Wydawnictwo Pro Libris, Zielona Góra 2023, 276 s.**

Pod koniec 2023 roku nakładem Pro Libris – Wydawnictwa Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze została wydana *Antologia poezji lubuskiej 2007-2022* zatytułowana *Znów wystawmy twarz do słońca*. Tytuł zaczerpnięto z wiersza *lekcja historii* Agnieszki Leśniewskiej, umieszczonego w zbiorze w towarzystwie czterech innych utworów poetki. Wybór tego wersu na tytuł antologii w moim odczuciu świetnie oddaje specyficzny stosunek twórcy do swojego dzieła, a także niełatwą relację samego twórczego tekstu z odbiorcą. Tom zredagowany został przez Małgorzatę Mikołajczak oraz Mirosławę Szott, a swoją premierę – wzbogaconą spotkaniem z redaktorkami – miał 30 listopada.

Spotkanie promujące publikację okazało się być niezwykle inspirujące. To właśnie wtedy można było nabyć egzemplarz książki oraz posłuchać rozmowy z redaktorkami, która prowadzona była przez Ewę Mielczarek. Prowadząca pytała panie o trudności związane ze stworzeniem tak przekrojowej książki, wybór wierszy, kontakt z autorami oraz proces tworzenia ostatecznej wersji pod względem graficznym. Wspomniano też o poprzednich wydaniach antologii; na przestrzeni lat ukazały się w Wydawnictwie Pro Libris dwie: *Mieszkam w wierszu. Antologia*

poezji lubuskiej oraz *Od słowa do słowa. Antologia poezji lubuskiej 2001-2006*, za których redakcją (w 2001 roku – wraz z Beatą Mirkiewicz) również odpowiadała Małgorzata Mikołajczak – ceniona znawczyni poezji regionalnej. Mirosława Szott natomiast – oprócz bycia równie rozpoznawalną specjalistką – jest czynną poetką oraz twórczynią dramatów, co sprawia, że jej spojrzenie na twórczość lubuską jest nie tylko teoretycznoliterackie, ale również praktyczne, a także, co chyba najbardziej istotne – osobiste, co przecież nie zdarza się tak często, żeby krytyk i teoretyk miał bezpośrednie relacje z twórcami, a także sam zaliczał się do ich grona. Ta sytuacja spowodowała również, że brak w tym zbiorze tekstów Szott. Redaktorka zastrzega, że rezygnuje z publikacji, aczkolwiek czyni to zbiorczą antologię w mojej ocenie wybrakowaną, ponieważ niezależnie od czynników zewnętrznych Szott również jest poetką tworzącą w tamtych latach.

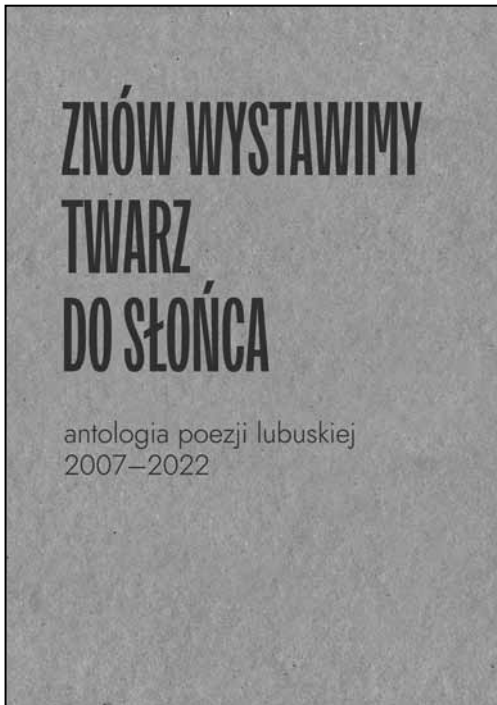
Na spotkaniu panie rozmawiały między innymi o relacji pomiędzy najnowszą edycją zbioru a jej poprzedniczkami, ponieważ zmieniona została całkowicie jej szata graficzna (rozemieszczenie tekstów oraz projekt okładki, za który odpowiadała Anna Kubiak), co wzbudziło wiele emocji, zarówno wśród poetów i poetek, jak i odbiorców. Rozmowa z redak-

torkami zakończyła się inspirującymi pytaniami ze strony widowni, na które obie panie wyczerpująco odpowiadały. Kolejną częścią spotkania był spacer śladami Anny Tokarskiej, podczas którego odczytane zostały wybrane wiersze pisarki. Całość uwieńczona została projekcją filmu dotyczącego twórczości Tokarskiej, która odbyła się w Lubuskim Teatrze.

Na uważną lekturę *Antologii* przyszedł więc czas dopiero po zakończeniu wydarzenia. Całość otwiera wstęp napisany przez redaktorki. Rzuca on zupełnie nowe światło na odczytywanie poezji lubuskiej, bowiem Małgorzata Mikołajczak oraz Mirosława Szott zwracają w nim uwagę na zmiany, które mają istotny wpływ na rozumienie regionalizmu. Są to między innymi: rozwój technologii, umiejętność autopromocji na szerszej scenie literackiej, funkcjonowanie w mediach społecznościowych oraz publikowanie w ogólnopolskich wydawnictwach (s. 6). Lektura wstępu stanowi doskonałe uzupełnienie rozmowy przeprowadzonej w trakcie spotkania oraz daje odpowiedź na pytania, które w dynamice wydarzenia na żywo nie zdołały wybrzmieć. Zdecydowanie

wybija się stanowisko autorek twierdzących, iż ów zbiór to „raczej mozaika niżeli tkanina” (s. 12), subiektywny wybór, mający na celu pokazanie części zmian zachodzących w poezji lubuskiej, a nie – zaprezentowanie jedynej prawdy.

W tomie zebrane zostały utwory aż osiemdziesięciu jeden lubuskich twórców. Książka podzielona została na części według roczników autorów i autorek. W moim odczuciu wydaje się to być niezwykle udanym zabiegiem, bowiem świadomość zestawienia ze sobą tekstów ludzi piszących je w tak różnych stadiach życia diametralnie wpływa na odbiór samej poezji, a także – całości antologii. Na ten fakt zwracają również uwagę autorki wstępu, podkreślając pojawienie się w poezji lubuskiej wcześniej nieistniejących figur „starego poety” oraz „starej poetki” (s. 7). Umieszczone w rozdziale „Roczniki najstarsze” nazwiska są na pewno doskonale znane każdemu odbiorcy poezji regionalnej: pojawiają się tutaj między innymi wiersze Anny Tokarskiej oraz Janusza Koniusza. W następnym rozdziale zatytułowanym „Roczniki 40. i 50.”, najszerzej reprezentowanym, nie zabrakło Jarosława Barańczaka, Elżbiety Dybalskiej, Eugeniusza Kurzawy oraz Czesława Sobkowiaka. W „Rocznikach 60. i 70.” moją uwagę najbardziej przykuły wiersze Renaty Diaków i Agnieszki Ginko, szczególnie *Pożegnanie Diaków* oraz *Pierścionki* Ginko. Te dwa utwory, zestawione razem, tworzą swego rodzaju całość historii, a czytane razem, w kolejności takiej, w jakiej pojawiły się w *Antologii*, prezentują zupełnie nowy obraz. Diaków bowiem pisze: „Odchodzę biała i czysta/ jak na początku” (s. 133), Ginko natomiast kończy swój wiersz słowami „teraz jesteś cała w pierścionkach/ na moich rękach” (s. 142). Jednak najbardziej intrygującym okazał się dla mnie ostatni rozdział, „Roczniki 80. i 90.”, które autorki zaprezentowały bardzo ostrożnie, mówiąc, że doborowi twórców oraz twórczyń „towarzyszyła największa arbitralność i... największe ryzyko: przeszacowania lub niedoceniienia” (s. 9). Szczególnie emocjonalne wydały mi się wiersze: *Droga krajowa* Michała Banaszaka, *W kawiarni* Natalii Haczek, *Tak będzie* Pauliny Korzeniewskiej oraz *Apel* Andrya Kotina. To również twórcy umieszczeni w ostatnim rozdziale działają najprężniej chociażby w przestrze-



ni internetowej, co znacząco wpływa na ich rozpoznawalność pośród czytelników, często też wydają swoje książki w wydawnictwach działających poza województwem lubuskim. Zwieńczeniem tomu są umieszczone na końcu biogramy wszystkich twórców oraz twórczyń, przybliżające sylwetki poetów odbiorcom i czyniące je nie aż tak abstrakcyjnymi.

Trudno oceniać zbiory przekrojowe, szczególnie tak obszernie podchodzące do wybranego zagadnienia. Tego typu wydania stanowią raczej podsu-

mowanie twórczości najnowszej, ewolucji, zachodzących w nich zmian – co też podkreślały same redaktorki we *Wstępie*. Mogą też sprawić, iż zainteresowany czytelnik sięgnie po tomik któregoś z autorów, czując niedosyt po przeczytaniu zaledwie paru utworów. Będą też na pewno nieocenionym źródłem dla przyszłych badaczy zajmujących się zarówno literaturą regionalną, jak i historią literatury w ogóle.

Weronika Nawrocka

Kobiocy podmiot

Maria Jolanta Fraszewska, *Prze konanie*, Organon, Zielona Góra 2023, s. 86.

Jolanta Maria Fraszewska wydała od debiutu poetyckiego w 1990 roku cztery tomiki wierszy, które były zauważane. Najnowszy *Prze konania* jest piąty w jej dorobku. I wydaje się najciekawszy, najdomniośleszy, gdy idzie o treści i ich obrazowanie. Jego



siły upatruję nie w refleksji jako takiej, ale w silnie znaczącej się dozie ciemnych odniesień rodzinnych, rozważań o śmierci, ale i w wierszach poświęconych wyzwoleniu duchowemu, pożądaniu i miłości. Można rzec, że każdy wers wynika z jej osobistego doświadczenia. Bardzo często dramatycznego, zapośredniczającego zarazem samotność i przemijanie. Poetka mówi pełnym głosem o swoim świecie i doznaniach życia w ogóle. Eskaluje i wyostrza ich znaczenie. Ukazuje je zawsze jako nadzwyczajne. Nie ma dla niej żadnego tabu. Jej poezję bez wątpienia cechuje swoboda i bogactwo wyrazu. Potrafi poruszyć szeroką gamę spraw i je ze sobą łączyć. Wiele wierszy, które w zbiorze stanowią główny nurt, niezwykle osobiste, wnikliwe, dotyczy uczuć, ale nie sentymentalnych. Ujmuje treści życia raczej, jak sama pisze – „niepoetycko”. Nigdy nie wyizolowuje swojego podmiotu. Kobiecość swoją sytuuje w szeroko prezentowanej egzystencji i pośród natury: „zielona trawa pośród kłosów my dwoje/ płomienne łąki”. W takim „laboratorium” urodziła się i wie, że nie tylko ona jest uczestnikiem istnienia, ale i „wokół mojej głowy wszędzie patrzą oczy/ ptaków much żab korzeni”. Sama swoim ciałem wpisuje się w ten rytm nie bezwolnie. Przede wszystkim pisze „różne opowieści” o sobie. Opowieści prawdziwe, które osadzone są w sferze symbolicznej, ale i w jej żywej codzienności.

Poetka nie stroni też od przeprowadzenia rozrachunku, w którym rozpatruje całość podmiotowego doświadczenia. Nie cechuje więc jej wąska tematyka. Interesuje raczej oddanie żywiołu rzeczywistości aniżeli statyczna przedmiotowość. Mamy do czynienia z podmiotem bardzo aktywnym, od pierwszej do ostatniej strofy: „głośno odczytuję wiersz [...] ściskam sok życia łąpiąc jak deszczówkę”. Chce więc nadążyć i na ile się tylko da wyrazić swój świat, uwzględniając wszystkie zależności, pokrewieństwa, podobieństwa swojej cielesności do cielesności natury. Czytelnik to wszystko dostrzeże, jeśli zechce się zanurzyć w dyskurs poetycki Jolanty Fraszewskiej. I jej lirycy pozwoli się prowadzić po wielu obszarach rzeczywistości – pięknych lub zatrważających, bo często ostatecznych. Razem z poetką może doświadczyć „wędrownego życia”. Autorka odślania siebie, prezentuje, ale nie epatuje prywatną biografią, nie cenzuruje siebie ani erotyzmu („nie wstydzę się”, „ćwiczę się w rozkoszy”), nie wprowadza jakichś ograniczeń, albowiem dąży do ukazania podmiotowej prawdy życiowej i drogi, którą przeszła. Pisze gęsto, miejscami nieco skomplikowanie, odnieść można wrażenie natłoku. Dlatego, że chce powiedzieć dużo. Tylko w krótkich, drobnych wierszach mamy klarowność liryczną. Dowiadujemy się o tym, co było dla poetki pozytywem, szczęściem, uniesieniem, co było bólem, ciężarem, zaznanym zwłaszcza w domurodzinnym (wstrząsający *Kociół* inne) i istotą konfliktowych napięć pomiędzy nią a matką. Od tych trudnych spraw w żywiole poezji zapewne się wyzwala. I deklaruje, że szuka możliwości porozumienia i wybaczenia krzywd, które w niej tkwią. Pisze Poetka: „czekam na początek mojej miłości do matki”. I to w sytuacji, gdy są przecież mocno pamiętane doznania, w swojej istocie drastyczne i traumatyczne. I oczywiście nie ma tu miejsca na ubarwienie cokolwiek, raczej jest turpizm: „kobieta umarła leżąc na tapczanie/ w zagłębieniu wygniecionym latami/ w samotnym kotle pościeli/ podług obyczaju podle/ czasami ktoś do niej zajrzał/ sprawdzić czy jeszcze oddycha”. Ukazała w wierszu jedną ze stron życia – tę bardzo ciemną, pełną cierpienia i samotności. Ostatecznego przemijania. Tytułowego „konania”. Ta wrażliwość i umiejętność odczuwania różnych

spraw jest w tym zbioru bardzo ważna. Cenna. To już nie tylko fascynacja żywiołem doznań, ale ostre zderzenie dwóch sfer, jasnej i ciemnej. Ustala się jednak pomiędzy nimi równowaga.

Gdy idzie o stronę jasną, to owszem, jest przywoływana i obrazowana, zwłaszcza uroda przyrody i bycie w niej, zanurzanie się całą sobą, smakowanie wszystkimi zmysłami zapachów, barw pola, łąki itd., ale jest ten świat przywoływany już w formie wspomnienia, z pamięci. Jeśli tworzy pieśń poetycką o wspaniałości i wielkości jej osobistego świata, to jednak jest to już „pieśń pożegnalna”. Można rzec, że Fraszewska dba, by o swoim życiu, o codzienności mówić prawdę. Nie omieszkuje odnieść się do spraw czasu: „grabarze/ życia codziennego/ wyruszyli w świat/ piewcy życia” zamilkli. To są obrazy ciemne, myśli gorzkie, ciężkie. Wnikliwość poetycka decyduje o tym, że są zauważane. Poetka dużo wie o życiu, o swoich pragnieniach, o miłości i nie ucieka w ton sielski, lecz, cytując: „patrzę sobie prosto w oczy”, bez złudzeń, bez ubarwiania, świadomie „zbudowałam siebie na miarę rzeczy”. Uformowała siebie. Oznacza to zarazem, że nie chce uprawiać poetyckiego cierpiętnictwa. Myśli straceńcze nie mają się jej. Szybko się z nich otrząsa. Tego, co było kiedyś piękne, dobre, lekkie nie sposób przecież zastąpić, albowiem to oznaczałoby też zakłamywanie świata. Z pewnej odległości, po czasie, trzeba mieć odwagę rzec, że „ochroniliśmy gwiazdkę która nie spadła [...] promyk słońca ogrzewał nam dłonie”. W tym zbioru oczywiście (raczej) piękno i brzydota, radość i rozpacz, krzywda i szczęście przeplatają się. Tytuł *Prze konanie* dobrze oddaje jego istotę. Z jednej strony, oznacza siłę biologicznego parcia, rodzenie dziecka przez kobietę, związane z wysiłkiem i determinacją życia, ale z drugiej strony, mamy do czynienia z ruchem przeciwnym, zwiastującym śmierć, rozkład, czyli z konaniem. Też będącym parciem, tyle że innego rodzaju. Paradoksalnie „konanie” wywiera presję na życie. Realne jest przecież konanie ludzi, ich zdrowia, konanie uczuć, więzi ludzkich. Jest poetycko obserwowane, ale z pewnym dystansem. Dochoodzimy w tym miejscu do jakby filozoficznego uogólnienia. Jedno i drugie (owo „prze konanie”) stanowi metaforyczną „pępowinę/ z pokolenia na pokole-

nie". Wypada docenić, iż poetka prezentując wiele różnorodnych obrazów życia i istnienia, potrafiła zdobyć się na tego rodzaju uniwersalną refleksję. O fundamencie decyduje „siła trwania”.

I na koniec. Potrafi Maria Fraszewska wykorzystać grę słowną, eksperymenty leksykalne, jak to ma miejsce w poetyce lingwistycznej szkoły Tymoteusza Karpowicza, którego duży fragment, przytoczony na

początku tej książki, stanowi motto patronujące całemu jej zbiorowi. Myślę jednak, że tej metodzie stylistycznej nie dała się jednak pochłonać, więc jest ta poezja głównie jej głosem, nacechowanym indywidualnością myśli i wrażliwości, i skojarzeń. I jeszcze. Zbiór zamyka wnikliwie posłowie Joanny Wawryk *Ciało i słowo kobiety*, z którym warto się zapoznać.

Czesław Sobkowiak

Nad górą wisi szara rzeczywistość

Marcin Mielcarek, *Nad górą wisi zielone słońce*, Wydawnictwo Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Zielona Góra 2023, 208 s.

Marcin Mielcarek to zielonogórski pisarz młodego pokolenia, specjalizujący się w pisaniu opowiadań (jak sam o sobie mówi). Jego pierwsza powieść *Sztuka latania* została nominowana w 2022 roku do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Kolejne opowiadanie pt. *Koty nie piją whisky* wygrało w konkursie organizowanym corocznie przez Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA na wydanie książki, co też stało się w 2023 roku.

Tytuł *Nad górą wisi zielone słońce*, jak stwierdza sam autor, „w prosty sposób nawiązuje do Zielonej Góry, a w książce kilka razy pojawia się zielone słońce”.

Przeczytałam tę książkę z zainteresowaniem z kilku powodów. Pierwszym – zasadniczym – jest to, że podzielam zainteresowania położeniem ludzi wprowadzonych w różne sytuacje życiowe. Powstaje pewien obraz życia społecznego, który reprezentuje określone poglądy, myśli, poczynania, zachowania, postawy, emocje, wartości, zasady, sądy. Drugim jest spojrzenie młodego człowieka na tożsamość jego wiekowi grupę ludzi zamieszkałych w Zielonej Górze i jej perspektywy życiowe.

Pytanie, które sobie postawiłam, brzmi: czy zachodzą jakieś zmiany w funkcjonowaniu społeczeństwa w konkretnej skali wiekowej, tej, która buduje przyszłość bądź daje podstawę pod budowanie pokoleń przyszłości? Poszukam odpowiedzi w opowieści, której tytuł nadaje całości pozytywne brzmienie. Dwa słowa „góra” i „zielony” kojarzą się mieszkań-

com Zielonej Góry właśnie z tym miastem. Ale kolor zielony symbolizuje również spokój i odświeżenie, a także nadzieję, jako zapowiedź życia, które wydaje owoce.

Myśl, która przyszła mi do głowy już w trakcie czytania pierwszego opowiadania *Styczeń*, była taka: młodego pisarza interesują ludzie i ich empatyczne postawy. Pochówek ukochanego kotka przez starego człowieka, a zwierzęta są najlepszymi nauczycielami empatii, czyli współodczuwania, rozpoczyna podróż przez miesiące, które zwiastują przebieg roku, a potem lat, a potem całości życia. I pozostaje pytanie: czy samotność musi się pojawiać i co było przed nią? Jak i czym wypełnić środek życia? Przemyskanie przez miejskie blokowiska, w których toczy się życie... toczy się czy...?

Zadawanie pytań jest rzeczą ludzką, tym bardziej, gdy dotyczy kondycji ludzkiej. Treści opowiadań dotyczą problemów życiowych, z którymi borykają się ludzie wchodzący w dorosłe i odpowiedzialne życie. Stoją u jego progu. Nie jest łatwo zrozumieć ludzi i zaakceptować ich postawy, zachowania, relacje. Jeszcze trudniej wniknąć w jednostkową osobowość i opisać człowieka w jego boju o przetrwanie, jego słabości i wady, zwątpienia i ogarniający go strach przed postawieniem kolejnego kroku. Chęć wycofania się, a jednocześnie zachowania się w sposób odpowiedzialny wobec siebie i innych. Poczucie samotności, bezradności, beznadziei, stanów depresyjnych prze-

jawiających się bezsennością, to bolączki codzienności młodych ludzi. Pojawiają się sposoby radzenia sobie z uczuciem osamotnienia poprzez okazywanie troski drugiemu człowiekowi czy zwierzęciu, miłości, zainteresowania. Jak kochać i być kochanym, w jaki sposób okazywać miłość, przyjaźń, życzliwość? Czy bohaterowie zestawu opowiadań Mielcarka poprzez swoje jestestwo szukają sensu życia, czy zaledwie dbają o przesunięcie się w czasie, nie zdając sobie sprawy z przemijania chwil, które mają do dyspozycji i zagospodarowania właśnie teraz. Czy zadają sobie pytanie, jak zaplanować swoje życie, czy tylko płyną jego nurtem, odczuwając beznadzieję losu, nieświadomość i nieistotność własną?

A może autor, opisując fragmenty spędzanych dni, toczących się miarowo (w zasadzie jakby toczy się wszystko wokół, a bohaterowie tkwią w miejscu, zaledwie popychani przez wywołujące ich do odpowiedzi pojawiające się sytuacje), chce ukazać bezradność człowieka w trybach maszyny dnia i nocy, tygodni, miesięcy, lat? Od miesiąca do miesiąca, jak ziarenko do ziarenka, życie przesypuje się jego koniecznością.

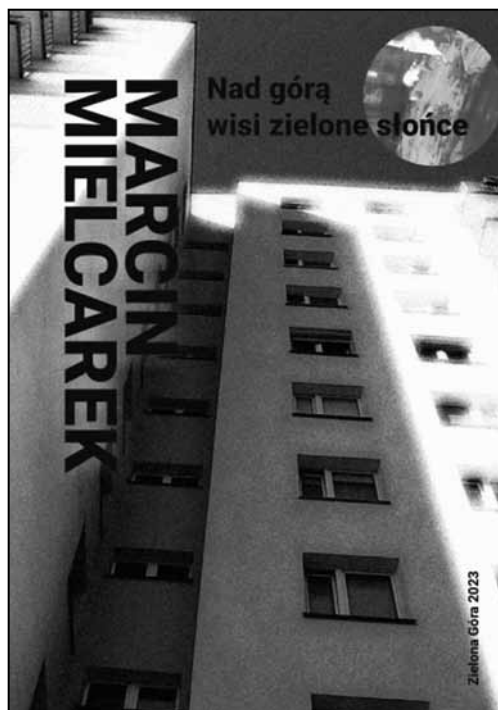
Książka została skonstruowana w sposób, który narzuca powyższą interpretację. Składa się z dwunastu rozdziałów, a każdy nosi tytuł kolejnych miesięcy w roku. W każdy miesiąc wpasowana jest historia fragmentu życia ludzkiego mieszkańca Zielonej Góry. Problemy doskwierające młodym i starym ludziom, choroby i samotność połączone z niewygaszoną potrzebą bycia potrzebnym, gotowym do opieki, realizowanie troski, opieki, być może miłości, jeśli nie wobec współpartnera, to w relacji ze zwierzęciem, kotkiem. Ukazywani ludzie sprawiają wrażenie, jakby wykonywali obowiązki zawodowe ze zwątpieniem i pewną ospałością. Pracują, jakby wykonywali swoistą karę, pracują z niechęcią lub znudzeniem.

Nie ma w tych opowiadaniach buntu. Jest natomiast niemoc i poddaństwo wobec losu pokoleń i niewiadomej przyszłości. Jest też głęboka luka, zadra dojrzałości, głęboka dziura, studnia bez dna, bo nie wiadomo, co jeszcze może się w tym dniu, na dnie tej studni, wydarzyć czy zalegnać. Obawy i lęk przed popełnieniem kolejnego kroku. A przecież osiągnię-

cie dojrzałości nie jest zbrodnią, a wręcz odwrotnie. Co to znaczy być dojrzałym, jakimi czynami przejawia się ta dojrzałość? Czy pojawia się mimowolnie, z dnia na dzień? Spotkać dziewczynę, chłopaka, połączyć się, czyli zamieszkać razem, a może zawrzeć związek małżeński, spłodzić dzieci i zapewnić im byt, jedzenie i dach nad głową i... przyszłość. Jaką? Niewiadomą jak na razie.

Jedyną wiadomą w tym obrazie jest starość i jej rama, czyli samotność, rozchorowane ciało, tęskniąca dusza i psychika za drugą bliską istotą, którą w ostateczności może być kot wzięty z ulicy bezdecyzyjnie i przypadkiem. Widać w tym neurasteniczny lęk młodego pokolenia i brak pomysłów na własne życie, ogrom szalejącej pustki w morzu niezdiagnozowanych potrzeb osiągnięcia dojrzałości i dorosłości, bowiem otrzymanie dowodu osobistego nie stanowi jeszcze wiedzy, która przyjdzie później.

Poczucie niespełnienia ważnej w życiu człowieka potrzeby motywuje do działania i podejmowania trudów, aby osiągnąć to wypragnione. Młody pisarz odwołuje się do piramidy potrzeb Masłowa, której



hierarchiczny układ wyjaśnia funkcjonowanie człowieka. Jednak rozwój człowieka i droga ku dojrzałości nie następuje bez osobniczej zaangażowanej pracy nad sobą i dążeniami. Ich zaspakajanie związane jest z indywidualnymi potrzebami. Komuś wystarczy bezpieczny dach nad głową, ktoś inny będzie potrzebował auta stojącego w przyblokowym garażu, ktoś inny zapragnie willi i codziennego cateringu. Wszystko to są potrzeby podstawowe.

Kolejne wiążą się z więziami społecznymi, przyjaźnią, przynależnością, prestiżem społecznym i samorealizacją. To potrzeby wyższego rzędu. Ten uporządkowany system nie jest drabiną, która sama w sobie ma motywować lub strukturyzować poszczególne życia ludzkie. W teorii psychologa społecznego stanowi pewien opis całości motywacji i dążeń ludzkich. Zazwyczaj ludzie nic o tej hierarchii nie wiedzą, a przecież żyją, podejmując różnorodne wyzwania. Natomiast dojrzałości emocjonalnej można nie osiągnąć nawet w dorosłym życiu czy starości wiekowej.

W zakres dojrzałości wchodzi wiele elementów, oprócz biologicznej, emocjonalnej, mówimy też o społecznej, moralnej czy prawnej. Miarą jest zdolność oceny postępowania własnego i innych, świadome kierowanie swoim zachowaniem, w tym kontrolowanie własnych emocji, podjęcie pracy zgodnie z wykształceniem, założenie rodziny i zapewnienie jej bytu, ochrony i rozwoju, wypełnianie ról społecznych, życie według określonych zasad itp.

Marcin Mielcarek to wszystko wie, a opisując życie młodych ludzi, stawia ich w sytuacjach nakazujących rozważyć, jaki będzie ich następny krok. A z drugiej strony – podsuwa im wiele wątpliwości. Obok postaw zdroworozsądkowych brakuje tu tchnienia kobiecej miłości. Czyżby miłość istniała, obrazując się w postawie męskiego działania, czyli zapewnienia poczucia bezpieczeństwa, którym jest przede wszystkim dach nad głową? Co będzie potem? Nie wiemy, bo być może i autor nie wie tego sam. A może opisany stan w tych opowiadaniach

jest na razie wystarczający? Każdy z nas dowiaduje się o życiu z jego doświadczenia. Więc poczekajmy na kolejną książkę. Być może w niej otrzymamy odpowiedź, jaki będzie kolejny krok w rozwoju naszego młodego mieszkańca miasta.

Brak poczucia odpowiedzialności za siebie, za swoje zdrowie i życie. Brak ukazania, że człowiek może kierować swoim życiem, zamiast być tylko biorcą. Że dbanie o zdrowie to nie jest tylko mierzenie temperatury czy poziomu cukru. Ale przede wszystkim odpowiednia profilaktyka, która zmniejsza powstawanie czy nawet występowanie chorób w późniejszym wieku. Ludziom brak tego rodzaju świadomości. I to też ukazuje Marcin Mielcarek, opisując smutny koniec grudniowego miesiąca.

W każdych czasach i okresach życia rzeczywistość jest wymagająca. Jeśli chcemy się rozwijać i mieć ciekawe życie, to warto zanegować obecne, niezbyt fascynujące. Zakwestionować dotychczasowy sposób myślenia czy styl życia. A tu potrzebna jest odwaga dorosłego człowieka. Bez chęci, zamiaru, a potem umiejętności pokonywania przeszkód nie ma zmiany i innego niż dotychczasowe życie. Życie to wieczne poszukiwanie i sprawdzanie, to planowanie, dążenie i realizowanie. Wydobywanie potencjału wewnętrznego z siebie, szukanie diamentu i ujawnianie go. Podczas tego rodzaju drogi pojawia się sens. On nie pojawia się samoistnie i bezrefleksyjnie.

Niestety, potwierdza się stwierdzenie, że w kwestiach związanych z emocjami w postrzeganiu rzeczywistości jesteśmy niedojrzali. Nasze życie nie musi być puste i jałowe ani powierzchowne czy pospolite, jak wynika to z przedstawień Mielcarka. Jest to opis szarej masy ludzkiej zamieszkującej szare blokowiska, zamkniętej w szarej rzeczywistości. Opis życia niewiele wnoszący w rozwój społeczny, opis masy w procesie zanikania, zachowawczy i przechodni. Jeśli nad górą wisi zielone słońce, to jak się na nią wdrapać?

Maria Jolanta Fraszewska

Ulotność i niepowtarzalność

Roman Krzywotulski, *Raz dwa trzy znikasz ty*, Wydawnictwo Pro Libris, Zielona Góra 2023, 88 s.

Refleksje na temat przemijalności niezaprzeczalnie towarzyszą każdemu, kto w pewnym momencie życia zdołał zauważyć kruchość egzystencji. Bowiemy pomimo różnic, każdy z nas prędzej czy później dociera w ten sam punkt, stając twarzą w twarz z tym, co nieuniknione. Zanim jednak do tego spotkania dojdzie, wszyscy musimy przeżyć na ziemskim padole to, co zostało nam zapisane przez los. I są to scenariusze różnorodne, a wielość sposobów radzenia sobie z nieubłaganiem mijającym czasem staje się dla artystów źródłem inspiracji oraz sposobem na przeprowadzenie autoterapii, ułatwiającej pogodzenie się z efemerycznością doczesności. Tomik *Raz dwa trzy znikasz ty* opowiada właśnie o tym zjawisku – o tytułowym *znikaniu*, stając się w swym wydźwięku zarówno nostalgiczną podróżą przez to, co było, jak i pretekstem do rozważań dotyczących tego, co dopiero nadejdzie, a na co – zdaje się – nigdy nie można być w pełni przygotowanym.

Tomik Romana Krzywotulskiego podzielony jest na trzy podobne tematycznie, lecz emocjonalnie odmienne części. A chociaż każda z nich w tym samym stopniu porusza zagadnienie przemijania, zawarte w nich wiersze niosą za sobą poczucie odkrywania zupełnie nowego sposobu mówienia o pojęciu czasu – nawet jeśli czytelnik tak naprawdę zna ich puentę jeszcze przed lekturą, poznawszy wyłącznie tematykę zbioru. Mimo to autor skutecznie przyciąga naszą uwagę poprzez zastosowanie rozmaitych środków stylistycznych, a wykorzystawszy między innymi epifory, jak i anafory, tworzy lakoniczne, acz barwne quasi-zabawy literackie. Toteż dzięki nim, w plastyczny sposób ukazuje zmienność, przemijanie, a także nieuchronne (oraz niewątpliwie bolesne) zmierzanie ku kresowi życia („wiatr szumi/ drzewa szumią/ fale szumią / ludzie szumią/ czas porusza się/ bezszelestnie”).

Przedstawianie zmian za pomocą procesów zachodzących w przyrodzie („kwiaty więdną/ ryby więdną/ przyjaciele więdną/ ja więdnę/ on kwitnie”) skutecznie współgra z zamieszczonymi w tomiku fotografiami, wykonanymi przez Leszka Mą-

dzika. Dzięki nim, podczas próby interpretacji, dostrzec można, że ulotność i niepowtarzalność okazują się być pierwiastkami spajającymi świat pozorne nieożywiony ze światem ludzkim. Jednocześnie to połączenie pozwala zupełnie inaczej odczytać naszą egzystencję – tak naprawdę niewiele odmienną od tej zwierzęcej... A już na pewno będącą w takim samym stopniu zależną od kaprysów fizjologii („mrówka sypie piasek/ dziecko sypie piasek/ słoń sypie piasek/ grabarz sypie piasek/ wiatr sypie piasek [...]”) i skłonną do mimowolnego zostania pokrytą metaforyczną *patyną czasu* (s. 84).

Nie jest to jednak tomik z, jak mogłoby się wydawać, nihilistycznym wydźwiękiem. Pomimo – choć raczej płytkiej – możliwości odczytania go jako desperackiej próby pogodzenia się ze stanowczością bogini Ananke, *Raz dwa trzy znikasz ty* posiada w sobie dziecięcą radość, słusznie przewidywaną w wyliczankowej części tytułu. Niektóre z wierszy są me-



lancholijnym powrotem do lat młodości; swego rodzaju pocztówką, przenoszącą do czasów, gdy wiele spraw wydawało się błażymi i mało istotnymi („po lekcjach kopałem piłkę/ grałem w palanta/ rozjeżdżałem rowerem chrabąszcze/ miałem trzynaście lat”). Roman Krzywotulski umiejętnie łączy smutek niewykorzystanego w pełni czasu z uśmiechem nostalgii, malującym się na twarzy po przypomnieniu sobie, że – delikatnie parafrazując słowa Márqueza – „nie należy się smucić, że coś się skończyło, a należy cieszyć, że to się wydarzyło”.

Żarski poeta stara się ostrzec przed mentalnym letargiem, coraz to częstszym we współczesnym, przepełnionym technologią świecie („na pasach dla pieszych/ z koszykiem w markecie/ na spacerze z córką/ pocałunkach ukochanego/ czule obejmujesz/ tors iPhone’a”). Wiersze niejednokrotnie zachęcają do doceniania chwil obecnych, a także do niezaprzątania głowy rozważaniami *co-by-było-gdyby...* („uśmiechaj z wdziękiem/ nie gub pantofelka/ nie myśl o kolejnym balu”). Jest to myśl ważna i niewątpliwie potrzebna w świecie przytłaczającym wyścigami szczurów oraz nieustannym gloryfikowaniem

wszelkiego rodzaju konsumpcjonistycznych *fast foodów* bądź *fast fashion*. Umiejętność zatrzymania się, złapania oddechu i spojrzenia na otaczający świat bez potrzeby ukarania siebie za marnowanie czasu jest bowiem kluczowa w dokonaniu satysfakcjonującej percepcji życia („przed Biedronką prowadzę dyskusje/ chodzę na długie spacerzy/ mówię dużo/ Kocham”).

Dostrzeżenie analogii do biografii autora (m.in. otwierający tomik cytat oraz późniejsze „po wspinał się na czwarte piętro/ kiedy pochłaniałem wiersze Herberta [...]”) pozwala czytelnikowi jednoznacznie osądzić, że poznając podmiot liryczny, jednocześnie spotyka jego twórcę. Tym samym całość sprawia wrażenie, jakoby osoba mówiąca zaprosiła nas na przyjacielskie spotkanie: „chodź, napijemy się herbaty i powspominamy dawne czasy”. Zachęcenie, nawet nie dostrzegamy, gdy przyjemnie nostalgiczna rozmowa o przygodach z młodości przechodzi w filozoficzne rozważania na temat nadciągającego kresu. Jednak nie przeszkadza nam to. Przecież doskonale wiemy, że mamy na to czas.

Gabriela Matkowska

Być świadkiem podróży

Grażyna Rozwadowska-Bar, *Obudziłam wiersze*, Wydawnictwo Pro Libris, Zielona Góra 2023, 52 s.

Tomik *Obudziłam wiersze* Grażyny Rozwadowskiej-Bar przerywa dwadzieścia trzy lata milczenia artystycznego poetki. Składa się z trzech części: *stare fotografie*, *w drodze* oraz *lubię powroty*, które zostaną poddane analizie, jednak zanim do tego przejdziemy, warto skupić się na samym tytule cyklu. Zastosowany czasownik wskazuje na pewien przełomowy moment, świadczy o zakończeniu wcześniejszego stanu rzeczy. Może być także symbolicznym wybudzeniem się, wizją ta zyskuje szczególnie, kiedy weźmiemy pod uwagę długotrwałą bezgłos autorki. Jednocześnie tytuł można odnieść do przeżyć bohaterki, która na przestrzeni kolejnych utworów przybliża swoją historię, emocje, myśli związane z otaczającym ją światem. Jej podróż duchowa także stano-

wi pewne uświadomienie sobie przemijalności czasu, zaakceptowanie ciągłości życia oraz jego różnorodności, co pozwoliło jej odnaleźć ostateczną radość w codzienności, tak dobrze jej znanej.

Pierwsza część, *stare fotografie*, poświęcona jest głównie wspomnieniom o rodzicach bohaterki utworów. Wiersz *twój świat* jest emocjonalnym obrazem świadomości dziecka, które patrzy na śmierć rodzica i dociera do niego, jak niewiele o nim wie, jak wielki fragment życia pozostanie swojego rodzaju tajemnicą. W utworze bohaterka przytacza opowieść o życiu swojej matki, która pamięta wojnę, ale nie pamiętała jej imienia z powodu choronym cierpieniem oraz lękiem, wyraz tego dają dwie

ostatnie strofy: „ty pytałaś – co teraz będzie/ nie wiem/ mam”. Swego rodzaju surowość pierwszego utworu kontrastuje z wielce emocjonalnymi tekstami, które wiążą się ze wspomnieniami o ojcu bohaterki. *portret z pamięci* obnaża wewnętrzne dziecko, które nie może poradzić sobie z utratą ukochanego taty. Przepętnione bólem są wersy, w których bohaterka próbuje przypomnieć sobie blask jego oczu, ciepło dłoni; odczucie to potęgowane jest przez kolejne przytoczone obrazy, które pokazują jak choroba, krok po kroku, odbierała ojca. Punkt ciężkości stanowią ostatnie wersy: „cały świat/ zamykał się w tobie/ tato/ nawet ja/ zostałam po drugiej stronie/ z twoim portretem w pamięci”. Kolejne wiersze także dotyczą uczuć bohaterki związanych z ojcem; pisze o pewnego rodzaju uldze, kiedy wie, że ostatni oddech zdejmuje z niego ból i cierpienie. Wspomina, jak wspólnie oglądali czarno-białe fotografie, przypomina sobie jego spory „z profesorami świata i z Bogiem”, podróże do miasta, które pomimo śmierci taty, wciąż zachowało w sobie jego ślady. Podsumowaniem żałoby związanej z odejściem ukochanego rodziciela jest zakończenie utworu *** („gdy nie było...”), ponieważ symbolizuje pogodzenie się z brakiem obecności ojca. Stwierdzenie „szukałam twoich śladów” daje wyraz braku akceptacji wobec nieodwracalności śmierci, niemożność pogodzenia się z faktem, że nigdy więcej nie będzie mogła mieć go obok siebie, jest zaprzeczeniem bohaterki wobec rzeczywistości; jednocześnie kolejne wersy: „znalazłam/ w mieście w którym już/ nie będziesz/ tato” wyrażają świadomość, że nie ma ojca fizycznie obok, ale pozostanie na zawsze w świadomości bohaterki. Tę część wieńczy utwór *rzeka*, który tylko pozornie odbiega swoją tematyką od pozostałych, z których składają się *stare fotografie*. Podmiot liryczny mówi o stałym ruchu wody, która „nie potrzebuje map ani latarni/ o drogę nie pyta/ płynie”, wykaże, że jest wieczna, nie przeminie – utwór w doskonały sposób podsumowuje przemyślenia związane z ulotnością istnienia. Pokazuje, że woda, czyli życie nieustannie trwa, jest cyklem, który zapewnia harmonijne bytowanie. A pogodzenie się z faktem, że człowiek jest niewielką częścią czegoś większego, pozwoli na dostrzegania piękna w ulotnych



obudziłam wiersze

Grażyna Rozwadowska-Bar

chwilach, z których składa się życie każdego człowieka. O tych ważnych momentach wspomina bohaterka w każdym z utworów.

Druga część nosi nazwę *w drodze*, co niemalże od razu sugeruje, że jesteśmy świadkami podróży głównej bohaterki cyklu. Wędrownica ta ma wymiar nie tylko dosłowny, ale także metaforyczny. Pierwszy utwór *wspomnienie z Bośni* stanowi próbę ukazania bólu kobiety, która straciła wszystko. Staruszka sprzedająca owoc granatu symbolizuje cierpienie, jakie wywołuje śmierć najbliższych; wspomniany granat ma tutaj dwojakie znaczenie; po pierwsze jest tylko owocem, a jego sprzedaż pozwoli kobiecie na przeżycie, po drugie symbolizuje broń, która doprowadziła na skraj rozpaczony żonę i matkę. „[...] ruin/ latami rozgrzebywanych/ od rana do wieczora”, te wersy świadczą o horyzoncie nadziei, która pozwoliła jej trwać. Jednocześnie kolejne strofy wiersza pokazują okropieństwo świata, który nie poświęcił odrobiny uwagi wobec tragedii tej kobiety. Tak jak w pierwszej części autorka postawiła na kontrastowość, tak tutaj także posługuje się tym zabiegiem stylistycznym. Kolejny utwór *** („latami

słzam...”) odnosi się do uczuć, jakie w bohaterce wzbudził obraz *Dziewczyna z perłą* oraz kościół, w którym znajduje się grób jego autora. Bohaterka mówi o onieśmieniu, pewnym zmieszaniu, dopiero późnym popołudniem jest w stanie zebrać myśli i „w filizance mieszam słowa/ których nie umiałam powiedzieć/ dziewczynie z perłą”, utwór ten jest wyrazem tego, jak sztuka działa na odbiorcę; nawet jeżeli nie wypowiada słów skierowanych do postaci namalowanej przez Vermeera wprost, to jesteśmy w stanie domyślić się wpływu obrazu na bohaterkę. W kolejnych wierszach przenosi nas w następne miejsca. Wspomina o włoskiej wyspie Capri, gdzie „leniwe dni sączą się/ jak sny w czasie których/ zaciśkamy oczy by nie odeszły”, tworzy to obraz idylli, do której ciągnie każdego człowieka, a opis miejsc przywołuje obrazy niebiańskich ogrodów. Kolejnym miejscem, do którego podąża bohaterka, jest szlak prowadzący na górę Križevac. Kobieta opisuje liliowy świt, który towarzyszy jej wspinaczce, wykorzystuje rozbudowaną metaforę, by opisać poczucie połączenia ze wszystkimi ludźmi, którzy tą drogą zmiierzali przed nią; mówi o odczuwanym bólu, nadziei i miłości. Dostrzega wszelkie przeżycia, które zmieniają się razem z każdym kolejnym krokiem. W ostatniej strofie, ponownie ukazując kontrast, przytacza moment budzenia się miasta, pełen spokoju, który jest daleki od tego, co przeżywa bohaterka, będąc na górskim szlaku. Następny utwór tej części odwołuje się do przeżycia, które sparaliżowało cały świat. W utworze *** („kefalońskie koty...”) podmiot liryczny snuje opowieść, w której głównym wątkiem są wspomnienia, mówi o wędrownie myśli: „ponad taflą Morza Jońskiego/ gubią się w paryskich muzeach/ [...] / chowają się w migających/ igłach światła”, i wykorzystuje określenie oswojonej covidowej pandemii, która zatrzymała wszystko i wszystkich, która pokazała, jak wiele człowiek mógł zrobić, jak wiele świat miał do zaoferowania. Po długotrwałym zawieszaniu, zastój możliwości powrotu do przedpandemicznej rzeczywistości, sprawiła, że oczy bohaterki cyklu „znowu błyszczą światłem”, daje to wyraz cudownego uczucia powrotu do wolności duszy. Samo zakończenie zdaje się być sugestią w stronę czytelników, aby zastanowili się nad tym, jak ten czas od-

bił się na nich samych. Mimo że autorka zdecydowała się na zastosowanie wiersza białego, daje się wyczuć tutaj pewne niedomówienie, które jest zaproszeniem do rozważań. Odwołanie do aktualnych wydarzeń zostaje wykorzystane także w kolejnym wierszu. Bohaterka jest w kawiarni, obserwuje otaczającą ją rzeczywistość i dostrzega siedzącą obok kobietę, *plac wypelniony po brzegi*, gołębie, stukot końskich kopyt – normalny bieg życia określa żywym spektaklem. Mówi, że lubi na niego patrzeć, niezależnie czy jest w Krakowie, czy Amsterdamie, lub innym zaczarowanym miejscu. Pewien zaczarowany obraz życia zostaje obalony w następnej strofie; przytacza obraz wojny, gdzie „człowiek zabija człowieka”, ból, rozpacz, bezradność dotyczy zarówno tych, którzy są w centrum wydarzeń, jak i innych obywateli ukraińskich na całym globie. Utwór ten nie ma jednego punktu ciężkości, mogłoby się zdawać, że wersy „umierają ukraińskie marzenia/ umierają ludzkie dzieci” są ostatecznym wyrazem tej tragedii ludzkiej, jednak podmiot liryczny idzie jeden krok dalej i pyta, czy „wolno nam/ siedzieć w kawiarni/ pić wino/ kolorować życie”? Wyraża swoje przemyślenia nad postawą ludzkości wobec nieszczęścia jednego narodu, zauważa, że pomimo wojny, życie w „innych zaczarowanych miejscach” wciąż płynie normalnie. Po raz kolejny mamy tutaj do czynienia z pewnym niedomówieniem ze strony bohaterki. Przedostatni tekst tej części nosi tytuł *w drodze*. Opisuje reakcje pasażerów na nagłe zatrzymanie się pociągu. Przerwanie monotonnej jazdy skutkuje ciszą, która ożywiła podróżujących, „skulone ciała” wyrwane z letargu dostrzegają otaczającą ich pozapociągową rzeczywistość, poświęcają jej uwagę, której ta nie mogła się spodziewać. Bohaterka mówi o zapachu wilgoci drzew, o konturach domów majaczących w porannej mgłę. Przytacza późnojesienny krajobraz, który odbija się w oczach pasażerów. Niespodziewane zatrzymanie pociągu osiąga tutaj wymiar czegoś niezwykłego, fantastycznego, podkreślają to kolejne słowa bohaterki „i nagły gwizd lokomotywy/ zapowiedział pościg/ za znikającym księżycem”, jednocześnie ruszenie w dalszą drogę oznacza ulgę, powrót „do ciszy bez pytań”. W ostatnim wierszu bohaterka decyduje się na nie-

malże całkowite obnażenie swojej duszy. Już pierwsza strofa informuje nas, że za czymś goni, „idę do ciebie” jest czytelnym komunikatem. Mówi o przedzieraniu się przez „zachwyty poranka, wąskie ulice Wenecji i śpiew gondolierów”, można to odczytać jako pozytywną podróż, jednak „firanki głębokiego krzyku” pokazują, że podróż do kogoś lub czegoś może wiązać się także z cierpieniem, jakimś przełomem. Opowiada, że w trakcie podróży poznał historie o cierpieniu i łzach, wolności, samotności. Kolejna strofa rozjaśnia, kim jest ten ktoś z tajemniczego określenia „ciebie” z pierwszego wersu, bohaterka zmierza do miasta – miasta, które jest jej domem. Podróż z wymiary faktycznego zmienia się na wędrówkę metafizyczną przez „kartki książek ciągle ciepłe/ oddechem poetów umarłych/ i tych jeszcze żywych” i mówi o naturze zarówno poetów, jak i samej poezji. Zauważa, że na zadanie przez nią pytania odpowiedziami są kolejne znaki zapytania, jednak wers „jak ja zagubieni błędzą” wydaje się być tutaj swego rodzaju ukojeniem, zapewnieniem samej siebie, że brak klarownej odpowiedzi jest czymś zupełnie codziennym; ujawnia także, że sama zajmuje się poezją. W pierwszym wersie ostatniej strofy autorka cyklu, a może właśnie sama bohaterka, postawiła na parafrazę słynnego cytatu Williama Szekspira „To, co zwiemy różą, pod inną nazwą równie by pachniało”, która otwiera drogę i jest zaproszeniem do rozważań na temat obecności drugiego człowieka w życiu oraz odnajdywaniu sensu egzystencji.

Trzecia i zarazem ostatnia część cyklu nosi nazwę *lubię powroty*, która pozwala domyślić się, że bohaterka mówić będzie głównie o sobie i miejscach dobrze znanych. Otwierający wiersz nosi tytuł *powrót* i jest swego rodzaju wyrazem uznania wobec miasta, które bohaterka określa swoim. Mówi, że po dalekiej podróży: „moje miasto/ znalazłam na swoim miejscu”. Opisuje uliczki obok ratusza, rynek, buk, który „pamięta letnią burzę / kiedy złamałam parasol”, wszystkie te elementy odnoszą się do jej wspomnień, pięknych chwil, które są nieodłączną częścią miasta. Wylicza dalej, że pamięta zasłyszana muzykę, światła rozświetlające uliczki, wznoszone toasty, sny, z którymi wiąże się owe miejsce. Pokazuje nam także świat widziany oczami dziecka: „tu znowu wierzę

w bajki/ na parapecie okiennym/ marzenia rysuję”, które nie uległo zniekształceniu wraz z dorastaniem bohaterki, miasto jawi się jako przestrzeń, w której osiągnęła to, o czym marzyła. Z ostatniej strofy można wnioskować, że tak się stało: „ciepła pamięć wypełnia pokój/ pod sufit pod dach pod gwiazdy/ już nie ma miejsca na wiersz” – bohaterka daje w ten sposób wyraz pięknu życia. Kolejny utwór jest zbiorem przemyśleń związanych z powrotami z podróży. Bohaterka stwierdza wprost *w podróży lubię powroty*, mówi o wciąż słyszalnych rozmowach, obecnych zapachach, oczyma wyobraźni widzi obrazy, które „przypominają czym jest życie”. Wysznuwa sugestię, że podczas podróży człowiek szuka prawdy, doświadcza czegoś nieznanego, tajemniczego; nowe horyzonty pozwalają zobaczyć „coś nieśmiertelne/ boską prawdę”. Mówi, że pamięć o tym, czego doświadcza, zawarta jest w słowach, dźwiękach i smaku, a zbieranie wszystkich tych doznań pozwala jej odkryć siebie na nowo. Utwór *** („krajobraz który noszę w sobie...”) jest obrazem zmiany perspektywy patrzenia na świat, bohaterka nie mówi z uwzględnieniem chronologii, jednak to potęguje tylko osiągnięty efekt. Rozpoczyna od tego, że była ciekawa świata, że chciała wyjść poza ramy „mojej ulicy”, stwierdza, że „to z ciekawości/ biegam po ulicach świata”. Następnie wraca do czasów dzieciństwa, kiedy to świat składał się z podwórek kradzionych przez „nowe bloki”, a wieczory spędzała, czytając książki po kryjomu – to one były oknem na świat. Na koniec wspomina o „największym cudzie”, jak nazywa swoje dwie córki, to one stają się perspektywą postrzegania świata. Mówi, że wciąż czuje dotyk małych rączek i czuły szept, pomimo że jej córki są w miastach, „których nie widzę z okna”. Swoje myśli podsumowuje, stwierdzając, że na „krajobraz który noszę w sobie/ na całe lata zachował/ przypadkowe obrazy/ ważne i nieważne historie/ i czas zostawiony za sobą”. Wiersz *to tylko sen* зда się być dialogiem z wierszem napisanym zielonym atramentem, który wprowadził bohaterkę w niespokojne widzenie senne. Wybudziła się, czując ból, „z siłą przerazonego ptaka”, z odczuciem, że napisany przez nią utwór jest testamentem, który ją „z życia rozlicza”. Przeanalizowane utwory są przeplatane

innymi, w których bohaterka opisuje kolejne zakątki miasta lub powraca do czasów, które przeminęły. Ta część cyklu zakończona jest utworem, który stanowi swego rodzaju podsumowanie wszystkiego, o czym wspominała. Wiersz *** („obudziłam wiersze...”) rozpoczyna się od stwierdzenia, że obudziła „wiersze uśpione snem wielozimowym” i przytacza proces ich tworzenia, kiedy to pokój stanowił dla niej cały świat, w którym szukała artystycznych doznań. Opisuje spotkanie z kobietą, która „pachniała kwiatem pomarańczy”, uświadomiła sobie, że proza jest prawdą, a bohaterka chciała tworzyć poezję, być poetką, poczuć coś więcej, doznać czegoś więcej. Bez odnalezionych wierszy jej życie było niepełne, nie odczuwała – pozwoliła sobie na bycie: „nie umiałam nazwać/ radości ani smutku/ nie rozumiałam łzy/ ani kwiatów w wazonie”. Stwierdza wprost, że przez lata, w których nie tworzyła, „nic nie było na swoim miejscu”. Kończące dwa wersy są wyrazem ulgi oraz euforii, jaką odczuwa kobieta, ponieważ „obudziła wiersze”.

Tomik poezji poza fascynującą treścią, która zmusza do przemyśleń związanych z przeróżnym tematyką, odwołuje się także do innych dzieł kultury. Przywołanie takich artystów jak Johannes Vermeer, Amedeo Modigliani i Auguste Renoir wzbogaca treść i przekaz utworów, czytelnik może odnieść odczucia bohaterki, wobec przywoływanych dzieł, do swoich własnych. Autorka wspomina w utworach także wielkich filozofów, Platona i Kartezjusza, co szczególnie w kontekście pierwszej części tomiku może być zachętą do zapoznania się z ich postrzeganiem egzystencji człowieka. Grażyna Rozwadowska-Bar zabiera czytelnika w podróż, ponieważ bohaterka cyklu wspomina o Akropolu, Ścianie Płaczu, Włoszech, Serbii, Morzu Jońskim, Amsterdamie oraz wielu innych miejscach, które stają się dynamicznym tłem, śledzonym przez odbiorców, dla duchowej podróży wykreowanej postaci. Zatem zbiór *Obudziłam wiersze* jest nie tylko bogatym przeżyciem literackim, ale także zaproszeniem do innych sfer, które wychodzą poza poetycki obraz świata.

Zuzanna Bubiń

Patrząc trochę szerzej

***Rytm schowany w tekście. Adam „Łona” Zieliński i kultura popularna*, pod red. J. Madejskiego, P. Dziela, P. Masternak, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2023, 268 s.**

Co podpowiada praca Anety Grzeszykowskiej na okładce szczecińskiej publikacji? Niema maska milczy w swojej nieregularności z widocznymi niedoskonałościami, przebarwieniami, podkreślonymi mocną czerwienią ustami i gęstym wachlarzem rzęs. Elementy nam znane, jeśli nie z prywatnego lustra, to rejestrowane kątem oka w autobusie, mediach społecznościowych, pracy czy w przedłużającej się kolejce do kasy sklepowej. Niema maska, chociaż ma nieznacznie tylko rozchylone usta, mówi coś o społeczeństwie i kulturze popularnej, mówi coś o nas samych.

Czy podobnie nie jest z twórczością Adama Zielińskiego, znanego szerzej jako raper „Łona”? Autorzy i autorki publikacji podejmują próbę odczytania tekstów Zielińskiego, sięgając po różnorodne soczewki i filtry; interpretują nie tylko tekst, ale i jego an-

turaz, zasadność związku z muzyką oraz osadzenie w kontekście sytuacyjnym; często wychodzą za raperem od względnie nieistotnego szczegółu do formułowania szerszych wniosków. Na „narzędziownik” autorów składają się zarówno klasyczne rozważania humanistyczne, takie jak analiza *sacrofanum* Katarzyny Buganik, jak i twórcze poszukiwanie ścieżek anonimowych twórców, którzy lirykę Łony adaptują na grunt memów internetowych. Nie brakuje opracowań dotyczących techniki pisarskiej rapera, omówienia jego stylu i poetyki, analizy licznych nawiązań i aluzji literackich oraz środowiskowych, bowiem osadzenie w określonym miejscu i czasie jest dla artysty charakterystycznym zabiegiem. Nie trzeba znać biografii Zielińskiego, żeby być świadomym jego związków ze Szczecinem i jego historią.

Nieco obok analizy tekstów i gestów rapera wyłaniają się elementy historii oraz omówienie gatunku rapu i jego związki z innymi dziedzinami sztuki; pewna interdyscyplinarność i fenomen zjawiska, które zdaje się nierozdzielnie spajać w sobie różne kierunki artystyczne, co najmniej na czas trwania utworu lub czas jego rezonowania ze społeczeństwem. Te fragmenty dodatkowo osadzają twórczość Zielińskiego także w szerszym kontekście kultury hip-hopowej. Wskazują na momenty styeczne jego twórczości na płaszczyźnie polskiego środowiska hip-hopowego, jak i na to, co go zdecydowanie od niego odróżnia.

Publikacja jest podzielona na tematyczne działy: poetyki i konteksty, których wyjątkowym dopełnieniem jest zapis rozmowy Pawła Dzieła z Adamem Zielińskim zatytułowanej *Potrzeba dialogu*. Nie zawsze, omawiając czyjąś twórczość, ma się możliwość „dopuszczenia” tej osoby bezpośrednio do głosu, tym bardziej wartościowy jest zapis wywiadu wieńczący książkę.

Pod względem technicznym publikacja jest estetycznie i przejrzysto złożona, na przednim skrzydełku okładki czytelnik znajdzie zachęcający do lektury fragment wstępu, natomiast na tylnym fragment wypowiedzi rapera z rozmowy *Potrzeba dialogu* oraz zdjęcie Adama Zielińskiego. Niektórzy autorzy i autorki ilustrują swoje artykuły m.in. zdjęciami i tabelami. Także na stronach wprowadzających działu znajdziemy fotografie rapera. Jedynym mankamentem jest rozmiar obrazów, które pojawiają się bezpośrednio w artykułach, np. w tekście Beaty Zawadki czy Marcina Fiszka, przy większym rozmiarze zdjęcia byłyby one zdecydowanie bardziej czytelne i ułatwiały analizę wizualną, zwłaszcza że sami autorzy zamieszczając ilustracje, wskazują na silne połączenie słowa z obrazem.



Twórczość szczecińskiego rapera została kompleksowo zinterpretowana i omówiona w tej publikacji. Autorzy i autorki doskonale odnaleźli się w słowach rapera i „patrzają trochę szerzej”, sięgają po różne perspektywy, dopełniają analizę słowa, nie pomijając ani środowiska tekstu, specyficznego dla kultury hip-hopowej, ani jego obiegu w kulturze i społeczeństwie; nie ograniczają tekstu innym tekstem, a otwierają kolejne drogi interpretacji i co najważniejsze, nie namawiają do stawiania kropek, a raczej do ich łączenia.

Roksana Bach

K KSIAŻKI NADESŁANE

- Roksana Bach, *Śliwki w czekoladzie*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2023, 64 s.
- Grzegorz Biszczyński, *Zielona Góra od kuchni: restauracje przedwojennego miasta = Cuisine of Zielona Góra: restaurants of the pre-war city*, Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2023, 404 s.
- Olaf Ciebiera, Paweł Czechowski, Alicja Dubicka-Czechowska, Grzegorz Gabryś, Piotr Grochowski, Agnieszka Kochańska, Ryszard Orzechowski, Piotr Reda, Michał Smoczyk, Michał Szkuclarek, Leszek Jerzak, *Przyroda Parku Książęcego w Zatoniu*, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2023, 140 s.
- Zbigniew Czarnuch, Andrzej Wysoczański, *Z dziejów wsi Mościce dawniej Blumberg*, Towarzystwo Przyjaciół Mościc, Mościce 2023, 208 s.
- Maria Jolanta Fraszewska, *Prze konanie*, ORGANON, Zielona Góra 2023, 85 s.
- Krzysztof Gryko, *Wąska środkowa linia*, Wyd. Krzysztof Gryko, Kraków 2022, 104 s.
- Ryszard Jasiński, *Paradygnaty*, Graf Media, Zielona Góra 2024, 110 s.
- Emilia Kledzik, *Perspektywa poety: cyganologia Jerzego Ficowskiego*, Wydawnictwo Poznańskie Studia Polonistyczne, Poznań 2023, 688 s.
- Mirosław Kuleba, *Topografia obiektów winiarskich i winnic Zielonej Góry*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Fundacja Tłocznia, Zielona Góra 2023, 944 s.
- Ryszard Łomski, *Zielonogórski big-beat i film (zespoły gitarowe i Lubuski Klub Filmowy)*, Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Zielona Góra 2023, 220 s.
- Weronika Machała, *Bieguny*, Fundacja Duży Format, Warszawa 2022, 36 s.
- Marta Maciejewska, *Proszę, pokochaj mnie, mamo!*, Wydawnictwo Świat Kobiet, Zielona Góra 2023, 260 s.
- Anitta Maksymowicz, *Rok 1945 i pierwsze powojenne lata na Ziemi Lubuskiej w relacjach świadków historii*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Zielona Góra 2023, 148 s.
- Czesław Markiewicz, *Przekłeta Europa*, ANAGRAM, Warszawa 2023, 344 s.
- Igor Myszkiewicz, *O czarownicy i potworze: zielonogórskie procesy o czary = About the Witch and the Monster: witchcraft trials in Zielona Góra*, Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2023, 392 s.
- Agnieszka Olejnik, *Gdziekolwiek jesteś*, Filia, Poznań 2023, 384 s.
- Agnieszka Olejnik, *Jak dzięki gęsi*, Filia, Poznań 2023, 336 s.
- Paulina Pidzik, *(miejsca ich jesiony)*, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022, 36 s.

AUTORZY NUMERU



Roksana Bach

Magister filologii angielskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Laureatka konkursów jednego wiersza (np. Kutno – Złoty Środek Poezji 2018, Zielona Góra – konkurs jednego wiersza poświęcony twórczości Anny Tokarskiej 2019). Jej debiutancki tomik poetycki *Śliwki w czekoladzie* wydano w 2023 roku.

Maksymilian Barski

Student filologii polskiej na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Szczecińskiego. Badawczo interesuje się twórczością i biografią Witkiewicza oraz literaturą światową, szczególnie spoza kręgu kultury europejskiej.

Sławomir Bączkowski

Rocznik 1971, pruszkowianin z urodzenia, obecnie mieszka w Warszawie, zawodowo związany ze szkolnictwem (nauczyciel angielskiego). Najważniejsze zainteresowania to literatura i muzyka klasyczna. Pisanie opowiadań to jego hobby.

Zuzanna Bubień

Urodziła się w 2004 roku w Gubinie. Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pasjonuje się językiem polskim oraz szeroko pojętą historią religii.

Miłosz Cybowski

Historyk, doktorat uzyskał na University of Southampton w Anglii za pracę *The Polish Questions in British Politics and Beyond, 1830-1847*. Autor artykułów poświęconych polskiej emigracji do Anglii w XIX wieku, publikowanych w licznych anglojęzycznych antologiach. Od prawie 20 lat związany z Magazynem Kultury Popularnej „Esensja”. Zawodowo Project Manager i Scrum Master.

Edward Derylak

Urodził się w 1953 roku w Harasiukach nad Tanwią. Prozaik. Autor powieści, tomów opowiadań, współautor kilkunastu almanachów i antologii. Publikował w „Pro Libris”, „Aspektach”, „Temacie”, „Własnym Głosem”, „Filologii Polskiej”, „Na Winnicy”. Redaktor i współredaktor. Laureat ponad 40 ogólnopolskich konkursów literackich. Wyróżniony w 2014 roku medalem za zasługi dla kultury w wojsku polskim. Członek ZLP i Grupy Literackiej „Dysonans” we Wrocławiu. Mieszka i pracuje w Żaganiu.

Władysław Edelman

Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O Złotą Szpilę”), Myślenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zielonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German), Małopolskiej Nagrodzie Poetyckiej „Źródło” i innych. Publikuje także w internetowym wydawnictwie MPK – Moja Przestrzeń Kultury. Współtworzy Literacki Kabaret HALLO. Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego. Mieszka w Zielonej Górze.

Jolanta Fainstein

Filolożka, doktorka nauk humanistycznych w zakresie językoznawstwa, tłumaczka, dramaturżka, poetka. Publikowała w „Chiduszu”, „Pro Libris” i na stronie Lubuskiej Fundacji Judaica. Została wyróżniona w konkursie poetyckim ¡No pasarán!, a jej utwory ukazały się w pokonkursowym tomie. Otrzymała wyróżnienie w Konkursie o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza (2022 r.) za dramat *mama ma szorstkie ręce*, który ukazał się w formie książkowej sumptem wydawnictwa Pro Libris. Mieszka w Zielonej Górze. Pracuje na Uniwersytecie Zielonogórskim w Instytucie Neofilologii.

Maria Jolanta Fraszewska

Absolwentka socjologii, psychologii oraz pedagogiki i coachingu. Należy do ZLP oddział Zielona Góra (członkini Zarządu). Uprawia poezję, eseistykę i prozę. Wydała kilka tomików poetyckich, w tym dwa wyróżnione nominacją do Lubuskiego Wawrzynu Poetyckiego. Od roku 2013 uczestniczy w programie unijnym Emulti-poetry: „Wiersze na murach” wyświetlane w Krakowie. Publikowała m.in. w „Tygodniku Literackim”, w „bruLionie”, e-dwutygodniku Literacko-Artystycznym (Pisarze.pl), „Pro Libris”, „Pasjach Literackich”, w Piśmie Literacko-Artystycznym „Bezkrę” oraz w antologiach lubuskich i ogólnopolskich. W 2023 roku nagrodzona tytułem Kobieta Roku Województwa Lubuskiego za działalność artystyczną. Wolontariuszka w Lubuskim Stowarzyszeniu na Rzecz Kobiet BABA.

Agnieszka Ginko-Humphries

Poetka i pisarka, anglistka, animatorka życia kulturalnego. Autorka trzech tomików wierszy (*Kruche*, 2017; *Modlitwa spod znaku Ryb*, 2020; *aż tyle*, 2022) i pięciu książek dla dzieci. Laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Otrzymała m.in. nominację do nagrody Książka Roku 2013 IBBY, Ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów (2015) i Nagrodę Literacką im. Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza (2020). Swoje wiersze publikowała w czasopismach literackich w Polsce, Wielkiej Brytanii i Serbii. Publikuje pod nazwiskiem Ginko. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Eliza Gniewek-Juszczak

Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim oraz podyplomowego Studium Dziennikarstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z mediami związała się podczas studiów, współpracując z „Gazetą Wyborczą”, „Ruchem Muzycznym”, „Teatrem” oraz Radiem Index. Pracowała w Radiu Eska jako reporterka, prowadząc wiadomości i własne programy społeczno-polityczne. W 2004 roku rozpoczęła pracę w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Lubuskiego. W latach 2007-2010 pełniła funkcję Rzecznika Prasowego Zarządu Województwa Lubuskiego i Dyrektora Biura Prasowego. Obecnie jest kierownikiem Wydziału Strategii Marki Lubuskie.

Piotr Gulewski

Absolwent filologii angielskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Prozaik. Mieszka i pracuje w Sulechowie.

Natalia Haczek

Poetka, czasem również prozaiczka. W 2021 roku debiutowała tomikiem *Głód*, za który została nagrodzona w ramach Lubuskich Wawrzynów 2021 (kategoria debiuty). Otrzymała również wyróżnienia w 11. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Refleksy” oraz 26. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Jej utwory publikowane były na łamach „Helikoptera”, „Pro Libris”, „Pasji Literackich”, „eleWatora”.

Jerzy Hajduga

Ksiądz, poeta, publicysta. Wiersze publikował m.in. w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Frazie” i „Toposie” oraz na stronach internetowych. Jego utwory przekładano na język niemiecki i angielski. Autor scenariusza spektaklu poetyckiego pt. *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991) oraz w drezdeńskim Teatrze Kotłownia (2017). Opublikował kilkanaście książek poetyckich, ostatnio *Zostań* (2022) oraz *takie twoje odchodzenie* (2022). Obecnie pełni posługę kapelana szpitalnego w Drezdenku i jest opiekunem duchowym Teatru Kotłownia. Prowadzi blog www.jerzyhajduga.pl.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagogka, doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek, recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Od 2010 roku stała recenzentką e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Popularyzatorka nauki języków obcych i czytelnictwa; prowadzi spotkania autorskie. Od 2017 roku należy do charytatywnego Klubu Kiwanis Adsum w Zielonej Górze.

Paweł Karp

Paweł Karp, doktor nauk humanistycznych w zakresie historii. Wśród jego zainteresowań naukowych znajdują się: sztuka wojenna od średniowiecza do czasów nowożytnych, epigrafika, historia polityczna XX-XXI wieku. Autor monografii *Polsko-husycka wyprawa zbrojna przeciw zakonowi krzyżackiemu w roku 1433* oraz artykułów poświęconych głównie wojnom husyckim i zabytkom epigraficznym województwa lubuskiego. Członek zespołu badawczego realizującego w latach 2003-2018 na Uniwersytecie Zielonogórskim projekty „Inskrypcje na terenach Polski Zachodniej”. Współautor zeszytów X tomu serii *Corpus inscriptionum Poloniae*. Pracownik Działu Informacji Regionalnej i Bibliograficznej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, redaktor Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej.

Beata Patrycja Klary-Stachowiak

Uprawia poezję i prozę. Filolog polski, felietonistka, recenzentka. Wydała kilka tomów poetyckich, ostatnio: *Martwia* (2019), *Lęgnia* (2022) oraz zbiory wywiadów *Rozmowy z piórami* (cz. 1, 2 i 3). W 2013 roku nominowana do Nagrody Miasta Stołecznego Warszawy w kategorii poezja za książkę *De-klaracje*. Laureatka Nagrody Otoczaka za tom *Misterium solitera* (2015), dwukrotna zdobywczyni Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (*Zabawa w chowanego*, 2011; *Obiekty totemiczne*, 2015) oraz „Motyla” – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa Wlkp. Gość Festiwalu Góry Literatury.

Bartosz Konopnicki

Absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego. Publikował między innymi w „Akancie”, „LiryDramie”, „Helikopterze”, „sZAFie”, „Nowych Myślach”, „Bezkrésie”, a także na stronie internetowej „Wydawnictwa J”. Jego wiersze drukowane są w antologiach poetyckich. Prowadzi autorski fanpage na Facebooku. Ostatnio wy-

dał tomiki poetyckie: *Wagony do cisy* (2019) oraz *Jak te manekiny* (2022). W wolnej chwili fotografuje i jeździ rowerem. Mieszka w Krakowie.

Alina Kruk

Absolwentka Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze i podyplomowych studiów poznańskich UAM i AE. Laureatka konkursów na wiersze i opowiadanie. Publikuje w „Inspiracjach” oraz „Pro Libris”. Kierowniczka organizacyjna grupy literackiej OKSYMORON działającej przy ZUTW. Mieszka w Zielonej Górze.

Marek Krukowski

Rocznik '80, zielonogórzanin, twórca awangardowego teatru, filozof, amator tenisa, a przede wszystkim autor *Udręczenia* nagrodzonego Srebrnym Sokolim Piórem za prozatorski debiut Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2018 oraz powieści *Jamimój* nominowanej do LWL w 2019. Mieszka w Zielonej Górze.

Katarzyna Krysińska

Absolwentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, w 2019 roku obroniła pracę doktorską z literaturoznawstwa pt. *Poezja lubuska wobec sacrum*. Pracowała głównie w kilku redakcjach wydawniczych. Mieszka w Zielonej Górze.

Rafał Krzywiński

Absolwent politologii UZ, dziennikarz, prozaik, redaktor bądź współpracownik lokalnych periodyków (m.in. „Polska The Times Lubuskie”, „Gazeta Lubuska”, „Tygodnik Regionalna”, „Życie nad Odrą”). Obecnie publikuje w „Łączniku Zielonogórskim” i nowosolskim Tygodniku „Krag”.

Roman Krzywotulski

Animator kultury, instruktor i pedagog teatru, reżyser związany z Żarskim Domem Kultury. Inicjator i organizator wielu projektów artystycznych. Twórca amatorskiej grupy teatralnej pn. „Teatr Drewniana Kurtyna”, z którą w latach 1978-2019 zrealizował kilkadziesiąt widowisk poetyckich, dramatycznych i plenerowych. Pasje teatralne realizował także jako prowadzący zajęcia na kierunku animacji w WSP w Zielonej Górze, następnie na UZ. Redaktor i autor wielu wydawnictw dotyczących wystaw, organizowanych przez ŻDK. Honorowy Obywatel Gminy Żary; od 2020 roku emeryt, nadal aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym regionu.

Mirosław Kuleba

Urodził się w Kołobrzegu w 1958 roku. Prozaik, reportażysta, niezależny dziennikarz, tłumacz z języka rosyjskiego. Z zawodu inżynier budownictwa lądowego, pracował jako zawodowy myśliwy na Syberii, dzisiaj prowadzi gospodarstwo sadownicze i winnicę. Korespondent prasowy na wojnach w Abchazji (1992, 1993), Jugosławii (1993) i Czeczenii (1994-1996, 1999-2000). Wydał serię książek oraz wiele reportaży o konfliktach zbrojnych. Autor monografii zielonogórskiego winiarstwa: *Ampelografia Zielonej Góry*, *Enographia Thalloris*, *Topografia obiektów winiarskich i winnic Zielonej Góry*. Niedawno wydał zbiór esejów pt. *Enografia mistyczna miasta Thalloris* (2022) oraz monografię mineralogiczną *Prasiolity z Sokółowca na Dolnym Śląsku* (2023).

Elżbieta Kuna-Kwiecińska

Rodowita sulechowanianka. Absolwentka prawa i administracji na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Autorka tomików: *Wyznania* (1998), *Powracająca fala* (2013), *Krok do Aniołów* (2016), *Wyznania i wyzwania* (2022). Publikowała w „Gazecie Lubuskiej”. Współpracuje z ośrodkami kultury i szkołami, gdzie prezentuje swoją poezję, łącząc ją z działaniami teatralnymi, śpiewem i happeningiem. Organizuje

wieczory autorskie. Obecnie pracuje nad powieściami *Konfesorat nie rozgrzesza* i *Anorexia od czerwonych porzeczek*.

Mirosław Lachowicz

Profesor (zwyczajny) matematyki od 2004. Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki. Badania naukowe prowadzi w zakresie matematyki stosowanej (stosuje metody matematyczne w opisie zjawisk fizycznych, biologicznych, medycznych, a nawet społecznych). Wierzy, że dzięki temu lepiej (i precyzyjniej) rozumiemy świat. Był 11 lat dyrektorem Instytutu Matematyki Stosowanej i Mechaniki. Ma kontakty naukowe z uniwersytetami włoskimi (np. w Rzymie, Genui, Udine, Mesynie oraz Politechnice w Turynie), a także w RPA – był honorowym profesorem w Uniwersytecie Kwa-Zulu-Natal w Durbanie, przebywał na Uniwersytecie w Pretorii i Stellenbosch. Ponadto był w różnych uniwersytetach w całej Europie i w Japonii. Prowadził kilkakrotnie na Uniwersytecie Warszawskim wykłady dla MISH, m.in. o związkach matematyki z humanistyką.

Małgorzata Lebda

Dorastała w beskidzkiej wsi. Autorka sześciu książek poetyckich, w tym nagradzanych tomów *Matecznik* i *Sny uckermärkerów* (Nagroda Literacka Gdynia 2019). Ostatni tom zatytułowany *Mer de Glace* (Wydawnictwo Warstwy, 2021) został nagrodzony najważniejszą nagrodą poetycką w Polsce – Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej (2022). Jej książki ukazały się w przekładzie na języki: czeski (tł. Bogdan Trojak), włoski (tł. Marina Ciccarini), serbski (tł. Biserka Rajčić), ukraiński (tł. Yury Zavadsky), słoweński (tł. Katarina Šalamun-Biedrzycka), duński (tł. Frej Larsen i Paweł Partyka), rumuński (Marina Ilie). Doktor nauk humanistycznych i sztuk audiowizualnych, felietonistka, animatorka kultury, redaktorka, naukowczyni. Wykładowczyni na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Ultramaratonka, we wrześniu 2021 roku pokonała, biegnąc, dystans 1113 kilometrów wzdłuż najdłuższej polskiej rzeki Wisły, realizując aktywno-poetycki projekt „Czytanie wody” (<https://magazynpismo.pl/soczewka/czytanie-wody-wisla/>). Powieść *Łakome* (Wydawnictwo Znak, 2023) jest jej debiutem prozatorskim. Mieszka na wietrznej grani w Beskidzie Sądeckim.

Michalina Majkowska

Studentka filologii polskiej pierwszego stopnia na Uniwersytecie Zielonogórskim o specjalizacji edytorskiej. Członkini Lubuskiej Siły Krytycznej. Miłośniczka szeroko rozumianej sztuki.

Gabriela Matkowska

Studentka filologii polskiej oraz prawa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Interesuje się literaturą, a także szeroko pojętą kulturą popularną. W wolnych chwilach czyta książki, ogląda filmy i tworzy własne teksty.

Beata Kamila Mączka

Urodzona w 1982 roku w Warszawie. Absolwentka studiów europejskich na uniwersytetach: Warszawskim i w fińskim Tampere; od 2011 roku pracuje w Parlamencie Europejskim w Brukseli. Słuchaczka warsztatów prozatorskich IBL PAN. Lubuje się w poezji, prozie poetyckiej i opowiadaniach.

Marcin Mielcarek

Urodzony w 1996 roku w Kaliszu, od kilku lat mieszka w Zielonej Górze. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zadebiutował opowiadaniem w czasopiśmie literackim „Twórczość”. Od tamtego czasu publikowany w wielu poważnych ogólnopolskich czasopismach. Autor książek: *Parada myśli*

nocnych (2021), *Sztuka latania* (2022), nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, i *Nad górą wisi zielone słońce* (2023). Stypendysta Miasta Zielona Góra w dziedzinie literatury. Prowadzi bloga, na którym zamieszcza swoje teksty.

Małgorzata Mikołajczak

Prof. zw. dr hab., kierowniczka Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Komitetu Naukowego o Literaturze PAN i Rady Uczelni UZ, przewodnicząca komitetów okręgowych olimpiady polonistycznej, prezes Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Zajmuje się teorią literatury, literaturą współczesną i regionalizmem w badaniach literackich. Jest autorką monografii poświęconych poezji Urszuli Kozioł i Zbigniewa Herberta, opracowała wybór poezji Herberta dla Biblioteki Narodowej. Ostatnio wydała książkę pt. *Ramiona Antajosa. Z teorii i historii regionalizmu literackiego w Polsce* (2021).

Patrycja Mierzejewska

Prozaiczka i poetka, publikowała w magazynach literackich takich jak „Strona Czynna” czy „Szpol”. Uczestniczka Pracowni Otwartych Prozą 2021 oraz Pracowni Otwartych Wierszem 2022 w Biurze Literackim. Zdobywczyni wyróżnień w konkursach. Finalistka *Połowu* Biura Literackiego, w ramach którego pracuje nad pierwszą powieścią. Czas najchętniej spędza w lubuskich lasach, gdzie podgląda dzikie zwierzęta. Autorka tomiku poetyckiego *Wchłanianie żelaza* (2023).

Anna Naplocha

Dr nauk humanistycznych, mgr filologii polskiej. Obecnie pracuje jako starszy bibliotekarz w Bibliotece Uniwersytetu Zielonogórskiego. Z zamiłowania przyrodniczka oraz pasjonatka lokalnej historii. Wiersze publikowała w „Filologii Polskiej. Rocznikach Naukowych Uniwersytetu Zielonogórskiego”.

Weronika Nawrocka

Studentka trzeciego roku filologii angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Prowadzi konto na Instagramie poświęcone książkom (@weronika_nawrocka). Lubi słuchać starego rocka, czytać szeroko pojętą literaturę piękną i klasyczną.

Zygmunt Marek Piechocki

Urodził się w Zielonej Górze. Od 1960 roku mieszka w Gorzowie Wlkp. Pisze wiersze, rzeźbi, niekiedy organizuje recitale fortepianowe. Wydał kilkanaście tomików wierszy, ostatnio: *Preteksty* (2014), *Ad libitum* (2015), *Przedstawienia* (2017). Autor książki *Listy po czasie* (2023). Laureat nagrody im. Janusza Słowika za twórcze inicjatywy kulturalne oraz „Motyla” – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa Wlkp. Nominowany do Wawrzynu Literackiego za tomy wierszy: *Sytuacje* (2009) i *Czerpanie z pustki* (2014).

Jakub Krzysztof Poczekaj

Urodzony w Nowej Soli w 2004 roku. Obecnie mieszka w Krępie, w Zielonej Górze. Student filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Finalista olimpiady historycznej na poziomie szkół podstawowych. W 2015 roku został wyróżniony w konkursie poetyckim „O pióro Asnyka”, a w 2018 – w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim 21. Biesiada Słowa „Miłość niejedno ma imię”.

Anna Polak

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii Łużyc wschodnich Dolnych i Górnych. Interesują ją kwestie dotyczące społeczeństwa, zabytków i kultury. Jest autorką i współautorką publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, przewodników turystycznych, a także artykułów prasowych. Brała udział w projektach międzynarodowych dotyczących m.in. województwa lubuskiego. Wielbicielka turystyki i zwierząt. Pracowała w Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach, a obecnie jest zatrudniona w Parafii pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Żarach, gdzie zajmuje się badaniami naukowymi, pozyskiwaniem środków pozabudżetowych oraz obsługą ruchu turystycznego.

Grażyna Rozwadowska-Bar

Debiutowała w 1979 roku na łamach „Słowa Żarskiego”. Drukowała w „Nadodrze”, „Głosie z Regionów”, „Radarze”, „Argumentach”, „Pro Libris” oraz w antologiach poetyckich. Członkini grupy literackiej „Dziewiny Młodzi”. Od 1998 roku członkini ZLP. Wydała trzy książki poetyckie: *Zapraszam do domu* (1997), *Nie lubię zegarów* (2000), *Obudziłam wiersze* (2023). Mieszka w Żarach.

Bogumiła Różewicz

Urodziła się w 1961 roku w Zielonej Górze. Poetka, członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Autorka książek poetyckich *Welon na fali* i *Błękitne zamyślenie*. Jej wiersze prezentowano w *Radiowej książce poetyckiej* (Radio Zachód), w antologiach (*Pióro na niebie*, *Dotyk nadziei*), w prasie literackiej. Jej poezja została przetłumaczona na język niemiecki i ukraiński. Wyróżniana w konkursach poetyckich.

Mirosława Rudyk

Literaturoznawczyni, dziennikarka i poetka. Docent Katedry Teorii i Praktyki Dziennikarstwa Narodowego Uniwersytetu Lwowskiego im. Iwana Franki i adiunkt w Instytucie Literatury i Nowych Mediów Uniwersytetu Szczecińskiego. Autorka trzech tomów poezji w języku ukraińskim. Teksty krytycznoliterackie publikowała m.in. na łamach „Literackiej Ukrainy”, „Dzwonu”, „Ukraińskiej Literackiej Gazety”, „I”, „Wszechświata”, czy „Ukraińskiej Kultury”. Autorka ponad 50 publikacji naukowych z zakresu dziennikarstwa, blogów, mediów społecznościowych i komunikacji społecznej.

Kazimierz Skorupski

Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Reżyser, animator działań artystycznych. Pracował m.in. w Miejskim Domu Kultury i w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu, w Lubuskim Teatrze (asystent dyrektora i kierownika artystycznego i koordynator pracy artystycznej). Od 1982 roku mieszka we Francji, propagując współczesną poezję polską. W 1996 założył Théâtre de la Parenthèse (Teatr Nawias), którego jest dyrektorem artystycznym do dziś. Prezes nieistniejącego już Stowarzyszenia POLSQY (Polacy w Saint Quentin en Yvelines).

Czesław Sobkowiak

Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Współpracował m.in. z „Odrą”, „Nadodrzem”, „Gazetą Lubuską”, „Kroniką Ziemi Żarskiej”. Debiutował wierszem w „Nadodrze” w 1967 roku. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, kilku almanachów poetyckich. Ostatnio wydał książki: *Napisane w zeszytach* (2020), *Zanim spadnie śnieg* (2022) oraz *Prozy niecodzienne* (2023). Trzykrotny laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (1996, 2002, 2014), Nagrody Literackiej ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2023). Uprawia także krytykę literacką. Mieszka w Zawadzie w Zielonej Górze.

Małgorzata Stachowiak-Schreyner

Poetka, animatorka życia kulturalnego, nauczycielka, prowadzi teatr młodzieżowy Szkoła Słowa – Scena Słowa i szkolne koła teatralne. Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów. Autorka dwóch tomików wierszy, *O czymś* (2005), *Jestem, która jesteś* (2013). Mieszka w Sulechowie.

Gabriela Szejba

Studentka polonistyki na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Szczecińskiego. Główne obszary jej zainteresowań badawczych obejmują: poezję, reportaż, historię sztuki oraz krytykę literacką.

Mirosława Szott

Poetka, krytyczka literacka, doktor nauk humanistycznych, autorka tomików poetyckich (*pomiary Zamku*, *Anna*) oraz monografii naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*. Współredaktorka (razem z Małgorzatą Mikołajczak) *Antologii poezji lubuskiej 2007-2022*. Członkini redakcji „Pro Libris” w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w graniach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie.

Monika Śledź

Urodzona w Żarach. Zawodowo związana z transportem krajowym i międzynarodowym. Pasjonatka kultury i sztuki. Lubi czytać książki, podróżować, fotografować, hodować kwiaty, oglądać dobre kino i słuchać muzyki, obserwować przyrodę. Mieszka w Zielonej Górze.

Daria Walusiak

Uczennica I LO im. E. Dembowskiego w Zielonej Górze. W 2022 roku otrzymała stypendium twórcze i artystyczne Prezydenta Miasta Zielona Góra i w tym samym roku zadebiutowała zbiorem opowiadań pt. *Dzwonek na przerwę*. Laureatka kilku ogólnopolskich konkursów literackich.

Barbara Wauben-Czekalska

Urodzona w 1985 roku. Lekarka, absolwentka Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu i Uniwersytetu Umeå w Szwecji. Pochodzi z Ostrowa koło Sulęcina, od jedenastu lat mieszka w Niderlandach. Pracuje jako lekarz rodzinny w ośrodku dla uchodźców w Eelde i gościnnie wykłada „Opiekę zdrowotną dla migrantów” na Uniwersytecie w Groningen.

Joanna Wawryk

Dr nauk humanistycznych, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej UZ. Od lat współpracuje z WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, głównie w zakresie działań wydawniczych. Jej zainteresowania naukowe obejmują literaturę polską XX i XXI wieku, literaturę dla dzieci i młodzieży oraz przekształcenia tradycji (zwłaszcza baśniowej) we współczesnych tekstach kultury.

Joanna Witek-Lipka

Z wykształcenia prawniczka, od 2012 roku zajmuje się zarządzaniem w kulturze oraz produkcją wydarzeń artystycznych oraz projektów artbrandingowych i brandingowych. Zawodowo związana z Edgar Bąk Studio oraz Warsaw Gallery Weekend.

Artur Wodarski

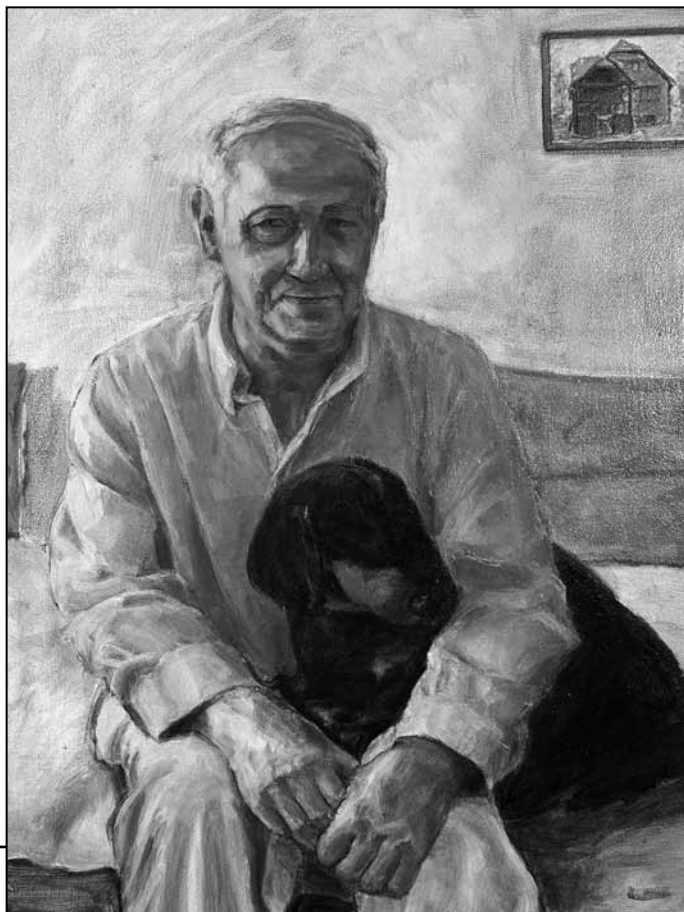
Rocznik 1963. Debiutował tomikiem poetyckim *Chrzęszczenie* (2012), który dotarł do ścisłego finału konkursu na Autorską Książkę Literacką w Świdnicy w 2012 roku i został uznany za najlepszy debiut literacki Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2012. Następne wydawnictwa to: *Moje wiersze zeszyły na psy* (2013), *Wszystkie wiersze mają się dobrze* (2015), powieść *Rzeka przemienienia* (2016) oraz zbiór opowiadań *Drzazg* (2019). Od 2016 roku jest członkiem ZLP. Obecnie mieszka we wsi Wyszanowo.

Joanna Wysocka

Doktorantka w Zakładzie Antropologii, Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu. Autorka publikacji naukowych. Jej zainteresowania skupione są wokół paleopatologii oraz antropologii sądowej. Ścisłe współpracuje z archeologami przy badaniach terenowych, wykopaliskach zarówno pradziejowych, jak i sądowych (poświęconych ściganiu zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu). Jednocześnie szkoli i przygotowuje studentów do pracy przy eksploracji szczątków ludzkich.

Krzysztof Ziemiński

Absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (polonistyka) i Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie (resocjalizacja). W latach 1982-2020 nauczyciel w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Babimoście. Zadebiutował wierszem w 1981 roku w czasopiśmie „Szpilki”. Laureat wielu konkursów literackich. Okazjonalnie publikuje w czasopismach i antologiach. Tłumaczy z języka rosyjskiego, rzadziej z łaćcińskiego i hiszpańskiego. Autor tomiku wierszy *Konteksty nieodległe* (Zielona Góra 2021).



10. KOZZI FILM FESTIWAL

10 (13). FESTIWAL FILMU, TEATRU i KSIĄŻKI

(dawniej KOZZI GANGSTA FILM)

6-9 czerwca 2024

ZIELONA GÓRA – KARGOWA

Tegoroczni patroni:

Maciej Kozłowski

Kargowianin, aktor filmowy i teatralny. Pod jego egidą odbyło się trzynaste edycji Festiwalu.

Jan Nowicki

Aktor filmowy, teatralny i telewizyjny, reżyser, pedagog, poeta, autor kilku książek, gość na Kozzi Gangsta Film w 2012 roku w Kargowej.

Marek Hłasko

Pisarz, scenarzysta filmowy.

Jego proza stała się inspiracją scenariuszy kultowych polskich filmów fabularnych. Rok 2024 został ogłoszony rokiem Marka Hłaski.



Szczegółowe informacje: <http://www.festiwal.norwid.net.pl>



T. Daikster
2013

